

PRZEGLĄD SOCJALDEMOKRATYCZNY

ORGAŃ SOCJALDEMOKRACJI KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY.

Ojcowie i dzieci.

Październik, 1909.

Kanikularne wywczasy polityki polskiej przerwane zostały przez dwa wydarzenia, które pomimo swej różnorodności mają wspólne źródło kontrewolucyjne w reakcji burżuazyjnej. Mamy na myśli głośny zjazd studencki w Zakopanem i jeszcze głośniejsze przyjęcie „gości czeskich“.

Niepotrzeba nawet przenikliwej myśli rewolucyjnej, aby w polsko-czeskiej demonstracji słowiańskiej ujrzeć formę grobu, w którym pochowane zostały ostatnie szczątki dawnej szlachecko-demokratycznej myśli polskiej, tej samej myśli, która nie tylko w słowach, ale w szczęku oręża szlacheckiego demonstrowała swoje przeciwieństwo do idei „słowiańskiej“. Ale w miarę, jak Polska szlachecka odchodziła w bezpowrotną przeszłość, zniknęły razem z nią wszystkie tradycje jej walk europejskich i zniknęło również ostatnie echo tej tradycji anti-„słowiańskiej“, które przez czas jakiś błąkało się jeszcze w formie popularnej piosnki „Polak-Węgier dwa bratanki“. Kiedyś śpiewały ją dzieci na bruku warszawskim i zapewne bawiły się w polsko-węgierskich ułanów, wymachując groźnie szabelkami przeciw „Moskałom“. Polska burżuazyjna nie miała ani jednej tradycji narodowej, a przed kilku laty rewolucja proletariatu zaczęła wytwarzać swoją popularną tradycję, kiedy to dzieci bawiły się w barykady z czerwonemi sztandarami.

Partjom burżuazyjnym było pilno przeciwstawić zamarłej tradycji szlacheckiej i rodzącej się tradycji rewolucyjnej proletariatu tradycje kapitalizmu. Pochód „narodowy“ 5 listopada 1905 roku miał zagłuszyć walkę klas i przeciwstawić jej solidarność narodową. Ale Demokracja Narodowa, której przypadło w udziale to zadanie historyczne, nie mogła stworzyć odrazu pożądanej tradycji kapitalistycznej i Henryk Sienkiewicz mógł w mowie swojej nadać owemu pochodowi narodowemu tylko charakter jedności narodowej, ogłaszając sam pochód jako wyraz „solidarności wszystkich stanów“. Nacjonałiści, klerykali i antisemici czescy, którzy byli teraz gośćmi burżuazyjnej Polski, pomogli tej ostatniej odgrzebać, jako dobrą karm dla fantazji ludowej, legiendę o Lechu i Czechu, przypomnieć bitwę grunwaldzką i pobratymstwo słowiańskie. W ten sposób i Polska kapitalistyczna znalazła swoją tradycję narodową i jeżeli tra-

dycja „Polak-Węgier dwa bratanki“ miała dla niej tę przeklętą stronę, że przypominała walki przeciw Rosji, z którą jej rozwój kapitalistyczny jest organicznie zrośnięty, taksamo jak przypomina Stefana Batorego, który również bił „Moskwę“, to tradycja stosunków czesko-polskich przypomina tylko walkę z krzyżakami i łączy się politycznie nie tylko z Rosją, ale i z carofilską czią czeskiej i polskiej burżuazji dla „słowiańskiego“ tronu Romanowych. I jeżeli prasa t. zw. postępowo-demokratyczna, rozpisując się z entuzjazmem o świetnym przyjęciu „gości czeskich“, dodaje z nieukrywaniem zadowoleniem, że teraz nawet dzieci w Warszawie urządzają zabawy polsko-czeskie z okrzykami „na zdar!“, a generał-gubernator Skałona dał zupełną wolność demonstracji polsko-czeskiej, to fakt ten dowodzi tylko, że sługi cara dobrze rozumieją interesy absolutyzmu i reakcji społecznej, podczas gdy nasi bojownicy liberalizmu umieją tylko służyć reakcji carskiej i kapitalistycznej, wyobrażając sobie, że służą szczerze interesom postępu i demokracji.

Inaczej ma się rzecz ze zjazdem studenckim w Zakopanem. Odbyswał się on nie w kupieckiej atmosferze nacjonalistycznego drobno-mieszczactwa, lecz w beletrystycznej atmosferze inteligienckiego nacjonalizmu i patronowali mu nie przedstawiciele szlachecko-ugodowego „realizmu“ politycznego, lecz fantastyczni cudotwórcy pseudo-renesansu romantycznego, w którym sen o złotej szpadzie narodowego powstańca zamienia się na jawie w pospolity brauning politycznego bandytyzmu i literackiego korsarstwa. Ze swojej więc formy zewnętrznej zjazd zakopiański wydaje się zupełnym przeciwieństwem tej reakcji politycznej, której jednym z wyrazów była polsko-czeska demonstracja słowiańska, i jeżeli ojcowie narodu błogosławili w Dumie państwowej rosyjską politykę szkolną, głosując za znanym wnioskiem październikowca von Anrepa, to dzieci narodu, zgromadzone w Zakopanem, urządziły napozór okrutną rebelję ojcom, głosując jednomyślnie za utrzymaniem bojkotu wyższych szkół rządowych w Warszawie. Tak przynajmniej wydaje się skrajnym nacjonalistom z obozu t. zw. „rewolucyjnej“ frakcji P. P. S. oraz skrajnym ugodowcom t. zw. „polityki realnej“, w których imieniu p. Straszewicz miota pioruny na krnąbrną młodzież. Ale skoro ci sami ojcowie Demokracji Narodowej, co w Dumie przyklasnęli von-anrepowskiej formule wychowania szkolnego, powiedzieli amen na wieść o postanowieniu młodzieży w Zakopanem, i skoro ta sama młodzież, po przyjęciu uchwały bojkotowej, w większości swojej z oburzeniem odrzuciła wniosek potępienia Koła Polskiego i partji burżuazyjnych z powodu ich demonstracyjnego przyczołgania się na brzuchach do stóp Skałona po chwilowym zamknięciu 16-tu szkół prywatnych w Warszawie — to jest rzeczą aż nazbyt jasną, że między von Anrepowską taktyką burżuazyjnych ojców i bojkotową taktyką burżuazyjnych synków niema przeciwieństwa, że raczej jedna jest uzupełnieniem drugiej. I młodzież socjaldemokratyczna, która przeszło rok temu starała się na łamach naszego pisma przekonać swoich rewolucyjnych kolegów, że w obecnych warunkach bojkot szkolny stracił swoje znaczenie, otrzymała z rąk zjazdu zakopiańskiego świa-

dektwo prawdy, jakiego z pewnością wolałaby nie otrzymywać wcale wobec tego, że zjazd ten nie tylko odebrał bojkotowi szkolnemu nawet pozór rewolucyjności, lecz przez pośrednie solidaryzowanie się z polityką ojców nadał mu także wybitne i dokumentalne piętno reakcji.

Nietrudno było przewidzieć i wypowiedzieliśmy to niejednokrotnie, że z chwilą, gdy kontrrewolucja ubezwładni w kraju masowy ruch polityczny, na widownię wystąpi znowu, jak przed rewolucją, zawsze trymfujący w swym mniemaniu inteligiencki nacjonalizm, aby wrzawą swoich chimerycznych kombinacji politycznych zagłuszyć rzeczywiste tendencje politycznego życia kraju. A ponieważ we wszelkiej wrzawie nacjonalistycznej przednie miejsce należy się z natury rzeczy młodzieży burżuazyjnej, więc nic dziwnego, że inteligiencki nacjonalizm pospieszył z góry otoczyć zjazd młodzieży swoją atmosferą i odkryć w nim z góry „walkę z najazdem“, a w samym bojkocie szkolnym wynaleźć specyficzny środek „rewolucyjny“. Jeżeli jednak od tego gatunku nacjonalizmu nie można mieć pretensji, aby był zdolny wynaleźć proch bezdymny, to natomiast nie można mu odmówić kolosalnej zdolności do wytwarzania całych obłoków dymu bez prochu. W krakowskiej Krytyce znalazł się nawet jakiś pan Tadeusz Wilski, który ma także pretensję do wynajdywania dymu bez prochu, otoczył bowiem bojkot szkolny nie tylko gęstym dymem niepodległości narodowej, ale w dążeniu młodzieży socjaldemokratycznej do złamania idei bojkotu w głowach swoich kolegów wynalazł „łamistrejkostwo“, które już wynaleźli inni, niemniej zdolni insynuatorzy z tegoż obozu, a pozatym z najpoważniejszą w świecie miną poucza nas, że Socjaldemokracja niema pojęcia o marksizmie, prawdziwym zaś wyrazem marksizmu jest niezawodnie program niepodległości i taktyka bandytyzmu.

Wszystko to jednak jest zaiste drobnostką tylko w porównaniu z tą kurzawą polityki beletrystycznej, którą wzbili nad zjazdem zakopiańskim pp. Waław Sieroszewski i Gustaw Daniłowski. W 1905 roku p. Sieroszewski komiwojażował z t. zw. postępową demokracją po burżuazyjnej prasie rosyjskiej, zachwalając ten piękny swój towar, jako „prawdziwą fotografię“ duszy narodowej polskiej. Nagle wynalazł niepodległość Polski w rewolucyjnym ruchu proletariatu, a „prawdziwą fotografię“ w P. P. S. Ale i tu spotkało go widocznie rozczarowanie, gdyż niesyt sławy politycznej postanowił wynaleźć nową fotografię narodu i niepodległości Polski w — narodowo-demokratycznej i postępowo-demokratycznej większości zjazdu zakopiańskiego. Więc rzekł: „Witam was przedewszystkim, jako bojowników Niepodległej Polski...“ P. Daniłowski zaś mówił: „Wy jesteście zawsze“ „płomiennym sercem“ społeczeństwa, „jednym z wcieleń“ „buntowniczego ducha“ narodu i „jeżeli w tak młodym wieku porwaliście się, by zerwać łeb hydrze, to nie zabraknie wam sił i męstwa: zdusić centaury, ofiarę piekła wydrzeć, do nieba sięgnąć po laury“. Wreszcie, gdy buntownicze duchy narodu postanowiły jednogłośnie bojkotować i nie wracać do kraju, p. Sieroszewski — według sprawozdania Naprzodu — „w podniosłych sło-

wach zachęcał młodzież do utrwalania w masach ludowych dążeń do niepodległości" — przy kuflu piwa zagranicą.

Ci młodzi „bojownicy Niepodległej Polski“ niezawodnie słyszeli o słowach Szujskiego, że kto za młodu nie był rewolucjonistą, ten na starość będzie napewno szubrawcem. I jeżeli na podstawie doświadczenia Szujskiego można sobie łatwo wyobrazić, czym będzie ta młodzież, gdy po ukończeniu studjów zagranicą robić będzie swoją karierę zawodową i polityczną w duchu von-anrepowskich ojców, to ze swojej strony sami ci młodzieńcy byliby ostatnimi osłami, gdyby nie obdarzali huczniemi oklaskami przemówień beletrystycznych swych wodzów i nie byliby zwyczajnemi ludźmi, gdyby się nie czuli rozkosznie w owej atmosferze krzyżącego fałszu i haniebnej blagi, wśród tych kolosalnych obłoków dymu bez prochu, jakimi otoczyli ich i siebie samych gienjalni wynalazcy z obozu inteligienckiego nacjonalizmu. W rzeczy samej nie da się zaprzeczyć, że w porównaniu ze skromnym naszym twierdzeniem, iż młodzież rewolucyjna daleko lepiej spełni swój obowiązek siedząc w kraju, zamiast dąsać się nad Limatem lub Sekwaną, o ileż wspanialej jest czuć na sobie obowiązek studjowania zagranicą zdala od ciągłych starć z rusyfikatorską władzą szkolną, od ustawicznej groźby dostania się do „kozy“ i złamania kariery osobistej, a w dodatku uchodzić jeszcze za wyraz buntowniczego „ducha narodu“ i za „bojowników Niepodległej Polski“.

A cała ta symfonia ohydneho fałszu i bezwstydnjej blagi potrzebna była — jak się koniec końców okazuje — nie do żadnego budowania Polski niepodległej, lecz do ratowania polskiej średniej szkoły prywatnej w Królestwie — ugodową metodą burżuazyjnych ojców. Ci ostatni rozumują w ten sposób, że jeżeli wyższe uczelnie rządowe w Warszawie są bojkotowane, to znika wszelki interes oddawania dzieci do gimnazjów rządowych, skąd prowadzi łatwa i prosta droga do tych uczelni. Jeżeli dzieci i tak będą musiały opuścić kraj w celu wstąpienia do wyższych uczelni, to już lepiej oddawać je do polskich szkół prywatnych, skąd też trafić można do uczelni wyższych zagranicą. I naodwrot, z chwilą ustania bojkotu społeczeństwo burżuazyjne przestanie interesować się szkołami prywatnemi. Ale to niebezpieczeństwo nie jest jeszcze w zupełności zażegnane przez bojkot uczelni wyższych w jednej tylko Warszawie. Istnieją uniwersytety i politechniki w Rosji, do których prosta droga prowadzi przez szkoły rządowe średnie w Królestwie. A posłać syna na studia wyższe do Rosji jest rzeczą mniej kosztowną i wygodniejszą, aniżeli zagranicę. I oto narodowo-demokratyczna większość zjazdu zakopiańskiego ma odwagę być konsekwentną i iść do końca, żądając rozciągnięcia bojkotu i na wyższe uczelnie rządowe w Cesarstwie, aby tym skuteczniej uchronić od upadku szkoły prywatne polskie. Ale innym „bojownikom Niepodległej Polski“ i „wcielencom buntowniczego ducha narodu“ zabrakło tej odwagi, jak jej zabrakło ich bezpośrednim, obecnym na zjeździe kierownikom z przedświtowskiego obozu inteligienckiego nacjonalizmu. „Socjalistycznych“ nacjonalistów nie stać było na odwagę myśli i czynu, na którą stać

było młodzież narodowo-demokratyczną, i oświadczyli, że się uchwalę większości nie poddadzą. W ten sposób ci sami panowie, którzy insynuowali chęć łamistrejkostwa młodzieży socjaldemokratycznej, pośpieszyli sami popełnić ten brudny i nikczemny czyn w stosunku do zjazdu, którego byli nie tylko członkami, lecz nawet inicjatorami i gorącymi zwolennikami.

Sami nie możemy wydać sądu o wartości polskich szkół średnich, i być może, że są rzeczywiście tak sklerykalizowane i wogóle tak złe, jak je malują. Ale to nie ma nic wspólnego z samą kwestją i oczywiście nie może wcale wykluczać konieczności obrony samego istnienia szkół polskich, jako takich. Ale już z samego postawienia kwestji widać, że metoda bojkotu zbudowana jest całkowicie na nikczemności narodowej polskiej burżuazji, która boi się otwartej, głośnej walki o szkoły polskie, która potrzebuje bojkotu dla uchronienia siebie samej od własnej haniebnej zdrady i dla uchronienia swych dzieci od bezpośredniej, codziennej walki z władzą szkół wyższych o prawa polskości. Zbudowana na ugodowych instynktach burżuazji, skonstruowana – jak mówią Rosjanie – prymienitielno k podłosti, w zastosowaniu do jej podłości narodowej, metoda ta już przez to samo zdradza swe ugodowe źródło i reakcyjne znaczenie. I jak każda ugodowa metoda, zapomocą której polityka burżuazyjna usiłuje walczyć o polskie prawa narodowe, jest ona zgóry skazana na beznadziejną bezsilność. W rzeczy samej, bojkot obecny jest w najlepszym razie tylko klapą bezpieczeństwa, pod którą nikczemność burżuazyjna tym łatwiej składać może „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“, ale już na pierwszy rzut oka nie ma nic wspólnego z walką przeciw rządowi o szkołę polską. Przeciwnie, zwalniając społeczeństwo burżuazyjne od konieczności walki o polski charakter szkoły rządowej i usuwając samą młodzież burżuazyjną zagranicę, zdala od terenu walki, taktyka bojkotu tym samym pozostawia polskie szkoły prywatne na łaskę i niełaskę rządu oraz ugodowej gry polityków burżuazyjnych.

Burżuazyjni politycy nacjonalistyczni, którzy nie umieją wynajdywać dymu bez prochu, co politycy inteligienckiego nacjonalizmu, ale zato lepiej znają Polskę i lepiej się znają na samej polityce, wiedzą doskonale, że istnieje jeszcze inna metoda ratowania szkolnictwa polskiego, metoda rewolucyjna. Rozumieją oni bardzo dobrze, że masowy napływ młodzieży polskiej do rosyjskich uczelni wyższych w Warszawie może pociągnąć za sobą nieskończone targi i konflikty z władzą, nieustający ferment walki o polskości szkoły wyższej, że ten ferment mógłby ogarnąć również średnie szkoły rządowe i wywołać powszechne, głośne żądanie spolszczenia szkół wogóle. I jeżeli „bojownicy Niepodległej Polski“, którzy z takim zadowoleniem otoczyli się ofiarowanym im dymem „buntowniczego ducha“, aby tym śmieiej uciekać zagranicę, mają choć odrobinę rzeczywistej chęci walczenia lub choćby tylko spokojnego protestowania przeciw rusyfikacji szkolnej, to niezawodnie, przeniósłszy się do Warszawy, zepsuliby wszystkie rachuby ugodowe swych ojców i wbrew ich woli stworzyliby metodę walki, która pierwiej czy póź-

niej, pomimo niepowodzeń, nietylko uratowałyby prywatną szkołę polską, ale dałyby polskości więcej faktycznych praw w każdej szkole wogóle. Być może, że ta młodzież, która za swoją odwagę uciekania zagranicę otrzymała stopień „buntowników“ i świadectwo „sił i męstwa: zdusić centaury, ofiarę piekła wydrzeć, do nieba sięgnąć po laury“ — być może, że ta młodzież, przeniesiona do murów uniwersytetu i politechniki w Warszawie, nie miałyby nawet chęci i odwagi do spokojnych protestów. Jeżeli tak jest, to z tego wynikałoby tylko, że taktyka bojkotu zastosowana jest nietylko do ugodowej polityki burżuazyjnej, lecz i do karjerowiczowstwa młodzieży i jeżeli metoda rewolucyjna wśród studenterji jest niemożliwością, to z tego nie wynika bynajmniej, abyśmy mieli popierać ugodową metodę bojkotu, która się tak podoba inteligienckiemu nacjonalizmowi. Nie mamy, zaiste, żadnych złudzeń co do gatunku tej młodzieży, która woli bojkot zagranicą dla miłego spokoju swych ojców i swej własnej wygody, aniżeli walkę w kraju, ale sądzimy, że nawet ta młodzież nie mogłaby, pomimo woli, uniknąć politycznej walki w kraju. Po wszystkim, co się stało w czasie rewolucji i co zostało po rewolucji, nawet ta młodzież burżuazyjna, widząc, jak ojcowie korzystają z pewnej swobody akcji politycznej, nie dałyby się spokojnie skrępować przez władze szkolne i nie mogłaby znosić bez protestu szykan rusyfikacji.

Ale taka właśnie metoda byłaby prostym przeciwieństwem ugodowej metody burżuazyjnej, nietylko dlatego, że związana byłaby z obawą rodziców o spokojną karierę „buntowniczego ducha“ synków, lecz przede wszystkim i w daleko ważniejszym stopniu dlatego, że mogłaby zepsuć von-anrepowską metodę reakcyjnej polityki ojców. Nawet burżuazyjna opinia publiczna nie mogłaby potępiać słusznych i sprawiedliwych protestów młodzieży przeciw szkole ruskifikatorskiej, i dzięki pewnej swobodzie, jaką cieszy się prasa burżuazyjna u nas i w Cesarstwie, opinia publiczna wywołałaby nieuniknioną presję na Koło Polskie i miarodajne czynniki oficjalnej polityki polskiej, i w ten sposób sprawa żądania szkolnictwa polskiego nie schodziłaby z politycznego porządku dziennego w kraju i w całej Rosji. To wszakże nie podobałoby się — rządowi, i na tym polega cały „feler“ z punktu widzenia polityki ugodowej.

Jeżeli z całego dymu „buntowniczego ducha“ wyłoniła się nie żadna niepodległość Polski, lecz najzwyczajniejsza i prozaiczna chęć ratowania szkół prywatnych od zdrady własnego społeczeństwa burżuazyjnego, przyczem ta sama młodzież, która według przemówienia p. Daniłowskiego „porwała się, by zerwać łeb hydrze“, pozostawia te szkoły na łaskę i niełaskę rządu, to należy tu stwierdzić, że taktyczna myśl ugodowej polityki ojców burżuazyjnych sięga o wiele dalej, „dokąd wzrok nie sięga“ młodych „bojowników“, mianowicie dąży nietylko do tego, by szkołę polską uchronić od własnej skłonności do zdrady, lecz i od grożących jej ciosów ze strony samego rządu. „Z tej epoki (1905 roku) — pisze p. W. Grabski w swych „Dokumentach poselskich Nr. III“ — pozostały nam w spadku urzędzenia i instytucje, do których naród nasz przywią-

zuje szczególnie cenne znaczenie i na których utratę nie chce się narazić, że wspomnę o prywatnym szkolnictwie polskim. Zrozumiały to trzy główne nasze stronnictwa, gdy wydały swoją deklarację pojednawczą po zamknięciu szkół polskich na jesieni 1908 r.“ Jak widzimy, ta lokajska metoda czyszczenia butów skałonowskich, jaką była owa „deklaracja pojednawcza“, sięga jednak myślą dalej, aniżeli „buntowniczy duch“ „bojowników niepodległości“, gdyż po swemu dąży do zabezpieczenia bytu szkoły polskiej, nietylko od nikczemnych karierowiczów polskich, lecz i od wandalistycznych zapędów rządu. Jak twierdzi p. Grabski i jak stwierdza to cała działalność Koła Polskiego, burżuazyjna polityka polska powinna być taka, aby „usposobiła względnie na naszą korzyść, a przynajmniej nie usposabiała wrogo tych czynników opinii publicznej w Rosji, z którymi właśnie rząd się liczy“. Jest rzeczą aż nazbyt oczywistą, że wzmozżona agitacja za szkołą polską, która byłaby nieuniknionym rezultatem masowego powrotu młodzieży polskiej do wyższych szkół kraju, nie znalazłaby zbyt wielkiej sympatji wśród tych czynników rządowych, na których opiera się rząd i na których Koło Polskie pragnie oprzeć swoją politykę narodową. Jedyną konsekwencją tej polityki jest pozbycie się młodzieży studjującej z kraju i „zesłanie“ jej zagranicę czyli dalsze trwanie bojkotu, aby umożliwić dalsze spokojne trwanie von-anrepowskiej taktyki. Z tego oczywiście wcale nie wynika, aby narodowo-demokratyczni ojcowie prędeż czy później nie wystąpili przeciw zjazdowi zakopiańskiemu i uchwale bojkotowej, gdy tego wymagać będzie ich von-anrepowska taktyka. Zupełnie przeciwnie. Ponieważ zjazd zakopiański potrzebny był dla reakcyjnej taktyki ojców, a nie naodwrot, więc ojcowie burżuazyjni w Kole Polskim lub w prasie mogą tylko podwójnie skorzystać z tego zjazdu, jeżeli w stosownej dla siebie chwili wyrzekną się go. Wtedy bowiem podwójna korzyść polegać będzie na tym, że z jednej strony przez wypowiedzenie się przeciw bojkotowi polityka burżuazyjna jeszcze raz zadokumentuje w oczach rządu von anrepowską lojalność ojców, z drugiej zaś strony przez wyrzucenie młodzieży inteligienckiej zagranicę ojcowie będą zabezpieczeni od jej opozycji w kraju i z tej strony będą mieli względny spokój.

W tym tkwi cała tajemnica sympatji i jawnej lub milczącej zgody, jakimi te same dwie partje, które podpisały „deklarację pojednawczą“, t. j. postępową i narodową demokracja tymczasowo przyjęły wiadomość o bojkotowej uchwale zjazdu zakopiańskiego. I tylko w tym oświetleniu staje się zrozumiałym fakt, że młodzież narodowo-demokratyczna, nienależąca do frondy, posłuszna wskazówkom swoich wodzów i wierna Kołu Polskiemu, głosowała jak jeden mąż za bojkotem i zarazem z oburzeniem odrzuciła ten wniosek potępienia swojego Koła Polskiego. Jak narodowo-demokratyczna większość zjazdu zakopiańskiego miała odwagę konsekwencji, żądając rozciągnięcia bojkotu na wszystkie uniwersytety rosyjskie, taksamo była teraz w zgodzie z logiką bojkotu i z własnym sumieniem, odrzucając ów wniosek potępienia. I przeciwnie, ponieważ polityka Koła Polskiego znajduje się w najzupełniejszej harmonji z uchwałą bojkotu, sam ten

wniosek, usiłujący ugodowej taktyce bojkotu nadać charakter anti-ugodowy, był krzyżącą zbytecznością i politycznym nonsensem.

Wprawdzie trzecia partja, podpisana na „deklaracji pojednawczej“ 1908 roku, jest bardzo niezadowolona z bojkotu szkolnego i p. Straszewicz, jak opętany prorok, miota gromy i klątwy na straszna „anarchję“ burżuazyjnej młodzieży. Ale ze wszystkich odcieni ugodowej polityki burżuazyjnej, najmniej realną i najbardziej fantastyczną w kwestji szkolnej jest polityka stronnictwa realistów, nie cierpiącego żadnych giestów opozycyjnych i wyobrażającego sobie, że młodzieżą studencką, pozbawioną szkół w języku ojczystym, kierować można bez „giestów buntowniczego ducha“ i bez dymu „bojowników niepodległej Polski“. Pan Dmowski, który już dawno odkrył tę tajemnicę, mógłby znowu powtórzyć p. Straszewiczowi, że trzeba otoczyć tę młodzież obłokami dymu nacjonalistycznego i nawet pójść do Cytadeli, aby wyrwać ją z pod wpływów socjalizmu w czasie studjów, zanim po ich skończeniu nie znajdzie sama drogi do kariery w duchu „narodowej“ polityki ugodowej. Zjazd zakopiański dał znowu świetne świadectwo prawdy tej metodzie p. Dmowskiego, według której młodzież burżuazyjna może służyć ugodowej polityce swych ojców tylko wtedy, gdy się czuje „bojownikami Niepodległej Polski“.

Tylko w atmosferze rewolucyjnych strejków 1905 r. strejk młodzieży szkolnej mógł mieć i miał znaczenie rewolucyjne pomimo odwrotnych usiłowań Demokracji Narodowej. O tych usiłowaniach opowiada p. Dmowski w głośnej swej książce „Niemcy, Rosja i kwestja polska“: „Gdy w miarę wzrastającego ruchu rewolucyjnego w państwie zjawia się agitacja między młodzieżą, pobudzając ją do opuszczenia szkół, politycy polscy ujęli ten ruch w swoje ręce, dali mu program polski, odejmując mu charakter rewolucyjnego strejku młodzieży“. Pan Piltz w swojej broszurze o „Polityce rosyjskiej w Polsce“ cytuje ten ustęp z książki Dmowskiego jako dowód rozwoju ugodowych chęci w społeczeństwie. Ale charakter strejku czy bojkotu nie zależy od etykiety, którą chce mu nakleić ta lub inna partja, i ówczesny strejk szkolny był rewolucyjny nie tylko dlatego, że taki charakter nadawała mu wówczas powszechna w Rosji rewolucja i jego zgodność z tą rewolucją, ale i dlatego, że strejk ten nie był połączony z ucieczką strejkujących zagranicę, że przeciwnie obecność strejkujących stwarzała nowy czynnik, nowy ferment wybuchów rewolucyjnych, rozprzegając stare formy bytu państwowego, rozprężając atmosferę walki i zmuszając samo społeczeństwo burżuazyjne do szukania dróg wyjścia dla szkolnego wychowania swych dzieci.

Teraz, kiedy uchwała zakopiańska utrwala w społeczeństwie burżuazyjnym ugodową drogę wyjścia przez wysyłanie młodzieży studenckiej zagranicę, gdy wówczas obecność strejkujących wytwarzała tylko rewolucyjną drogę wyjścia w kwestji szkolnej, teraz, bez wszystkich innych obiektywnych warunków ówczesnego strejku młodzieży — bojkot szkolny mógłby w najlepszym razie uchodzić za nic, za niemający żadnego znaczenia politycznego, gdyby jednocześnie zjazd zakopiański, jego większość narodowo-demokratyczna, jego stosunek do metody von-anrepowskiej, jego cel, jego obrona

szkół prywatnych zapomocą milczenia i jawnego unikania walki politycznej, jego znaczenie jako środka oszczędzania dysonansu polityce Koła Polskiego — gdyby wszystko to tak fatalnie i jaskrawie nie odkryło jego reakcyjnej, kontrrewolucyjnej treści.

W ten sposób między ojcami i dziećmi burżuazyjnego społeczeństwa znika wszelkie przeciwieństwo, oba pokolenia różnymi drogami schodzą się do jednego punktu, do wspólnego gościńca polityki ugodowej, ale w ten sposób sama sprawa szkolnictwa polskiego znajduje się w jak najgorszym położeniu.

Jeżeli młodzież burżuazyjna w gęstym dymie „buntowniczego ducha“, otoczona aureolą „bojowników“, ucieka zagranicę od walki w kraju za swoją własną szkołę, to na tym polu, jak i na każdym innym, cały ciężar walki spada na barki socjalistycznie uświadomionego proletariatu. I klasa robotnicza, która na targu ugodowym mogłaby zaoferować rządowi tylko własne kajdany i która z samego swego położenia ma tylko rewolucyjną drogę przed sobą, zdobędzie szkołę polską, zdobywając dla siebie wolność.

W ar.

Owoce polityki agrarnej.

Napisał P. Masłow.

Po zawieruchach rewolucyjnych roku 1905—6 w całej Rosji nastąpiła cisza. Reakcja sroży się bez przeszkód, mszcząc się okrutnie za czasową porażkę. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że kraj, zamiast postąpić naprzód po torach rozwoju społeczno-politycznego, cofa się wstecz, ponieważ stracił wszystkie nieledwie placówki, zdobyte w latach rewolucyjnych. Zdawałoby się, że żadnej prawidłowości rozwoju społecznego niema, że po konwulsyjnych wstrząśnieniach nastąpił martwy spokój i zupełny zastój w życiu politycznym i gospodarczym.

Atoli jeśli wejrzymy głębiej, w podstawowe przyczyny, które zrodziły rewolucję i jej wyniki, rozeznamy nietylko zupełną prawidłowość i nieuchronność wybuchu rewolucyjnego, lecz i dalszy rozwój życia gospodarczego w tymże kierunku, w jakim rozwijało się ono przed rewolucją i do rewolucji doprowadziło.

Aby wytworzyć sobie należyte wyobrażenie o terażniejszości i najbliższej przyszłości, trzeba zajrzeć w przeszłość i znaleźć w niej przyczyny współczesnych stosunków społecznych. Pod tym tylko warunkiem możemy przedstawić w należytej perspektywie i w należytych związkach przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Dlatego przyjrzyjmy się stosunkom społecznym, które spowodowały rewolucję, następnie zaś zastanówmy się, o ile zmieniły się one i co obiecują w przyszłości...

I.

Stosunki rolne Rosji przedrewolucyjnej wycisnęły silne piętno na całym ustosunkowaniu jej klas społecznych. Określały one zarówno stanowisko i rolę polityczną szlachty i włościaństwa, jak ich wzajemny stosunek.

Jak wiadomo, nader ważne miejsce w gospodarstwie obszar-niczym i włościańskim zajmowała dzierżawa gruntów obszar-nicznych, rozpowszechniona w całej Rosji środkowej.

Dzierżawa, zrodzona przez małorolność chłopów i brak innych sposobów zarobkowania w środkowej czarnoziemnej Rosji, nosiła charakter dzierżawy naturalnej, t. j. dzierżawy, mającej na celu nie zysk dzierżawcy, lecz zdobycie środków, niezbędnych do życia, do opłaty podatków i t. p.

W walce ekonomicznej o dzierżawę gruntów pomiędzy drobną gospodarką naturalną a gospodarką kapitalistyczną — warunki tej walki wyświetliłem w tomie I i II Kwestji rolnej — zwyciężała gospodarka drobna, lecz zwyciężała za cenę swej własnej ruiny. Wskutek konkurencji z gospodarką kapitalistyczną i wzajemnej konkurencji dzierżawców czynsze dzierżawne gruntów obszar-nicznych tak się podniosły, że włościanie nie tylko nie wydobywali z dzierżawy i ze swych własnych działek rolnych niezbędnych środków istnienia, lecz musieli zmniejszać środki produkcji, — głównie żywy inwentarz, — aby dalej prowadzić swą gospodarkę naturalną¹⁾. Spisy wojskowo-końskie stwierdzają olbrzymie zmniejszenie ilości żywego inwentarza u włościan w ciągu lat 90-tych aż do początku rewolucji. W ten sposób włościanie niepomiernym wyśrubowaniem czynszu dzierżawnego zagarnęli pod drobną dzierżawę ogromną część gruntów obszar-nicznych, nie pozwolili rozwijać się na nich kapitalistycznej gospodarce najmickiej, lecz tym samym przygotowali kryzys własnej swej gospodarki naturalnej. Albowiem podniesienie czynszu dzierżawnego odbywało się kosztem niezbędnego dla gospodarki wiejskiej żywego inwentarza, takie zaś zmniejszenie nie mogło się ciągnąć bez końca. Dla niektórych grup włościan przesilenie nastąpiło wcześniej, dla innych — nieco później, lecz w początkach bieżącego stulecia ruina ogarnęła już tak rozległe koła włościaństwa, że coraz wyraźniej dostrzegało ono rozpaczliwość swego położenia. Prowadzenie gospodarki bez dzierżawy gruntów obszar-nicznych okazywało się niemożliwym, a tymczasem czynsze dzierżawne były tak wyśrubowane, że dalsze branie ziemi w dzierżawę stawało się niepodobieństwem. Jak zaznaczyliśmy już, w latach 90-tych dzierżawa trzymała się powolnym „przejadaniem“ bydła. Dalsze zmniejszanie środków produkcji było niepodobieństwem, ponieważ bez bydła niemożliwa jest i dzierżawa. Włościanie mieli dwa tylko wyjścia: albo zniżenie przemocą czynszu dzierżawnego, albo wywłaszczenie gruntów ob-

1) Według słów referenta chersońskiego zgromadzenia gubernjalnego w ostatnich latach dzierżawca musiał dopłacać do wziętego gruntu ze swych dawnych oszczędności, „oszczędności“ zaś te składały się przede-wszystkim z bydła.

szarnicznych. Ruch rewolucyjny zaczął się też przede wszystkim od żądania niżki czynszu dzierżawnego i od zagarniania przemocą tych gruntów, których ziemianie nie chcieli puszczać dalej w dzierżawę zrujnowanym dzierżawcom.

O nastąpieniu kryzysu w gospodarce włościańskiej w przededniu rewolucji świadczą mogą następujące dane. Zestawienie spisów wojskowo-końskich za r. 1888—1901 pokazuje, że proces zubożenia w ciągu jednego tylko dziesięciolecia daleko posunął się naprzód. W 31 gubernjach Rosji europejskiej, z wyjątkiem okręgów południowego noworosyjskiego, wschodniego i południowo-wschodniego t. j. kresów Rosji, liczba koni zmniejszyła się do tego stopnia, że przyjmując liczbę gospodarstw w r. 1888 za 100, otrzymujemy w r. 1899—1901¹⁾:

bez koni	122
o 1 koniu	125
„ 2 koniach	96
„ 3 „	65
„ 4 „	57
„ 5 „	45
„ 6 i więcej	41

Przy takich warunkach obok kryzysu gospodarki włościańskiej nastąpił również kryzys dzierżawy naturalnej: drobny dzierżawca nie mógł już płacić wyśrubowanych czynszów dzierżawnych i konkurować z gospodarką kapitalistyczną.

Powyżej scharakteryzowane warunki określały i stosunek klasy obszarników do włościan.

Dopóki „samodzielny“ włościanin, posiadając działkę, brał w dzierżawę grunt obszarnika po wyśrubowanych cenach, przyczem własna działka włościanina pozwalała podnosić czynsz dzierżawny do kolosalnych rozmiarów, dopóty właścicielowi ziemskiemu zależało na tym, aby włościanin posiadał własną działkę i własne gospodarstwo. Albowiem, otrzymując część środków utrzymania ze swojej działki, włościanin mógł się zadawać mniejszą częścią produktu z dzierżawionej ziemi. Jak robotnik lub chałupnik, mając niewielki kawałek ziemi, może pracować za niższą płacę, podobnie włościanin, mając swój skrawek roli, może się zadawać mniejszą częścią produktu z dzierżawionego gruntu. W ten sposób przed rewolucją ziemiaństwo miało interes w tym, aby włościanie posiadali ziemię ukazową i własne gospodarstwo, gdyż tylko w tym wypadku mogli oni być najdogodniejszymi dzierżawcami i wzajemnymi konkurentami. Włościanin bezrolny jest już złym dzierżawcą. Przeciwnie, włościanin-proletariusz jest dla właściciela ziemskiego, puszczającego grunta w drobną dzierżawę, żywiołem zbytecznym, szkodliwym, bo przy puszczaniu ziemi w dzierżawę niepotrzeba już najmitów. Ma się rozumieć, że i przed rewolucją niektórzy obszarnicy prowadzili gospodarkę najmicką, lecz ten typ ziemianina znaleźć można było głównie

¹⁾ Patrz Agrarnyj wopros tom II, str. 7 i nast:

w kraju zachodnim i południowo-zachodnim, gdzie nie było spółnoty.

W ten sposób troskliwość obszarników o zachowanie spółnoty, jako wału ochronnego przeciw proletaryzacji włościaństwa, troska o zachowanie drobnej gospodarki włościańskiej, liberalne zarządzenia ziemców, zmierzające do podtrzymania tej gospodarki, miały grunt w stosunkach społecznych, sformowanych przed rewolucją.

Kryzys gospodarki włościańskiej, który wywołał ruch rewolucyjny włościan i próby obniżenia czynszów dzierżawnych lub odebrania ziemi obszarnikom, pokazał, że istnienie dzierżawy naturalnej zbliża się do kresu, że można tylko liczyć na dzierżawę „silnych“ gospodarzy-włościan, albo trzeba prowadzić gospodarstwo najmickie. W obu wypadkach nietylko niema potrzeby zachowywania „samodzielności“ masy zubożałych włościan lecz przeciwnie wywłaszczenie części włościan z jednej strony wzmocni „silnych“ gospodarzy, z drugiej – da niezliczone zastępy najmitów, da tanią pracę najemną.

Oczywiście przewrót w poglądach obszarników i rządu na kwestję włościańską nie zrodził się z prawidłowych rozumowań teoretycznych, lecz odbył się na gruncie praktycznej walki ekonomicznej i politycznej, która doprowadziła do takiego zrozumienia powstałego stanu rzeczy. Widzimy stąd, że zdarzenia historyczne mają swoją „logikę“, że rozwój ekonomiczny z żelazną koniecznością pcha walkę klas społecznych w określonym kierunku, że i rząd i reakcyoniści musieli pójść drogą, na którą ich parła konieczność gospodarcza: wnieść stosunki kapitalistyczne do gospodarki wiejskiej, najdłużej zachowującej przeżytki poddaństwa chłopskiego.

II.

Jak wiadomo, dzisiejsza polityka agrarna rządu, popierana przez większość Dumy, prowadzona jest w wyżej wskazanym kierunku. „Stawka na silnych“, próby wzmocnienia gospodarki zamożniejszych włościan przez wywłaszczenie większości cechują całą dzisiejszą politykę agrarną rządu.

Większość Dumy idzie w tym kierunku dalej jeszcze niż rząd. Z jednej strony Duma uznała za skasowane wszystkie spółnoty, w których nie było ogólnych podziałów w ciągu ostatnich 24 lat. Z drugiej strony do rządowego projektu prawa o „nietykalności (!) osobistej“ większość komisji dumskiej wstawiła punkt, według którego przy ochronie wzmocnionej strejki rolne podlegają kompetencji sądów wojennych, jako zakłócenie porządku publicznego, szczególnie niebezpieczne dla państwa! W projekcie tym obecni władcy kraju ze szczególną czelnością pokazują, że swoje interesy pieniężne utożsamiają z interesami państwa.

W ten sposób zarówno przed rewolucją, jak i po niej polityka agrarna rządu i obszarników formułowała się w szchedrinowskim hasle „leż do (chłopskiej) kieszeni“.

Widzieliśmy, czym się zakończyła polityka „ekonomiczna“ przed rewolucją. Jakież skutki ma ona i będzie miała teraz?

Na pierwszy rzut oka zdaje się, że politykę rządową uwięczy całkowite powodzenie. Mnóstwo włościan przepisuje na swoją własność działki ukazowe. Pomimo wszystkich wysiłków urzędników, włościanie niechętnie zakładają na działkach oddzielne gospodarstwa, zato wielu, przepisawszy na siebie szachownicze skibki swojej ziemi ukazowej, sprzedaje je za bezcen, aby potem bez roli, wyprzedawszy swą chudobę, wyprawić się na poszukiwanie ziemi. Olbrzymia liczba przesiedleńców wyjeżdża do Syberji i wielu, nie znalazzy tam ziemi, powraca do kraju, utraciwszy ostatnie mienie.

W południowych stepowych gubernjach stosowanie prawa 22-go listopada zrodziło odrębną kategorię bezdomnych i bezrolnych nędzarzy, których miejscowi właściciele nazywają „szatunami” (włóczęgami).

„Włóczęgi”, którzy zdaniem zwierzchności mieli się zmienić w zamożnych futurników, porzucają stare siedziby i brodzą ze swą chudobą po drogach stepowych, szukając miejsca, gdzie można byłoby „ucześcić się” i rozpocząć nowe życie... Lecz „ucześcić się” nigdzie się nie udaje i „włóczęgi” posyłają swe żony i dzieci na żebrzy, lub doprowadzeni do rozpaczki głodem i brakiem pracy biorą się do okradania osiadłej ludności. „Ponury obraz przedstawiają ci koczownicy — pisze S. Pietrowski, korespondent gazety *Russkoje Słowo*, — obozujący gdzieś za wsią na spalonym, pełnym kurzu wygonie... Mężczyźni na wszystkie pytania odpowiadają ospale, leniwie i obojętnie, jak ludzie, którym „wszystko jedno”... Ten zupełny brak nadziei i wiary w lepszą przyszłość jaskrawo odróżnia „włóczęgów” od przesiedleńców, którzy snuli się kiedyś po drogach stepowych, szukając wolnych gruntów. W jakkolwiek ciężkim położeniu znajdował się przesiedleńca, rzadko jednak dochodził do tego zwątpienia, które jest charakterystyczną cechą „włóczęgów”.

Korespondent jaskrawo charakteryzuje tę — w dosłownym znaczeniu wyrazu — okropność, która powstała na wsi pod wpływem ustawy 22 listopada. Bieda wiejska, sprzedawszy swoje działki i znalazzy się bez pieniędzy, które trzeba oddać za długi bogatszym sąsiadom wraz z ziemią ukazową, wpada w położenie bez wyjścia, ponieważ tracąc ziemię włościanin zostaje bez pracy. Zobopólne rozjątrzenie dwóch grup ludności prowadzi do zabójstw, podpałań, grabieży itp. i zatruwa byt obu stronom. Ostatecznie coraz większa część ludności zmienia się i musi się zmieniać w tych „włóczęgów” którzy już stracili wszelką nadzieję i mają przed sobą tylko wymieranie... Tenże korespondent pisma *Russkoje Słowo* opisuje, w jak „prosty” sposób odbywa się proces burzenia dawnych stosunków gospodarczych pod wpływem nowego prawodawstwa. „Głęboka rozterka pomiędzy Krasnopolańczykami, która doprowadziła do bójek, zaciekłych walk i podpałań, jest bezpośrednim i najbliższym wynikiem zamętu, powstałego na gruncie ustawy 22-go listopada. Miejscowi „bogacze” i lichwiarze przy pomocy wódki skłonili chłopów do przyjęcia uchwały o podziale ziemi na futory, poczym natychmiast zaczęło się sprzedawanie gruntów za bez-

cen. Bieda wiejska, wiecznie potrzebująca grosza i zadłużona po uszy, poddała się wielkiej pokusie otrzymania odrazu większych stosunkowo sum, tak, że w kilka tygodni sprzedano do 200 działek po bezwstydnie niskich cenach, od 40 do 80 rub. za diesiatynę“.

A potem — „lepiej umrzeć“ mówili hołysze, „bez ziemi nie żyjemy“. Lecz i lichwiarze i majątni chłopci, którzy skupili za bezcen „dusze“, ze swej strony użalali się, że mają zatrute życie. „Albo zabijają, albo podpalają. Lepiej rzucić wszystko i uciec“.

Organizująca władanie rolę działalność rządu po rewolucji zaczęła się przedewszystkiem od rozprzedania gruntów banku włościańskiego na warunkach osobistego posiadania. Ponieważ zaś włościanie niezbyt chętnie kupowali grunta bankowe po wyśrubowanych cenach, a i zdolność kupcza włościan okazała się nader ograniczoną, rzecz więc naturalna, że energia „organizatorów“ skierowała się na organizację władania gruntami ukazowemi. Ku schyłkowi 1908 r. dokonywano podziału gruntów ukazowych dla 125 000 gospodarzy, mających ziemi z górą 1 200 000 diesiatyn, przyczym dla 85 000 gospodarstw podział ziemi w ilości 750 000 diesiatyn był zakończony. Z tej liczby większa część tyczy się podziału ziemi ukazowej całych wsi na zagrody i futury i rozbicia wielkich wsi, a mniejsza — dotyczy przejścia osobistych posiadaczy na zagrody i futury zgodnie z ukazem 22-go listopada 1906 r.

Przytoczonych danych niepodobna uważać za niższe od rzeczywistych, ponieważ trudno przypuszczać, aby sami „organizatorzy“ (na zjeździe stałych członków urzędów gubernjalnych i komisji „organizujących“) zmniejszali rezultaty swej działalności. Tym nie mniej i 100 000 gospodarstw stanowi nikły procent ogólnej liczby gospodarstw, władających ziemią na zasadach wspólnictwa. W daleko większych rozmiarach zachodzi przepisanie na własność ucząstków, tworzących szachownicę z gruntami gminnymi¹⁾. Jeśli w ten sposób gospodarka zagrodowa i futorowa krzewi się z mniejszym powodzeniem, niż życzyliby sobie „organizatorzy“, — a po gospodarce futorowej tylko spodziewać się można postępu rolnictwa, — to różniczkowanie wsi i wywłaszczenia włościan według powszechnej opinii posuwa się szybkim krokiem. Nawet przypuściwszy, że wszystkie futury będą kwitły, co jest bardziej niż wątpliwe, — daleko większa część włościan, którzy sprzedali swe działki, ostatecznie się wywłaszczy i zrukuje. Przepisanie na własność działów, tworzących szachownicę z ziemią gminną, ma sens tylko wtedy, gdy się ma na celu ich sprzedaż, ponieważ dla kultury rolniczej przepisanie ucząstków szachowniczych nie ma żadnego znaczenia: szachownica, podobnie jak władanie gminne, z konieczności wymaga przymusowego następstwa zasiewów.

W ten sposób manifest 22-go listopada według zdania gazety *Russkoje Znamia*, „uznał to, czego tak długo pragnęło włoś-

Już w końcu 1908 r. w samej gubernji Orłowskiej podano 60 000 deklaracji o przepisaniu działek ukazowych na własność; w gub. Samarskiej do tego czasu przepisano 51 000 działek itp.

ciaństwo rosyjskie: powszechne prawo do posiadania roli i wolności t. j. prawo do rozporządzania swym działem oraz wolność wyjścia ze wspólnoty“, czyli mówiąc prościej, prawo do wyzucia się z roli i „wolnego“ pójścia na wszystkie cztery wiatry...

Rzucając chłopom do podziału grunta ukazowe, rząd odciągnął ich uwagę od gruntów obszarnczych i jednocześnie stworzył warunki, sprzyjające wyzyskowi taniej pracy najemnej. Zdawałoby się, że staruszka historia została oszukana, a dla przeżytej szlachty otwiera się nowa era rozkwitu gospodarczego i politycznego.

Wszelako nietrudno wywnioskować, że podział gruntów ukazowych nie jest jeszcze istotą i podwaliną życia ekonomicznego. Na podzielonej ziemi, podobnie jak na gruntach dworskich, uprawianych pracą najemną, trzeba gospodarować. Dla zaspokojenia zaś nienasyconej zachłanności skarbu trzeba wyciskać podatki z tych samych włościan.

Zdecydowawszy się wywłaszczyć ogromną część chłopów, rząd najwidoczniej nie widzi już w nich osób, zdolnych należycie wypełniać powinności podatkowe, lecz pokłada swe nadzieje w „silnych“ włościanach. Ale ze stu tysięcy włościan, choćby się ich obdarło do szczytu, nie zbierze się takiej sumy podatków bezpośrednich i pośrednich, jaką się ściągało ze stu milionów. Wywłaszczenie chłopów okazało się o wiele łatwiejsze, niż zwiększenie ich zdolności płatniczej. Rząd będzie musiał, chcąc czy nie chcąc, „zdzierać skórę“ z tej setki tysięcy „silnych“ włościan i sprowadzać ich do jednego mianownika z już zrujnowanemi włościanami, aby nie fatygować trzydziestu tysięcy stanu „naczelnego“. Najbliższa przyszłość pokaże, że wiara rządu i większości dumskiej we wszechmoc ustawy i okólnika opiera się na kruchych podstawach¹⁾, że niedość jeszcze zburzyć spólnotę, aby dać bodźca rozwojowi ekonomicznemu.

1) Taką samą wiarę, lecz w okólnik rewolucyjny, okazuje tow. Trocki, który w jednym z artykułów Przeglądu Socjaldemokratycznego (Nr. 12 „Włościaństwo a Socjaldemokracja“) pisze: „Przejście skonfiskowanej ziemi na własność całego ludu (względnie państwa) jest w każdym razie nieodzowną rewolucyjno-polityczną przesłanką municypalizacji ziemi“. (Str. 134). Jak zrozumie każdy, municypalizacja ziemi przypuszcza z góry rewolucyjne zagarnięcie jej w prowincjach. Tow. Trocki sądzi widocznie, że z początku władza rewolucyjna wyda okólnik o nacjonalizacji ziemi („nieodzowna przesłanka“), a potem w prowincjach zacznie się rewolucja i zagarnianie ziemi. Że tow. Trocki tak myśli, widać z dalszych słów: trzeba, z daniem jego, tłumaczyć, że „...potrzebne mu (włościaninowi) użytki może (on) otrzymać tylko (!) z rąk (!) nowego, demokratycznego państwa. Municypalizacja jest programem, z którym będziemy mogli wystąpić w konstytuancie; ale wszak to już przypuszcza istnienie konstytuanty, mającej (?) w swym rozporządzeniu fundusz rolny kraju“. A więc ziemi nie będzie miała w rękach ludność miejscowa, która może ją zagarnąć tylko przy ruchu rewolucyjnym, lecz konstytuantę! Dokonać tego może tylko okólnik. Ta wiara tow. Trockiego zupełnie jest identyczna z wiarą włościan w czasie rewolucji, że Duma odda im grunta obszarncze. Jakoż tow. Trocki zaleca wzmacniać tę wiarę dla usunięcia „kretynizmu lokalnego włościan“. Niestety, jeśli z wiary w siłę urządzeń centralnych i okólników wnosić będziemy o szerokości poglądu włościan, to wykazali oni niemniejszą szerokość, niż tow. Trocki, ponieważ niez-

Do prowadzenia gospodarki kapitalistycznej potrzeba nietylko tanich rąk roboczych, — pod tym względem i przed rewolucją nie dawał się odczuwać szczególny brak, — lecz potrzeba i kapitału w rękach rolnika i rozwiniętego rynku wewnętrznego, podtrzymującego wysokie ceny zboża. Rozwój zaś rynku wewnętrznego wymaga koniecznie rozwoju przemysłu i zwiększenia spożycia mas ludności. Tymczasem rząd, stwarzając jedne warunki rozwoju gospodarki kapitalistycznej (wywłaszczenie części chłopstwa i podział ziemi), niszczy inne warunki, nie mniej, lecz bodaj bardziej niezbędne dla rozwoju sił wytwórczych: rujnuje i będzie rujnował szeroką masę włościaństwa olbrzymimi podatkami, trwonionymi zupełnie nieprodukcyjnie z punktu widzenia rozwoju gospodarstwa narodowego. Chłop-gospodarz potrzebuje nietylko „zebrać“ ziemię, lecz i prowadzić na niej racjonalniejszą gospodarkę z większymi środkami wytwarzania. W początku zaś artykułu wskazaliśmy, że liczba koni u włościan najmajętniejszych najbardziej spadła, a niema powodu przypuszczać, że spadek ten nie będzie trwał dalej i w przyszłości.

Nadto dla włościanina, który się zmienił w zamożniejszego burżua, szczególnie dotkliwym się staje ucisk biurokratyczny, przywileje szlachty i inne powaby dzisiejszego ustroju, albowiem, wysunąwszy się z pośród włościaństwa, burżua silniej jeszcze odczuwać będzie swe upośledzenie prawne, stawiającego go narówni z sąsiadem proletariuszem.

Coprawda włościanin-gospodarz nie będzie już dążyć do podziału ziemi na zasadach równościowych z bezrolnym sąsiadem i marzenia trudowików i innych utopistów, rojących o nacjonalizacji ziemi dla zaprowadzenia równości, przejdą do dziedziny tradycji; lecz dążenia demokratyczne, dążenia do usunięcia nierówności stanowej, samowoli biurokratycznej i t. p. rozwiną się tym silniej, im bardziej będą upadać resztki dawnej gospodarki naturalnej. Albowiem wytwarzanie towarowo-kapitalistyczne niszczy nietylko starą gospodarkę gminną, lecz i jej ideologję i wiarę w dobroczynną moc centralnego rządu, którą na swój sposób chce wzmocnić tow. Trocki. Teraz w kraju południowo-zachodnim włościanie wierzą czarnosecińcom, że rząd odbierze ziemię polskim obszarnikom i odda ją włościanom, podobnie jak wierzyli trudowikom, że robi to Duma. Na szczęście wiarę taką rozbija sam bieg wypadków politycznych...

Ponieważ wywłaszczonych chłopów nie może pochłonąć przemysł miejski, — dla rozwoju jego niema jeszcze przyjaznych warunków, — i ponieważ gospodarka obszarnicza również nie może ich zużytkować jako najmitów, więc te czynniki rozkładu starego ustroju są jeszcze niebezpieczniejsze dla współczesnego ustroju politycznego, niż były przedtem, przed rewolucją. Niedarmo czarnosecińcy z obawą oczekują skutków wywłaszczenia chłopów, słusz-

chwianie wierzyli w siłę okólnika, spodziewając się nadania przez Dumę gruntów, które faktycznie znajdowały się w rękach obszarników. Ja przynajmniej nie widzę, aby jedna wiara była w czymkolwiek lepsza od drugiej...

nie przypuszczając, że nie tak łatwo gospodarstwo obszarncicze, puszczające grunta w dzierżawę, da się zmienić w intensywne gospodarstwo z najmitami. Nic dziwnego, że np. czarnosecinne pismo *Za Caria i Rodinu* wrzeszczy: „Gdzież się podzieje ten nowostwarzany proletarjat rolny? Jeśli ma pójść do miast, to miasta i bez tego roją się od ludzi bez zajęcia, dźwigających cały ciężar niedoli i mnożących przestępstwa i wydatki państwowe na więzienia i sądy. Jeżeli nowy ten proletarjat zostanie na wsi i stworzy nowy zastęp robotników rolnych, to jacyż to będą robotnicy bez własnego kąta, bez roli, przywiązującej ich do danej wsi?... Właśnie wskutek swej niestałości żywiół ten stanowiąc będzie zawsze materiał palny, wiecznie zarażony rewolucyjnymi majaczeniami. „Niech żywioly słabe i niezdolne pójdą precz z roli, — mówią utuczeni sklepikarzepaździernikowcy, — i niech ziemia skupi się w mocnych rękach“. Nie mówiąc już o tym, że za dawnych czasów (!) nie traktowano tak nawet psów, a nietylko ludzi, zapytamy jednak od siebie, gdzie się podzieją te „słabe żywioly“?... Rzucone na pastwę rozpusty i pijaństwa, — kończy czarnosecinna gazetka, — pójdą one ze zgrzytaniem zębów, z rozjuszonym obliczem i drżącymi pięściami żądać od tego zepsutego i nikczemnego społeczeństwa prawa do życia. I biada wszystkim sprzedajnym faryzeuszom i obłudnikom, gdy zabrzmi to żądanie“!

Wylęknieni czarnosecińcy zaczęli mówić językiem broszurek anarchistycznych, bo rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, gdzie się podzieją „włóczęgi“, których liczba wciąż rośnie w miarę, jak wchodzi w życie ustawa 22-go listopada. Bądź co bądź, „włóczęgi“ będą się starali zachwiać ten ustrój ekonomiczny, który ich wyrzucił na gościniec.

Niema powodów do przypuszczenia, że rozstrzelone masy głodnych, bezrolnych włościan zniweczą kształtujący się ustrój kapitalistyczny, lecz są powody do oczekiwania, że część tych żywiółów wejdzie do szeregów zorganizowanego proletarjatu i że obecny ustrój polityczny niepodzielnego panowania szlachty obszarnciczej znajdzie przeciwników nietylko wśród bezrolnych chłopów, lecz i wśród tych „silnych“, o których tak się troska ministerjum Stołyppina. Dając im jedną ręką grunta wywłaszczonych chłopów, rząd nie może „nie strzyc ich do naga“ drugą ręką, ponieważ apetyty biurokracji i szlachty bynajmniej się nie zmniejszyły przy „odnowionym“ ustroju.

Śmieszna tragiedja polskiej nędzy¹⁾.

Napisał Henryk Konaszewicz.

Lalki, szopka, podłe maski,
Farbowany fałsz, obrazki...
Wesele II, 30.

Jeśli każda literatura odbija w sobie życie narodu, który ją zrodził, to o literaturze polskiej można to powiedzieć w nieskończenie większym stopniu, niż o wielu innych. Od stu lat bowiem stanowi ona jedyne forum polityczne rozdartego i ujarzmionego narodu polskiego; do niej się przenoszą spory ideowe, walki klasowe i w niej się rozgrywają w postaci uduchowionej, przeobrażonej, podobnie, jak w obrazie Kaulbacha duchy poległych wojowników toczą dalszy bój w sferach napowietrznych, ponad walczącymi zastępami żywych.

I dziś jeszcze ścisły ten związek trwa dalej. Tylko większe zróżniczkowanie klasowe narodu nadało i literaturze oblicze mniej jednolite, bardziej chaotyczne i trudne do odcyfrowania. Literatura odzwierciedla w sobie przedewszystkim duchowość warstwy par excellence produkującej i konsumującej dobra duchowe — inteligencji. W wielkiej zwłaszcza mierze dzieje się to u nas, gdzie krańcowe warstwy społeczeństwa, burżuazja i proletarjat, są jeszcze bardzo mało „unarodowione“. Inteligencja zaś nasza w różnych swych odłamach piastuje ideały wszystkich klas i przelewa je do literatury w formach przeistoczonych, mieszanych, nieraz skarykaturowanych. Lecz niestety, czas czystej twórczości proletarjackiej jeszcze w żadnym z zakątków tej literatury nie nastąpił. W dzisiejszych zaś warunkach społecznych wszystko, co jest dwupłciowe, co nie odcina się wyraźnie od środowiska burżuazyjnego, musi się z nim asymilować. Dlatego, jeżeli literatura nasza faluje równolegle z przypływami i odpływami ruchów i odruchów społecznych, to przedewszystkim zachowuje styczność z powierzchnią burżuazyjnej części społeczeństwa. Wzdyma się ona i opada równolegle ze wzlotem i upadkiem porywów i ideałów tych warst. Tym się tłumaczy fakt, że nasza twórczość literacka, tak silna, płodna i świeża w przededniu rewolucji, tak pełna różowych złudzeń i snów o potędze, tak radosna swym wiosennym burzliwym dążeniem — bez celu, tak wołająca razem ze Staffem

Odlóż mi, Panie, na jesień żywota
dzień mego czynu!

w roku 1905, wobec spełnienia, różnego od spełnień marzonych, runęła nagle jak podcięta i dotąd się nie podniosła z upadku, podobnie jak się nie podniosły ideały niepodległościowe, które od stu lat były krwią i tchem naszej poezji.

Faktem jest, że rewolucja zadała naszej literaturze cios dotkliwy. Przed nią mieliśmy cały szereg arcytworów, któremi nas

1) Józef Katerla, *Róża*, dramat niesceniczny. Kraków 1909.

rozrzutnie darzyła nowa Plejada polska: Wyspiański, Żeromski, Kasprowicz, Berent, Przybyszewski i inni. Dziś te siły życiodajne, które tak nagle wytrysnęły, równie raptownie skryły się pod ziemię. Jedni twórcy zamilkli, inni wpadli w rozkład. Okres rewolucyjny wydał karykaturalne paszkwile, jak Rewolucja Tetmajera, Książ Potiemkin Micińskiego, albo z drugiej strony słabe kwilenia niepowołanych piewców rewolucji, próbujących ptasiami gardziółkami śpiewać wśród burzy. Z pod ogólnej reguły skarłowacenia i zaniku wyłamały się nieliczne tylko wyjątki, które zresztą z podstawowemi zagadnieniami społecznymi i etycznymi łączy luźny tylko związek. Wszystkie niemal utwory, które na świat przyszły w tej dobie, noszą cechy uwiadu starczego, wewnętrznego rozprzężenia. Znamionują one epokę przejściową, oddzielającą jeden świat idei, umarły, od drugiego, jeszcze nienarodzonego.

Jednym z takich dzieł jest ostatnio wydany „dramat niesceniczny“ Róża, napisany przez jednego z najwybitniejszych autorów polskich. Odznacza się to dzieło tylko tym od wielu innych, że w formie artystycznej daje wyraźną treść polityczną. Krytyk-społecznik nie znajdzie żadnych trudności przy jego klasyfikowaniu, bo autor występuje z podniesioną przyłbicą, jako stronnik zupełnie określonej partji. Ale właśnie po stwierdzeniu tego punktu wyjścia zaczynają się trudności w analizie artystycznej dramatu. Albowiem partją, której orędownikiem staje się poeta Róży, jest Frakcja „Rewolucyjna“ P. P. S., ten najdziwaczniejszy twór naszej dziwacznej polskiej rzeczywistości. „Dramat niesceniczny“ jest poetycką apoteozą działalności tej partji.

Mamy więc przed sobą okaz poezji „partyjnej“, tego najobrzydliwszego typu twórczości tendencyjnej. Czy tego rodzaju poezja ma wogóle rację bytu, spierać się nie warto. Zabija się ona sama swoim niedołęstwem, niezdarnym trzepotaniem się w narzuconych sobie sztucznych ramach. Poeta może być ideologiem klasy, nieraz nawet być nim musi, bo klasowe pojęcia i sposoby odczuwania, bo wielkie klasowe dramaty dziejów są zbyt silne, aby mogły nie uzewnętrznić się w samorzutnej twórczości artystycznej. Poeta socjaldemokrata, którego utwory nie byłyby przesiąknięte ideami przewodniami socjaldemokracji, dowiódłby — nie że jest złym partyjnikiem, lecz że proletarjacki sposób myślenia jest czymś z zewnątrz mu narzuconym, a nie wrośniętym w jego psychikę i kształtującym wszystkie jej objawy. Poeta może być w swym życiu i czynach człowiekiem partji; o ile wszakże chciałby poza ogólnemi ideami klasowemi być i w twórczości człowiekiem ściśle określonej partji, wydawałby płody poronione, bo nieszczerze. Lecz jeśli poezja partyjna jest dziwolągiem sama przez się, to staje się nim w dwójnasób, gdy opiewana partja jest w swej ideologii mieszańcem, przybranym w strój arlekinowy, pozszywany z różnorodnych strzępków. Poetyzowanie tego chaosu ideowego staje się wtedy zadaniem iście zdradzieckim, bo ukazuje w fajerwerkowym blasku natchnienia wszystkie łamańce i niekonsekwencje, które oględniejsza publicystyka partji potrafi przyzwoicie owijać w bawełnę teoretycznej fra-

zoologii. Chwilami ujawnia się to w Róży tak jaskrawie, że sytuację dramatu ocierają się o mimowolny komizm i czytelnik zaczyna się obawiać, czy nie padł czasem ofiarą mistyfikacji. Ale nie! Autor bierze na serjo swój dramat i jego postacie; to tylko karykaturalne tezy wywalczają sobie od czasu do czasu odpowiednie formy uzewnętrznienia.

Treść dramatu Katerli — złożonego z prologu, siedmiu spraw i epilogu, — jest bardzo zawiła. W prologu ukazuje się nam tajemniczy spiritus movens akcji, Bożyszczę (Deity), postać wysoce symboliczna, bardzo mglista i dość podejrzana; gdyby niewyraźny ten osobnik był zwykłym śmiertelnikiem, mimowoli chciałoby się nieraz wziąć go — za „prowoka“. Jego rozmowa z Anzelmem, symbolicznym szpiegiem o szatańsko-potwornych zarysach, wypełnia cały niemal prolog. Okazuje się, że siewca zdrady, tortur i straceń jest na usługach Bożyszczę, które go używa, jako wzgardzonego narzędzia, do wytwarzania fermentu rewolucyjnego za pomocą coraz straszliwszego ucisku mas. Płytką teorię anarchizmu „im gorzej, tym lepiej“, wulgarną parodię rzekomo-marksowskiego „postępowego znużenia“, wylewa tu Katerla w kilku miejscach, pomiędzy innymi w jednym z płomiennych monologów Bożyszczę.

„...Wzmagaj się, nienawiści sekretna, niewytrzebiona, równa sile życia i sile śmierci. Wzmóż się, ciemności! Rozszerz się, nędzo! Rozpostrzyj się wzdłuż, — wszcz, — wgłąb, — stań się lotną i niewidzialną, jak zaraza. Niechaj nadal giną z suchot matki, zżerane nocami od kaszlu, wśród ociekających murów piwnicy. Nie dajcie im ratunku! Niechaj nadaremnie, bezsilnymi dłońmi garną ku piersi, pełnej krwawych płwocin, bezdomne dzieci. Niech przepada bezsilne potomstwo nędzarza wpośród milionowego miasta z chorób, z nędzy wylęgłych. Niechaj rośnie w rynsztoku i pośród zbrodni, brnąc przezczystymi stopkami w kale szarego życia. Niechaj wyrasta na złodzieja, ulicznicy i szpiega....“

To Bożyszczę, mnożące na ziemi polskiej katownie i szubienice, aby kiedyś „w ciągu jednej nocy zbudził się ze snu duch narodu“, jest poetyckim komentarzem do działalności Frakcji „Rewolucyjnej“. Komentarz równie dziwaczny, jak sama ta działalność i, co gorsza, równie nieszczerzy. Bo Katerla nie ma w sobie nic z bojownika, który, idąc do celu, potrafi obojętnie deptać trupy. Jego nadzwyczajnie wrażliwa dusza jest obolała litością i krwawi na widok ludzkiego cierpienia. Struna boleści drga w nim najpotężniej i wydaje dźwięk najczystszy, nigdy niezawodzący. Jego talent to nie Świst-Poświst burzy, lecz jęczący „polski wiatr, rapsod jedyny spraw tu pokonanych“, który „usłyszy imiona i poniesie je w pola, w lasy, na martwe niwy, ku brudnym wsiom. Wyszlocha je u zamaryłych okienek, wypłacze w węglach chałup“. Dużo z tych cech autora ma w sobie bohater dramatu, Czarowic, szlachcic-patrjota-bojowiec, postać zresztą wysoce niejednolita i niewytrzymana w charakterze. W „sprawie“ pierwszej, gdy go widzimy w celi więziennej, ta właśnie strona ujawnia się w nim najsilniej. Krzyczy jego ustami nadwrażliwość inteligenta, nieznośne odczucie niedoli kraju i ludu i paląca chęć sprzątnięcia z oblicza ziemi rodzinnej jak najprędzej

wszystkiego, co rani współczujące oczy. To zapamiętywanie się w boleści, lubowanie się w żalu po rzeczach bezpowrotnych dochodzi niekiedy do mdłej czułościowości, graniczącej ze śmiesznością. Czarowic, rozrzewniający się nad „domem, żal się Boże!—ambasady polskiej w Rzymie“, bolejący nad Kaszubami, „dzięki którym my mogliśmy sięgnąć do morza, stworzyć handel morski, mieć nawet statki handlowe“, jest chwilami chłopięco-naiwny w swej żałościowości polskiej. A jednak w tej właśnie dziedzinie leży siła Karterli, w tym rozszlochaniu nad krwawą, okaleczoną „śmieszna polską nędzą“. Gdy zaś ten liryk wychodzi ze swych szranek, gdy chce robić dramat symboliczny o głębokiej treści narodowo-politycznej, spada o całe niebo niżej i, co gorsza, zdradza kompromitujące tajemnice tych, których chciałby apoteozować.

Bo oto w sprawie drugiej znajdujemy Czarowica w biurze policji tajnej w czasie ohydnej sceny „badania“. W oczach jego szpiegowie na rozkaz naczelnika katują na śmierć robotnika-bojowca, nadaremnie zmuszając go do zeznań. A Czarowic po tej scenie „śmieje się głośno, coraz głośniej, zupełnie szczerze. Podnosi się na palcach i kołysz, jakby miał tańczyć“. I w rozmowie z naczelnikiem wypowiada słowa zabójczo-zdradzieckie.

„Po powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku byliśmy jedynie skatowaną szlachtą, społeczeństwem bez ludu. Wyście wtedy nam, szlachcie-narodowi, lud mądrze wydarli. Teraz w tej rewolucji, którą pan uważasz za ukończoną i zdławioną, myśmy wam lud nasz ze szponów wyrwali“...

A gdy naczelnik nie bez złościwości docina:

„Chcielibyście panowie szlachta wykupić się z niewoli krwią tego ludu, który przez tyle wieków kopalście żelaznemi butami. Ale to na nic!“

Czarowic odparowuje:

„Nie zmyjesz pan ze szmat, z duszy i wspomnienia chłopca polskiego i robotnika krwi, którą tu wylewasz! Wasze tortury budzą z martwych dusze. Wasza szubienica pracuje dla niepodległej Polski“...

I oto stajemy obu nogami na gruncie teorii Bożyszczka i Frakcji „Rewolucyjnej“. Im gorzej, tym lepiej. Im gorzej dla ludu, tym lepiej dla szlachty. Niepotrzebnie coprawda Katerla utożsamia szlachtę z dzisiejszą nacjonalistyczną inteligencją, karmiącą się okruchami dawnej ideologii powstańczej szlachty — i w innych ustępach dramatu sam ten błąd prostuje. Ale niedokładność ta nie zmniejsza jaskrawości wizerunku inteligienta-nacjonalisty, tańczącego z radości na widok katowania ludu polskiego przez Moskwę. Chwała knutowładcom, wyręczającym go w agitacji za niepodległą Polską! Bo inaczej cóżby on biedny miał temu ludowi pozytywnego do powiedzenia? Czarowic potrafi powiedzieć robotnikom tylko, aby nie oddawali się rozpuście (sprawa 1, obraz 1) i nie pili wódki (sprawa 6). Zaiste, trudno wymyśleć złośliwszą parodię na ubóstwo myślowe socjal-patriotyzmu. Katerla pokazuje dowodnie, że w pewnych wypadkach „trudno nie pisać satyry“, nawet wtedy, gdy się chce napisać—odę.

Jak obosieczne skutki ma „rewolucjonizująca“ działalność tortur i szubienicy, przekonywa się sam Czarowic, gdy go inny wytwór tego systemu, „tłum rodaków“—szpiegów, policzkuje i tarza po krwawej podłodze biura śledczego. Jego błąd logiczny mści się na nim tak, jak się pomścił na jego partji.

Idźmy dalej, a zobaczymy nowe przykłady tej przedziwnej logiki, wikłającej się w ciągłych sprzecznościach.

Do Czarowica, siedzącego w więzieniu, przychodzi (we śnie czy marzeniu) Bożyszczę w postaci i zbroi króla Władysława Warneńczyka. Dlaczego Warneńczyka, trudno się domyśleć. Może dlatego, że ten król, absenteista i szlachetny marnotrawca był jednym z pierwszych grabarzy monarchji polskiej? A może ma to oznaczać, że hasła, za które krew przelewa Frakcja, mają tyleż wspólnego z interesami Polski, co krzyż papieski, w którego obronie zginął Warneńczyk? Ale pomińmy to. Bożyszczę uwalnia Czarowica z lochu fortecznego i prowadzi go na trzy zbiorowiska ludzkie, symbolizujące współczesną Polskę. Obraz pierwszy przedstawia wiec fabryczny, drugi — odczyt dla ludu, trzeci — bal z żywymi obrazami w salonie burżuazyjnym. Bożyszczę i Czarowic wszędzie interwenjują, lecz czynią to w sposób bardzo niejednolity. Pokłóconych nawołują do zgody, zgodnych — usiłują pokłócić. W obrazie 1, na burzliwym, kłótliwym wiecu fabrycznym, Czarowic zwraca się do robotników, aby miarkowali się w żądaniach ekonomicznych, wyrzekli się „prawa do hulanki i rozpusty“, a to w celu „zjednoczenia się duszy ludowej“ dla „wojny z wrogiem zewnętrznym“. Mamy więc tu wyraźnie — nacjonalistyczną propagandę zaprzestania walki klasowej dla wytworzenia solidarności nazewnątrz. W obrazie 2 sytuacja nagle się odwraca: autor przypomina sobie, że jest socjalistą. Gdy prelegent-patrjota stara się właśnie stworzyć zjednoczenie duszy ludowej dla wojny z wrogiem zewnętrznym, Bożyszczę i Czarowic wtrącają zgrzytliwe nuty nienawiści chłopstwa do powstańczej szlachty. To zacieranie rozłamów klasowych dnia dzisiejszego a obok niego rozgrzebywanie takichże rozłamów z przeszłości jest dość znamienne dla chaosu ideowego, odzwierciedlającego się w dramacie Katerli. Obraz 3-ci daje pełną żółci satyrę na spodenie narodowe współczesnej burżuazji; tu Czarowic odgrywa rolę karzącego bicza i obnażyciela nienawiści klas walczących i pracujących dla klas bawiących się. Ale nie na długo starczy tej klasowości katerlowskiemu bohaterowi. Bo w sprawie 4-tej znajdujemy go, po ucieczce z więzienia, nad morzem, gorzko śmiejącego się ze swych mrzonek o zespoleniu narodu polskiego, rozproszonego na odłamy, odszczepy, części, warstwy, stronnictwa.

„Nie mógł dostrzec żadnego spoidła, któreby plemię polskie zjednoczyć mogło. Jedyne, ostatnie i niewątpliwe, które jak ściany mogłoby ten naród rozpierzchły w jedno zegnać i materjalnemi środkami zjednoczyć, — państwo niepodległe, — zostało odrzucone przez wszystkich rodaków...

Obraz symboliczny socjalpatryjotyzmu, Czarowic odbija się w ten sposób jak piłka od socjalizmu do czystego nacjonalizmu i z po-

wrotem, aby się wreszcie stoczyć w bezdeń samobójczego jednostkowego teroru.

W sprawie 7, po długich a, z punktu widzenia całości artystycznej i ideowej, dość zbytecznych przeprowadkach Czarowica, wyblyska wreszcie z osłonek rozwiązanie. Ale nie według przepowiedni Bożyszczka, że „w ciągu jednej nocy budzi się duch narodu“. Naród śpi jak spał. Zastępują go w walce dwaj inteligienci-bojowcy, Czarowic i gienjalny Dan, odkrywca tajemnicy ognia. „Wszystko poczniemy dla was, lecz bez was“, rzekł ongi Czarowic do robotników. Tego „dla was“ nie należy jednak brać dosłownie, bo bohaterowie Katerli, laureaci R o z y, nie są pozbawieni poczucia własnych praw do wielkości. Dan gotów jest rozbić na kawałki swój piekielny aparat, gdy Bożyszczka mówi, że jego to podniecie dumny terrorysta zawdzięcza ten wynalazek. Jest to jedna jeszcze cecha mała, a bardzo charakterystyczna. W „rewolucyjnej“ partji Dana roi się od takich bojowników, uożsamiających nietyle siebie ze sprawą, ile sprawą za sobą. — W Alpach, pod skałami, „z których przed wiekami obrońcy swej niepodległości zrzucili szczyty gór na pola Näfels i załtkli niemi napastnika ojczyzny“, odbywa się pierwsza próba. Dan zapala na odległość lasy, wysadza w powietrze wielkie naboje, pokrywane przez Czarowica, zwała szczyty do jeziora. Biada włączającym się po nocy turystom! biada niepodległym Szwajcarom! Bojowcy niepodległej Polski nie robią ceregieli z cudzą niepodległą ziemią...

W epilogu Dan robi ze swej broni właściwy już użytek. Wyniszcza mianowicie do nogi manewrującą po równinach pod Puławami armję rosyjską. W ogniu ginie i Czarowic, a prócz tego, jak wolno przypuścić, mnóstwo żołnierzy-Polaków. Czarowic przed skonem obiecuje to samo i wojskom pruskim. Jaka stąd korzyść dla niepodległości, trudno pojąć. Być może zresztą, że scen tych nie należy brać dosłownie. Symbol — to wiele usprawiedliwia. To tłumaczy nawet przedziwną ogniotrwałość swojskich lasów puławskich, które okazują daleko większą niż szwajcarskie odporność na swojski ogień Dana. Ale czy rzeczywście idei zwyrodniałego doszczętnie socjalpatryjotyzmu nie można było mniej śmiesznie usymbolizować? Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że zbankrutowana idea zaraża swą śmiesznością wszystko, co się z nią sprzymierzy.

Jak widzieliśmy, dramat Katerli jest utworem symbolicznym. Roi się w nim od postaci i pojęć, pod którymi dorozumiewać się trzeba ukrytej wewnętrznej treści. Jest to sposób tworzenia zupełnie usprawiedliwiony, ale tylko wtedy, gdy jest naturalnym wpływem indywidualności autora i wiernym wykładnikiem jego głębokich i szczerych przeżyć. Taki był symbolizm Wyspiańskiego. Uzmysławiał on subiektywną rzeczywistość poety, będącą odbiciem życia współczesnego Polski w jego jasnowidzącym umyśle. Dlatego jego symbole są, naogół biorąc, cudownie jednolite i wyraziste. Jeśli jest w nich jakaś mglistość i zawłość, to stokroć mglistsze i zawilsze dla zwykłego oka były objawy życia polskiego, którym te symbole dawały wyraz. Jeśli znajdzie się w nich jakaś nielogiczność,

jest ona odbiciem nielogiczności realnej. Poeta nie może schematyzować, bo jego symbolizowanie nie jest czynnością mechaniczną, lecz procesem duchowym nawpół podświadomym, a wyrastającym z życia psychicznego twórcy. Pomiędzy symbolizowanymi pojęciami a wyrażającym je językiem symbolów musi zachodzić naturalne powinowactwo uczuciowe i wyobrażeniowe. Koniecznym więc warunkiem twórczości symbolicznej jest prawda, jeśli nie obiektywna to subiektywna. Atoli niczego podobnego niema u Katerli. Liryk-nastrojowiec, niesłuchanie żywo odczuwający konkretną rzeczywistość, przedzierzga się tu w symbolistę-dramaturga gwoli pożytkowi partji, która gwałtem potrzebuje ideologii poetyckiej dla zgalwanizowania swych zamartwych haseł programowych i taktycznych. W samym założeniu tkwi już nieszczerłość i przymus duchowy. Jakież może być wykonanie? Jak autor może usymbolizować fikcje nacjonalistyczne, którym obiektywna rzeczywistość nie daje żadnej karmi, a które dla niego samego nie są wewnętrznym przeżyciem, lecz sztucznie wyrozumowaną i wmówioną formułą? Rzecz jasna, że symbole, stworzone w ten sposób, będą tylko pustymi łupinami bez jądra. Postacie symboliczne Katerli są mgliste, niezrozumiałe, a nieraz suche i banalne. Trudno zrozumieć, co ma w sobie ucieleśniać Bożyszcze, co oznacza demoniczna o wątpliwej nieco psychice Krystyna, grająca jakąś tajemniczą a doniosłą rolę (patrz np. przedśmiertny okrzyk Czarowica: Krystyno, oszczędzaj Dana!) We wszystkich tych postaciach dostrzegamy symbole tylko dlatego, że autor wyraźnie to podkreśla. Brak im wszakże w wielkiej części patosu symbolicznego, tej atmosfery prawdziwej poetyckiej cudowności i nadzmysłowości, która otacza postacie fantastyczne u Wyspiańskiego, Maeterlincka, Hauptmanna. Wydają się one nie wzlotem ponad realność, lecz chorobliwym zбочeniem od niej, trącą wypaczeniem i rozkładem duchowym, podobnie jak cała idea socjalpatriotyczna w chwili obecnej. Ale nietylko poszczególne postacie Róży szwankują, jako symbole. Dramat Katerli jako całość pozbawiony jest uniesienia i pędu dramatycznego, których pewne napięcie jest przesłanką i usprawiedliwieniem wynurzania się symboliki, nastroju nawpół wizjonerskiego, jak u rozmarzonych gości w Wyspiańskiego *Weselu*; niejednolity, wysilony, łamiący się w ciągłych sprzecznościach myślowych, daje on tylko pasmo scen to realnych, to fantastycznych, rażących dysonansami ciągłych przeskoków.

Dlaczego Róża, jako dramat społeczny i narodowy, musiała już ze swego założenia stać się utworem chybionym, zaznaczyliśmy na wstępie na zasadzie jej treści. Dążenia narodowe, ideologia i polityka współczesnej burżuazyjnej Polski nie dają tematu do apoteozy, lecz jedynie do satyry. Jedyłą dziś siłą, godną apoteozy poetyckiej, jest proletarijat; ale właśnie on, jako klasa, stoi poza nawiasem idei nacjonalistycznych, poza środowiskiem, które temi ideami przesłania swe uwstecznienie duchowe. Wszelkie zaś apoteozowanie tego środowiska to „szopka, farbowany fałsz, obrazki“. Od półtora dziesiątka lat wykazywali to socjaldemokraci, a wśród poetów znalazł się jeden, Wyspiański, który z przenikliwością żarli-

wego patrioty zdołał wyczuć znikczemnienie polskiego patriotyzmu i spoliczkował go symbolem jego reakcyjnej gnuśności — słomianym Chochołem.

Było to jeszcze przed rewolucją, przed zerwaniem masek z „przodowników“ i „kaznodziejów“ Polski. Dziś maski spadły. Nawet szalbierze polityczni z obozu Demokracji Ugodowej odrzucili przebrzmiałą ideę niepodległościową, na której dzisiaj nikt już interesu nie robi. Dla samej idei lepiej to, że jej dostojności, uświęconej krwią trzech pokoleń, nie kalają już szacherki polityczne przedstawiciele wytartego „czoła“ dzisiejszego narodu. Aliści znaleźli się w Polsce ręce, które tę ideę bardziej jeszcze splugawiły; powiązały ją z metodami bandytyzmu, ze sposobami walki lumpenproletariatu, podszywając się pod rewolucyjny proletariatu. I — „śmieszna polska nędzo!“, ironja twoich dziejów sprawiła, że splamione ręce potrafiły wciągnąć do swych usług falangę naiwnych marzycieli, a z tych jeden, Katerla, jeden z najpiękniejszych talentów literackich Polski, napisał dzieło, mające wysławić ruch, który w swej codziennej rzeczywistości jest najohydniejszą profanacją świętych tradycji narodowych. Powrotna zaś fala tej bezlitosnej ironji zdziałała, że zamiast zrehabilitować ideę socjalpatriotyczną, Katerla upadł pod brzemieniem jej śmieszności i stworzył dzieło poronione, kompromitujące zarówno swój temat, jak swego autora.

Katerla ośmieszył socjalpatriotyzm. Jest to fakt, którego zarzecz nie potrafią dytyramby ludzi, mających interes w tym, aby Róża uchodziła za arcydzieło. Co prawda kompanja przedświtowska, jak tego nieraz dowiodła, z milczków się nie składa i apologetów na każde zamówienie dostarczyć potrafi. Oto np. Krytyka krakowska zamieściła artykuł o Róży p. R. Minkiewicza, pełen rozpasanej frazeologii. Treść tego artykułu stanowią strzępki dramatu Katerli, powiązane lepkiem niemi napuszonych majaczeń. Trudno zaprawdę znaleźć wyrazy na odpowiednie scharakteryzowanie tej rozwiązości pióra. Widać tu wprost konwulsyjne wysiłki wyśrubowania dramatu do wysokości arcydzieła, rozdęcia każdej myśli do rozmiarów objawienia, zagmatwania tkanki myślowej w taki sposób, aby poza gęstwiną przenośni, symbolów, dziecinnej gry słów i nazwisk (Czarowic — czary — czara, Dan — dany) ukrył się wszelki żywy sens lub brak wszelkiego żywego sensu. A najniesmaczniejsze wrażenie robi koniec artykułu: po jednym łagodnym zarzucie głęboki ukłon słuźalca: „Daruje mi autor te słowa krytyczne, bom śmiałość ku ich wypowiedzeniu poczerpnął z własnych słów Czarowica“ i t. d. Krytyk, doszukujący się u autora przyzwolenia na nieśmiałą krytykę! to chyba wystarcza. 1) Pozostaje tylko zapytać, czyje —

1) Wszakże nie dla Przedświtu: przedrukowawszy w swym wrzesniowym numerze z organu p. Feldmana krztuszącą się i dławiącą z niecierpliwego zachwyty „krytykę“ p. Minkiewicza (po zaopatrzeniu jej pierw w podpis K. Romina), organ, poświęcony eksproprjacji i „odbudowaniu“, popełnił mały „eksik“ — tymrazem literacki — zarówno względem autora, jak i swych czytelników, „skonfiskowawszy“... całą ostatnią część artykułu wraz z jedynym lęklwym zarzutem pod adresem autora Róży.

Katerli czy publiczności — ma na celu zamydlić to niezwykle bałwochwalstwo. Kto zna p. R. Minkiewicza, jako autora szczerzej książki o „Komunie duchowej“ z trudnością się zdecyduje posądzić go o świadomą obłudę. Tym niemniej artykuł pozostaje symptomatycznym; albowiem tak niepoczytalny kult osobistości uprawiać mogą tylko ludzie, którym zabrakło wiary we własne idee.

Katerla ośmieszył socjalpatryjotyzm; zyskał tym bez wątpienia tytuł do wdzięczności szczerych socjalistów polskich. Tu wszakże kończą się jego zasługi, bo Katerla zrobił coś gorszego: ośmieszył samego siebie. Oddając swój wielki talent na usługi partji, która swą działalność zaczęła od systematycznego oszukiwania opinji publicznej a skończyła na grabieży z bronią w ręku, autor Róży popełnił przestępstwo względem siebie samego i zabił swój twórcy w poczęciu. Koterja zer politycznych i politycznych szarlatanów, zwana Frakcją „Rewolucyjną“ P. P. S., może sobie powinszować powodzenia: udało jej się znieprawić wielką indywidualność twórczą. Jest to nowy plus w długim bilansie partji, trudniącej się fachowo zatrutowaniem atmosfery politycznej w Polsce.

Że zaś każda dążność ma swoją wewnętrzną logikę, depcząca wszelkie połowiczności, można więc, było się spodziewać, że w szeregach tej partji znajdą się ludzie, którzy dziełem Katerli się nie zadowolnią i powiedzą mu śmiało: więcej kłamstwa! Jakoż jeden z takich gorliwców już się wyłonił: jest nim p. Hubert Nowina, który w ostatnim numerze *Przedświtu* zamieścił długi artykuł krytyczny, napęczniały frazeologją do samego nieba. Zarzuca on Katerli, że zawiele jest w jego dramacie pesymizmu i „strasznej rozpaczj indywidualnej“, które „nie wiedzą i nie mówią nam prawdy“. Takie obrazy jak postać Anzelma i „tłum rodaków“ (i towarzyszy) szpiegów, — wywołują w artykule p. Nowiny przeraźliwy brzęk przysłowiowych nożyc. „Zła jest i niesprawiedliwa taka wieść o własnym narodzie“, mówi z goryczą krytyk przedświtowski. „Trzeba, trzeba nam koniecznie dziś jaśniej patrzeć w nasz kraj“. I niżej: „Nieprawdą jest, że się wszyscy wyrzekli jedyne go spoidła narodu — dążenia (do? H. K.) Niepodległej Polski“. Dowodów na to p. Nowina wprawdzie nie posiada, ale tym goręcej wkłada na Katerlę obowiązek wyszukania ich. Nie podoba mu się też, że Katerla nie mógł do „odbudowania“ znaleźć innego sposobu niż cud gienjusza Dana: powinien był koniecznie wymyśleć jakieś prawdopodobniejsze wyjście. Poczym krytyk szczegółowo i przystępnie wyjaśnia poecie, że odbudowanie Polski będzie zgoła niemożliwe... jeżeli go nikt nie będzie chciał. Z właściwą wielkim umysłem skromnością p. Nowina zgadza się, że to jego zdanie jest „dziwne może“. Możemy go jednak pocieszyć: ze wszystkich poglądów, wypowiedzianych w jego dziwnym artykule, ten jest najmniej dziwny; możnaby przytoczyć inne, bar-

Wspominamy o tym wszakże nie dla tego, aby czytująca publiczność miała przez to powód do niezadowolnienia z przedświtowskiej Deity — przeciwnie! Red.

dziej zastanawiające, gdyby lichy elukubrat wart był takiej pracy¹⁾. Jakakolwiek jednak jest ta rozprawka krytyczna, ma przecież jedną niepoślednią zaletę. Pokazuje nam mianowicie, co Przedświt znalazł w Róży i co chciałby w niej znaleźć — i wytyka szlaki dalszej deprawacji literackiej, której Róża dała dopiero świetny początek.

Dramat Katerli jest doniosłym faktem w dziejach literatury polskiej. W nim wielka poezja narodowa stacza się w bagno fałszu i rozkładu, w którym dawno już spoczywa nasze burżuazyjne społeczeństwo. Tak być musi: takie społeczeństwa, jak nasze, nie wydają już Mickiewiczów, ani Słowackich. W Katerli drgają jeszcze struny bolejącej harfy romantyzmu polskiego; dźwięczy w nim jeszcze górna nuta rozpacz i niepocieszonego żalu. Jednakże jest to już początek końca. Po Katerli przyjdą — ba, już idą — inni, bardziej przystosowani i „zdrowo“ zwyrodniali. Im przypadnie w udziale szczęśliwy los ostatecznego wyjąłwienia literatury, do której wydania zdolną jest nasza inteligencja „narodowa“. Oni rozwieją resztki romantycznych złudzeń i stworzą grunt pod poezję pleśni i zgnilizny. I jeśli Katerla, chcąc napisać drama bohaterskie, stworzył pół-tragedję, pół-farsę, oni odrazu i świadomie zaczną od farsy.

Polityka imperjalizmu a proletarjat.

Napisał K. Radek.

I. Niech żyje wojna! — Wojna wojnie!

Walka przeciw militarystyce, jako narzędziu panowania klasowego burżuazji w państwie oraz narzędziu walki z innymi państwami, stanowi część codziennej praktyki międzynarodowej Socjaldemokracji: „Wojna wojnie“ — hasło to brzmi od dziesiątków lat jako jedno z naczelnych w „zagranicznej“ polityce proletarjatu.

Stanowisko to wypływa naturalnie nie z oderwanych zasad, z „miłości pokoju“, lecz z ogólnego stanowiska proletarjatu względem ustroju kapitalistycznego, z jego oceny wpływu każdej wojny, prowadzonej przez burżuazję, na położenie proletarjatu. Jest ono więc stałą zasadą, określającą pozycję proletarjatu wobec wojny,

¹⁾ Oto np. jedno ciekawe zdanie: „I doprawdy, niegodni bylibyśmy stać się wolnymi obywatelami tej męczeńskiej ziemi, gdyby nam wolę niepodległej ojczyzny zakrywał pusty strach, że w niej będą urzędy, dostojenstwa, krzesła kurulne, dziedzictwa niesprawiedliwe, dyktatura żołdaków z białymi na kaszkietach orłami“. Strach przed urzędami, dostojenstwami w Niepodległej Polsce? Wolne żarty, panie Hubercie Nowino! Jeżeli kto kiedykolwiek pańskich towarzyszy o takie tchórzostwo posądzał, to nie my, nie my! A dla zbiecia podobnego zarzutu wystarczyłoby się powołać na męzką odwagę, z jaką Przedświt zażądał od frakcji socjaldemokratycznej w Dumie „krzesel kurulnych“ w rosyjskich sądach carskich, i to jeszcze w czasie dyktatury żołdatów z dwugłowymi na pachach orłami.

dopóki ster społeczeństwa znajduje się w rękach burżuazji. Jeżeli, jak to niżej przedstawiamy, założyciele Socjaldemokracji wygłaszali w r. 1848 i 49 oraz w r. 1859 inne hasła, to mamy tu do czynienia nie z polityką proletariatu, lecz z receptą polityczną na użytek burżuazji. Późniejsze jaskrawe uwydatnianie antywojennego stanowiska proletariatu nie było wynikiem zmiany sytuacji międzynarodowej, lecz wynikiem pojawienia się na scenie historycznej samego proletariatu, który w hasle tym dał wyraz swym interesom. Przedstawienie rozwoju tych dwóch haseł wyjaśni nasze wywody bliżej.

Pierwotne stanowisko przewodców Socjaldemokracji wobec kwestji wojny da się scharakteryzować kilku wyjątkami z ich pism i listów. W r. 1848 Marx pisał w Nowej Gazecie Reńskiej: „Tylko wojna z Rosją jest wojną rewolucyjnych Niemiec, wojną, w której mogą one zmyć grzechy przeszłości, ocknąć się, powalić swych autokratów, w której, jak przystoi narodowi, zrzucającemu kajdany długiej nikczemnej niewoli, okupią propagandę cywilizacji ofiarami swych synów, w której, wyzwalając się od zewnętrznego nacisku, wewnątrz (państwa) zdobędą swobodę“.

W czerwcu r. 1859, podczas kryzysu europejskiego, który się skończył wojną austriacko-włoską, Engels pisał do Lassalla:¹⁾ „Vive la guerre, jeżeli na nas napadną równocześnie Francuzi i Rosjanie, jeżeli będziemy bliźcy utonięcia, gdyż w tej rozpaczliwej sytuacji zużyją się wszystkie partje od panującej do Zitza i Bluma, a naród, by się ratować, będzie musiał zwrócić się do najenergiczniejszej“. Hasło wojny z Rosją nie zniknęło później długo jeszcze ze szpalt prasy socjalistycznej (zwłaszcza niemieckiej i angielskiej), z mów posłów socjalistycznych; powtarzano je tradycyjnie nawet wówczas jeszcze, gdy straciło swój dawny historyczny sens. Ma się rozumieć, że głosiciele jego, pozostawiając dawne brzmienie, musieli je napełniać zmienioną nieco treścią, której najlepsze sformułowanie znajdujemy w artykule Wilhelma Liebknechta, napisanym w roku 1877, przed wojną rosyjsko-turecką. „Gdyby postawić rządy Austrii, Anglii, Francji jasno i wyraźnie przed alternatywą: skozaczenie czy demokracja, to, nie namyślając się, odpowiedziałyby one stanowczo: skozaczenie. Aczkolwiek po obecnych rządach nie można spodziewać się radykalnego wystąpienia przeciw Rosji, to jednak nie wynika z tego, aby należało fatalistycznie założyć ręce. Prawda, potęga Rosji może pęcznieć tylko do pewnego momentu, a później musi nastąpić niszczący odwet zbudzonych i dojrzałych ludów, ale skracamy czas, dzielący nas od tej chwili, wyjaśniając ludom całe znaczenie kwestji wschodniej²⁾“.

1) Cyt. w 47 liście Lassalla do Marxa: „Briefe von Ferdinand Lassalle an Karl Marx und Friedrich Engels“. Stuttgart 1902. Str. 185.

2) W. Liebknecht: „Zur orientalischen Frage, oder soll Europa kossakisch werden“. Leipzig 1878, str. 49. Liebknecht odznaczał się tym, że

Takie było stanowisko Marxa, Engelsa, a później ich uczniów. Przypatrzmy się sytuacji, w jakiej powstało ono. Nasamprzód trzeba zaznaczyć, że stanowisko to przechodzi dwa okresy, w których ma niecałkiem to samo znaczenie. Pierwszy okres trwa od r. 1848 do 1871, drugi od r. 1871 do wojny rosyjsko-japońskiej. Powstało ono w ogniu niemieckiej rewolucji i odpowiadało wewnętrznym stosunkom Niemiec oraz ich położeniu międzynarodowemu. Podstawy społeczne niemieckiej rewolucji były bardzo słabe. Proces społecznego zróżniczkowania posunął się już tak daleko, że burżuazja i drobnomieszczaństwo niemieckie nie mogły mieć tego zaufania do swych sił, a więc i rozmachu rewolucyjnego, który cechował francuskie i angielskie w ich wielkich rewolucjach. Chociaż przemysłowa klasa robotnicza dopiero powstawała i zaledwie zaczęła się budzić do samodzielnego życia, ruch czartystów i akcja paryskiego proletarijatu stawiały przed oczyma niemieckich klas posiadających straszny obraz czerwonego widma. Bizantyzm drobnomieszczaństwa, który na chwilę pierzchł, powrócił po pierwszych zwycięstwach rewolucji. Tchórzliwe, małostkowe, bez szerszych horyzontów, drobnomieszczaństwo pozwoliło kontrrewolucji okopywać się w obronnych szanach, zbierać siły i gotować atak. Proletarijat był zasłaby do samodzielnej akcji. Taki był stan rzeczy wewnątrz Niemiec. Z zewnątrz zaś groził carat, dodając odwagi kontrrewolucji i odbierając ją mydłkom rewolucji. Wzywając do wojny z Rosją, liczył Marx na to, że wojna nie tylko osłabi kontrrewolucję, ale przede wszystkim rozszerzy podstawy rewolucji, do głębi poruszy w niebezpiecznej sytuacji masy ludu, chłopstwa i robotników, że sytuacja, wymagająca sprzężenia wszystkich sił, zmusi drobnomieszczaństwo do poniechania obaw, wyzbycia się małoduszności. Hasło wojny było u Marxa tylko zewnętrznym przejawem jego konsekwencji rewolucyjnej, która, chcąc doprowadzić rewolucję do końca, nie wahała się przed poniesieniem jej na końcach bagnetów zagranicę, nie wahała się dla uchronienia rewolucji w Niemczech uderzyć na carat i ubezwładnić go, by carat nie mógł uderzyć na rewolucję. Tak więc „niech żyje wojna“ oznaczało dla Marxa: „niech żyje rewolucja!“

Inny zupełnie był stan rzeczy w r. 1859. W Niemczech panowała niepodzielnie kontrrewolucja. Nie nastąpiła wówczas nawet jeszcze chwila, w której, załatwiwszy się z rewolucją, rząd zabrałby się do rozwiązania zdań, zostawionych mu przez nią w spadku. Siły społeczne leżały spętane. W tej sytuacji począł zaostrzać się konflikt między Austrią i Włochami o prowincje włoskie, które trzymał w swych łapach austriacki absolutyzm, stojąc na przeszkodzie dążeniom do zjednoczenia Włoch. Napoleon III popierał Włochy, by przez obronę popularnego we Francji hasła umocnić swe własne

przechowywał tradycyjne stanowisko Marxa wobec konkretnych kwestji, nie bacząc, o ile się one z biegiem czasu zmieniały.

stanowisko. Marx i Engels¹⁾ byli przekonani, że Rosja poprze czynnie politykę Napoleona, który, pobiwszy Austrię nad Po, zechce zmierzyć się z Niemcami nad Renem. Aczkolwiek Marx i Engels lata całe jak najgoręcej popierali słowem i drukiem dążenia Włochów do zjednoczenia, uważali w ówczesnej sytuacji za swój obowiązek występować przeciw Włochom, ponieważ zwycięstwo Włoch byłoby ich zdaniem zwycięstwem caratu, ponieważ wzmocniłoby we Francji Napoleona, będącego uosobieniem kontrrewolucji — a ciągle jeszcze spodziewali się, że pianie koguta francuskiego będzie sygnałem wybuchu rewolucji międzynarodowej — ponieważ dalej odwlekłoby zjednoczenie Niemiec, odpowiadające interesom proletariatu; propagowali hasło wojny Niemiec z Włochami, ponieważ spodziewali się, że pod jej naporem pękną okowy kontrrewolucji w Niemczech i we Francji i rewolucja utworze sobie drogę. Jeżeli poddać krytycznej analizie broszury Engelsa o wojnie włoskiej, które wyszły anonimowo i były przez publiczność uważane — według świadectwa Mehinga — za dzieła wysokiego dostojnika wojskowego, jeżeli wziąć pod uwagę, że Engels musiał w nich dawać swym argumentom formę, odpowiednią dla burżuazyjnej publiczności, dla której pisał, że musiał w tej argumentacji wychodzić niejednokrotnie z cudzych założeń, że musiał niektóre argumenty pomijać, to uważam, iż się nie mylę, szukając jądra jego stanowiska w cytowanym wyżej liście do Lassalla, a nie w argumentach, zawartych w jego broszurach.

Jak wykazywał im listownie Lassalle,²⁾ ich ocena sytuacji była niesłuszna, a gdyby nawet nie mylili się w ocenie sytuacji, to taktyka ich musiałaby osiągnąć skutki wręcz przeciwne celom, do których dążyli. W żadnym jednak razie nie miała ona nic wspólnego z „patriotyzmem“ nacjonalistycznych socjalistów w rodzaju Leuthnera, Maurenbrechera i Bissolatiego, których stanowisko wobec spraw polityki zagranicznej ogranicza się do „ratowania ojczyzny“ wspólnie z burżuazją, czyli do zaprzęgnięcia proletariatu do rydwanu burżuazji. Kto na tej płaszczyźnie szuka źródeł stanowiska Marxa i Engelsa w r. 1859, ten dowodzi, że nie umiejąc wnikać w jego istotę lub nie chcąc w celach

1) Engels: 1) Po und Rhein, Berlin 1859. Verlag Dunker, 2) Nizza und Savoyen, Berlin 1860. Obie te broszury stanowią obecnie rzadkość bibliograficzną; nowe wydanie przygotowuje Mehring. Ich polityczną treść — są głównie treści wojskowej — można poznać ze znakomitego komentarza Fr. Mehringa do cytowanych już listów Lassalla (l. cit., str. 206—218), w którym Mehring zwraca się przeciw Marxowi i Engelsowi i oświadcza się za oceną sytuacji, jaką dał Lassalle w swej broszurze: Italienischer Krieg, Berlin 1859, choć przyznaje, że broszura Lassalla jest o wiele mniej treściwa, aniżeli Engelsa. Przedstawienie kwestji u Hugona Schulza (Der Kampf, Nr. 8: Engels über den oesterreichischen Feldzug um J. 1859) upraszcza zbyt polityczną jej stronę i nie daje najmniejszego pojęcia o taktycznej.

2) Gienjalny ten list (l. c., str. 189—190) jest dowodem, że Lassalle jakby wieszczym duchem przewidział linje wytyczne proletariackiej polityki „zagranicznej“ po r. 1871. List ten uważamy za jeden z najważniejszych dokumentów taktyki proletariackiej wobec konfliktów między mocarstwami.

„patriotycznych“ tego uczynić, zadawała się powtarzaniem nagich haseł marksowskich, wrywając je z ich otoczenia historycznego.

Po r. 1871, gdy w drodze kontrrewolucyjnej, a więc z natury rzeczy połowicznie i w reakcyjnych formach monarchji wojskowej rozwiązana została część zadań rewolucji 1848 r., gdy burżuazja niemiecka, uzyskawszy jednolity rynek zbytu, prawodawstwo gospodarcze, odpowiadające jej interesom, oraz pomoc silnej państwowej władzy w walce z proletarjatem, stawiającym już energicznie pierwsze kroki na arenie politycznej, stała się kręgosłupem reakcji w Niemczech — junkrzy byli tylko jej kondotjerami, — gdy zwycięstwo Niemiec rzuciło Francję — jak to przepowiadał Marx w adresie Międzynarodówki o wojnie niemiecko-francuskiej — w objęcia Rosji, Marx i Engels stracili wszelką nadzieję wojny Niemiec z Rosją. Jeżeli hasło to później powtarzają niemieccy socjaldemokraci, czynią to jednak zazwyczaj w formie, którą wyraziliśmy słowami Liebknechta. W formie tej straciło ono dawny aktualno-polityczny charakter i stało się hasłem propagandystycznym, wychowującym masy proletarjatu w nienawiści do caratu. Jeżeli tu i ówdzie zdarzało się, że którykolwiek z przewodców partyjnych używał go za naczynie dla patriotycznie brzmiących zapewnień — co z takim zadowoleniem stwierdzała polska prasa socjalpatriotyczna — to mieliśmy do czynienia z pośliznięciem się jednostki, które nie ma nic wspólnego z duchem, jaki ożywiał twórców tego hasła.

Przy ocenie dokumentów literackich tego okresu w zagranicznej polityce przewodców Socjaldemokracji należy pamiętać jeszcze o następujących okolicznościach. W czasie, w którym rozwijała się ta polityka, po r. 1848, proletarjat jako klasa powstawał dopiero w Niemczech, a jako wyrobiona socjalistycznie masa, świadoma swych celów i dróg do nich prowadzących, nie istniał jeszcze ani w Niemczech, ani we Francji. Marx i Engels nie mogli w r. 1859 liczyć na jego akcję, hasła ich i pisma obliczone były raczej na burżuazję, nie zaś na samodzielną czynną politykę proletarjatu; ten wzgląd też skłaniał ich do anonimowego występowania. Tożsamo należy pamiętać o ich dziennikarskiej kampanji podczas wojny krymskiej i w r. 1877, której tu jednak dla braku miejsca omówić nie możemy. Rzecz zrozumiała, że okoliczności te wpłynęły znacznie na ton, formę i niejednokrotnie na treść ich prac. To też nie mogąc być dokumentami rozwoju zagranicznej polityki proletarjatu, zasługują one na uwagę jeno jako dokumenty osobistego rozwoju jego kierowników, którzy, wyprzedziwszy myślą jego rozwój, musieli w pierwszym okresie swego życia działać na skrajnej placówce lewicy burżuazyjnej, aby ją pchnąć do czynów, mogących dla proletarjatu przygotować wygodniejszy teren bojowy.

Po pokoju frankfurckim wchodzi Europa w okres zbrojnego pokoju. Koszta jego opłacała we wszystkich państwach kontynentu masa ludowa; wzrost podatków daje się odczuć zwłaszcza klasie robotniczej, i tak cierpiącej pod brzemieniem zastoju, prawie chronicznego kryzysu, jaki nastąpił po krótkim rozkwicie, sprowadzonym w Niemczech przez kontrybucję francuską. Proletarjat, obudzony

w Niemczech przez agitację Lassalla, począł w coraz większych masach zbierać się pod sztandarem socjalizmu; ruch robotniczy niemiecki wpłynął ożywczo na austriacki; francuski poczynął się po upuście krwi z r. 1871 dopiero ożywiać. Świadome żywioły robotnicze widziały w zbrojeniach państw, w militarystyce z natury rzeczy nie tylko ciężar, ale narzędzie panowania klasowego burżuazji, tej samej, która z obawy przed wzrastającym ruchem robotniczym uchwaliła Bismarkowi w Niemczech prawo wyjątkowe przeciw socjalistom, która w Austrii srogo ruch robotniczy prześladowała. Walka z militarystyką staje się częścią codziennej walki partii socjalistycznych, agitacja przeciw militarystyce staje się agitacją przeciw wojnie. Hasło wojny Niemiec z Francją przeciwstawia proletarjat niemiecki i francuski hasło międzynarodowej solidarności proletariatu, czyniąc z tej ostatniej kamień węgielny swej polityki „zagranicznej“.

Jeżeli przerzucić prasę socjalistyczną tych lat, to od razu można zauważyć, że kwestje polityki zagranicznej mało zajmują w niej miejsca. Fakt ten daje się wytłumaczyć nie tylko okolicznością, że proletarjat, zajęty walką o chleb codzienny, drobną pracą budowania organizacji, uważał kwestje te za dalekie, mało go interesujące. Różne czynniki złożyły się na to, że mógł je za dalekie uważać; w pierwszej linii był nim ówczesny charakter stosunków wzajemnych mocarstw. Zdobywszy w pewnej mierze jednolity rynek, burżuazja Niemiec gorączkowo hodowała przemysł, nie pragnęła nowych podbojów, uważała interesy swe za „nasycone“; burżuazja Austrii musiała toczyć uporczywą walkę z średniowiecznym ustawodawstwem ekonomicznym, rozdarła narodowościowo, nie myślała nawet o zewnętrznej ekspansji; tożsamo miało miejsce z burżuazją włoską. Nic też dziwnego, że sojusze ich, powstałe w okresie 1879–1883 r., nosił charakter odporny, zabezpieczający status quo. Posiadające klasy Francji webrnęły już w przedsiębiorstwa kolonialne i aczkolwiek zdołały przez dwadzieścia lat, które nastąpiły po pokoju frankfurckim, porządnie wyreparować swe finanse i armję, to jednak na serio nie myślały o wojnie z Niemcami, które już były wyrosły na pierwszorzędną potęgę militarną. Gambetta ukuł wówczas znany frazes, że myśl o „odwiecie“ trzeba schować w sercu. Anglja nie mieszała się wówczas do spraw kontynentalnych z wyjątkiem tureckich, które zeszedłszy po r. 1878 z widowni historycznej, dopiero w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku zaczynają odgrywać poważną rolę. Pozostaje Rosja. Nie mogąc ryzykować zderzenia z europejskim kapitałem, poczyną ona po r. 1878 i kilkoletnich próbach, robionych z niepowodzeniem w Bułgarii, wycofywać się niejako ze spraw europejskich i przenosić ośrodek swej polityki do środkowej a następnie wschodniej Azji; sojusz z Francją, który pozwala jej na hodowanie u siebie kapitalizmu, zbrojenia, odpowiadające zbrojeniom mocarstw europejskich, mają również znaczenie tylko obronne i stanowią przeciwwagę trójprzymierza. W takich warunkach powstają nie tylko wśród burżuazji mrzonki o pokoju, lecz i proletarjat przyzwyczaja się do myśli o nim i traci z oczu kwestje polityki zagranicznej: „Po raz pierwszy od czasu, jak uformowała się Europa nowożytna, upływa okres 32letni,

w ciągu którego były tylko wojny Rosji i Grecji z Turcją, mocarstwem nawpół azjatyckim, ale nie było żadnych wojen, żadnych targów zbrojnych między państwami europejskimi: Hiszpanją, Francją, Anglią, Niemcami, Włochami, Austro-Węgrami“ – mówił w r. 1903 Jan Jaurès w swej słynnej mowie parlamentarnej o pokoju. Aczkolwiek w chwili, gdy Jaurès mowę tę wygłaszał, minął już okres pokoju, – wszak było to już po wojnie amerykańsko-hiszpańskiej, burzkiej i chińskiej, – aczkolwiek dla każdego krytycznego oka jasnym już było, że się zaczyna okres wojen kolonialnych, które mogą się skończyć krwawym konfliktem mocarstw w Europie, to jednak mowa ta jest jeszcze owocem owego nastroju, który powstał w Międzynarodówce po r. 1871 i który nadawał antiwojennemu stanowisku socjaldemokracji charakter raczej propagandystyczny, mający na celu walkę z burżuazją i rządem ze względów zasadniczych, a nie z okazji bezpośrednio grożącego niebezpieczeństwa wojennego, spowodowanego przez ich politykę.

Nastrój ten zmienia się, gdy coraz jaskrawiej uwydatniają się skutki polityki kolonialnej, którą w latach osiemdziesiątych podjęły ze zdwojoną energią mocarstwa. Niesposób w ciasnych ramach tego artykułu przedstawić ów zawikłany splot przyczyn, które spowodowały nowy rozkwit ery kolonialnej, ani też warunków specjalnych, w których rozwijała się kolonialna polityka poszczególnych państw. Wystarczy przypomnieć czytelnikom najogólniejsze jej źródła. Rozwijający się od końca XVIII w. wielkoprzemysłowy kapitał widział źródło bogactw przeważnie w wyzysku pracy wytwórczej, która w przeciągu kilku dziesiątków lat podniosła go do niesłychanych wyżyn. Jej wytworami zalewał przemysł angielski świat, podbijając go dobrocią i taniością wyrobów. Sfery przemysłowe były dzięki temu przeciwnie podbojom kolonialnym, ideologowie ich wypowiadali się nawet za wyrzeczeniem się kolonji; jeżeli kapitał wielkoprzemysłowy domagał się w pierwszej swej epoce wojen, to tylko takich, któreby otworzyły mu zamknięte dotychczas rynki. Stan ten zmienia się w ostatniej ćwierci XIX w. Szybki rozwój sił produkcyjnych doprowadza do kryzysów, które jasno wykazują kapitałowi, że rozszerzanie się pojemności rynków nie odpowiada szybkiemu wzrostowi wydajności pracy. Oczy burżuazji zwracają się na rynki dalekich „dzikich“ i „nawpół cywilizowanych“ krajów, a ponieważ kryzysy oraz wzrost ruchu robotniczego odebrały burżuazji wiarę w cudowne skutki wolnej konkurencji i uczyniły jej bożyszczem monopol, przeto wraz ze zwrotem jej ku cłom protekcyjnym dokonywa się zwrot ku polityce kolonialnej. Przyczynia się do tego jeszcze cały szereg okoliczności. Wraz z koncentracją przemysłu, wymagającego coraz większych kapitałów, uzyskuje coraz większy wpływ na przemysł kapitał finansowy, banki, z dawien dawna mające interes w zbrojeniach, wszelkiego rodzaju egzotycznych przedsięwzięciach, spekulacjach i t. d. Zbrojenia oddają państwa w ręce banków, które, pożyczając im setki milionów na armaty, uzyskują możliwość eksploatawania ogółu ludności; egzotyczne spekulacje dają im możliwość oskubywania naiwnej publiczności. Przewaga przemysłu metalurgicznego nad włóknistym,

jedna z ciekawszych przemian w życiu ekonomicznym ostatnich dziesiątków lat, popiera również tendencje ku zdobywaniu nowych kolonji, gdzie można budować koleje w pustyniach, wznosić całe miasta. Szybka akumulacja kapitału, idąca w parze z upadkiem stopy zysku, powoduje, że masa kapitału szuka stosownej lokaty. To wszystko razem składa się na nowy rozkwit polityki kolonjalnej i na przejście jej do nowej fazy: polityki imperjalizmu. W latach osiemdziesiątych (1883 i 1885) wstępuje w szranki zapasów kolonjalnych całkiem nowe mocarstwo, które odtąd dzierży prym w awanturnictwie „wszechświatowym“ oraz w zbrojeniach lądowych i morskich, a którego polityka jest typową dla fazy imperjalistycznej. Mocarstwem tym jest Rzesza Niemiecka, która w pierwszym okresie rządów Bismarka stała zdala od polityki kolonjalnej, a w zbrojeniach trzymała się przeważnie widoków wojny wewnątrz-europejskiej, skupiając swe siły na armji lądowej, w marynarce zaś trzymając się jedynie widoków polityki odpornej, t. j. obrony swych brzegów. W latach 80-tych, porwane wirem międzynarodowym, Niemcy zrywają z własnym programem politycznym i rozpoczynają politykę kolonjalną, ale jest to już zgoła inna polityka, niż dawniej przez mocarstwa europejskie praktykowana. Gdy przedtem zdobycze kolonjalne miały głównie na oku interesy przemysłu i handlu: źródła materiałów surowych dla produkcji oraz rynki zbytu dla wytworów fabrycznych, której to fazy typowym reprezentantem jest dawna polityka kolonjalna Anglii, obecnie stoi na pierwszym planie obok interesów kapitału bankowego dążność do zajęcia placówek politycznych na możliwie najszerszym terenie wszechświatowym. Pod względem gospodarczym posiadłości kolonjalne Niemiec są dotychczas ruiną prawie dla swej metropolji, ale są one punktem oparcia międzynarodowej roli Niemiec, tworzą „sferę interesów“ niemieckich na wszystkich niemal oceanach i służą za podstawę nowych wyścigów międzynarodowych na polu zbrojeń morskich. Dostawy dla floty, związany z nią i z całym szeregiem przedsięwzięć „wszechświatowych“ system rosnącego szalenię długu państwowego, budowa kolei żelaznych w odległych „dzikich“ krajach, zakładanie banków we wszelkich egzotycznych „sferach interesów“ — oto nowe pole spekulacji i obfitych zbiorów dla społecznego kapitału, a zarazem nowe źródło bezustannych i coraz groźniejszych konfliktów międzynarodowych. Początkowe kroki tej polityki skierowane są przeciw tubylcom, którym za pomocą manlicherów mocarstwa wpajają europejską cywilizację i chrześcijańskie zasady miłości bliźniego. Oprócz krwawych starć z „dzikimi“, nie cofają się one przed wojną z dawniejszemi europejskimi cywilizatorami (wojna amerykańsko-hiszpańska, burska); między sobą jednak starają się utrzymać jaką taką zgodę, dzieląc się cudzemi terytorjami. Wyprawa chińska z r. 1900 jest obrazem tej wspólnej jeszcze uczy rywalów europejskich na koszt pozaeuropejskich ludów. Mimo jednak chęci pokojowego załatwienia zatargów dochodzi między mocarstwami do ostrych konfliktów (Faszoda, Marokko), które napełniają masy ludowe grozą wojny, jakgdyby już wiszącej w powietrzu; pierwszy wielki konflikt, rozgrywający się na tle polityki kolonjalnej, który wstrząsnął całym

światem, wojna rosyjsko-japońska, zamyka przygotowawczą, wstępną część tego okresu, daje mu jaskrawy wyraz i budzi w masach proletarjatu żywe zainteresowanie dla spraw polityki zagranicznej. Zmiana w ugrupowaniach międzynarodowych przez wojnę tę spowodowana, ustawiczne przesunięcia na szachownicy dyplomatycznej, zjawienie się nowych czynników na arenie dziejowej — w pierwszym rzędzie obudzenie się Azji, — wszystko to powoduje, że kwestje polityki zagranicznej coraz bardziej interesują partje socjalistyczne, że zmuszają je do poważnego zajęcia się nimi.

Aczkolwiek kwestje te w literaturze socjalistycznej stosunkowo mało były dotychczas zasadniczo wyświetlane, mimo to instynktownie proletarjat niemiecki, francuski i angielski zajmuje w nich szczerze rewolucyjne stanowisko, ożywia nowym silnym i szerokim tchnieniem hasło „wojna wojnie“, toczy zaciętą walkę z polityką kolonialną, polityką zbrojeń i konfliktów, prowadzi przeciw imperjalizmowi agitację i szykuje się do dania mu czynnego odporu. Wspólne demonstracje niemieckiego i francuskiego proletarjatu podczas konfliktu marokańskiego, demonstracje proletarjatu niemieckiego i angielskiego przeciw zbrojeniom — to pierwsze dopiero kroki czynnych wystąpień, ale nie ulega wątpliwości, że rządy zwróciły na nie baczną uwagę. Walka przeciw militarystyce i wojnie poczyna być poważnym czynnikiem w zagranicznej polityce mocarstw, zmusza je do liczenia się przy wszelkich kombinacjach z tym wrogim stanowiskiem najszerzych warstw ludności. Obecna świadoma wrogość proletarjatu dla wojny nie jest oczywiście wynikiem pokojowego za wszelką cenę usposobienia w duchu burżuazyjnych apostołów pokoju. Hasło socjalistyczne: „wojna wojnie“ wynika ze stanowiska samego dojrzałego już politycznie proletarjatu wobec kapitału i polityki kolonialnej oraz imperjalizmu, ze stanowiska, odpowiadającego interesom klasowym proletarjatu, z obecnej fazy ruchu socjalistycznego, odpowiadającego obecnemu stanowi kapitalizmu. Wypływając więc ze stałych — w ramach ustroju kapitalistycznego — przesłanek, stanowisko nasze wobec wojny jest zasadnicze i nie może ulegać zmianom ze względu na „konjunkturę“, na sytuację międzynarodową. Kto o tym zapomina, ten stwierdza tylko, że z zasadniczą walką proletarjatu przeciwko kapitalizmowi jest jeno przypadkiem połączony, że służy mu ona za środek do jakiegoś ubocznego celu, nie zaś za środek osiągnięcia socjalizmu.

II. Stanowisko Międzynarodówki i jego krytycy.

Konflikty między europejskimi mocarstwami wynikają obecnie przeważnie na tle polityki kolonialnej w jej najnowszej postaci, t. j. w związku z imperjalizmem i polityką wszechświatową. Ona to, a nie konkurencja handlowa jest źródłem nieporozumienia niemiecko-angielskiego, ona stworzyła porozumienie Anglii z Francją oraz Rosją, ona jest kością niezgody między Rosją a Austrią, ile że ekspansja Austrii na Bałkanach posiada niewątpliwie charakter imperjalizmu. Istnienie kolonialno-imperjalistycznych tendencji we wszystkich więk-

szych europejskich mocarstwach nadaje specjalne piętno stosunkowi tych państw do rozmaitych kwestji narodowościowych na południowym Wschodzie: o ile mocarstwa te popierają np. dążenia narodów słowiańskich do wyzwolenia się z pod tureckiego jarzma, to czynią to wyłącznie z tych lub innych względów, pozostających w związku z chęcią zdobyczy terytorjalnych lub staraniem o zachowanie starych. Dlatego stosunek międzynarodowej socjaldemokracji do wszystkich prawie spraw polityki zagranicznej określa się w istocie stosunkiem jej do polityki kolonialnej oraz „wszechświatowej“.

W poprzednim ustępie przypomnieliśmy sobie jej główne źródło. Przypatrzmy się teraz, na czym polega jej istota. Polityka kolonialna i imperjalizm jest ucieczką burżuazji przed socjalizmem. Stosunki produkcji wyrosły burżuazji ponad głowę. Spotęgowane niesłychanie przez kapitalizm siły produkcji muszą albo rozsadzić skorupę stosunków własnościowych, albo przestać się rozwijać. Socjalizm, albo zastój, t. zn. cofnięcie ku barbarzyństwu. Ujawnia się to w tym, że mimo szalonego rozrostu międzynarodowego handlu od czasu do czasu wstrząsa rynkiem światowym kryzys, że nawet kolosalny rozwój trustów i kartelów nie może zapobiec nadprodukcji. O ile kapitał nie znalazłby nowych rynków, nowych widoków lokaty w przedsięwzięciach kolonialnych, budowie kolei, dostawach dla wojska i floty oraz w pożyczkach państwowych na cele militarne i awantury imperjalistyczne, rozmiar nadprodukcji byłby tak wielki, skutki jego dla masy ludowej w formie bezrobocia tak groźne, że pod ich wpływem masy poczęłyby się w bardzo szybkim tempie rewolucjonizować, starałyby się za pomocą rozmaitych półśrodków, silnie jednak zmniejszających zysk, ulżyć swej nędzy, a napotkawszy opór i uświadamiając się szybko w walce z nim, postawiłyby społeczeństwa kapitalistyczne przed obliczem rewolucji socjalnej. Kapitał szuka ucieczki przed tym niebezpieczeństwem, gdyż wie, że nie dałoby się go zdusić za pomocą siły wojskowej. Niema dłań schronienia, niema ujścia, ale są środki, odwołujące katastrofę. Do nich należy w pierwszej linii polityka „wszechświatowa“, za pomocą której burżuazja zdobywa nowe rynki zbytu, a jeszcze bardziej nowe lokaty kapitału, czyli sposoby rozszerzania produkcji nietyle już przez postęp i rozwój techniczny, ile za pomocą marnowania wytworów produkcji i kosztem ruiny całych krajów i ludów o własnej swoistej cywilizacji. To jest pierwszy i najważniejszy — specyficznie socjaldemokratyczny — powód dla którego proletarjat winien zwalczać politykę kolonialną i dlatego rewolucyjna socjaldemokracja ją zwalcza. Walkę tę ułatwiają jej skutki polityki kolonialnej, które, obnażając jej charakter nawet w oczach nieświadomych mas, wykazują im słuszność socjalistycznego stanowiska. Polityka kolonialna zaostrza istniejące już między mocarstwami przeciwieństwa, stwarza nowe, a ponieważ w ostatecznej linii dają się one za panowania kapitalizmu tylko orężnie rozwiązać, przeto stają się źródłem wciąż wzrastających zbrojeń na lądzie i morzu. Zbrojenia te pożerają lwią część dochodów, powodują wzrost podatków pośrednich, stają się nowym źródłem ochronnej polityki cłowej, unie-

możliwiają reformy społeczne, jednym słowem wzmacniają potężnie właściwe ustrojowi kapitalistycznemu tendencje do obniżania poziomu życiowego mas. Dając raz po raz odrażające widoki barbarzyńskiego znęcania się nad tubylcami – gdy wśród tych ostatnich ujawnia się choćby najsłabsze dążenie do wyzwolenia, wówczas nawet „humanitarna“ angielska polityka kolonialna wraca do metod hiszpańskich konkwistadorów – cywilizatorzy kolonialni wprowadzają tenże duch do wewnętrznej polityki państwa i obostrzając w nim formy walki klasowej, wywołują w masach wrogi stosunek do polityki kolonialnej. Niebezpieczeństwo wojen, które polityka kolonialna kryje w swym łonie, również napełnia masy robotnicze nienawiścią ku niej. Masy instynktownie wyczuwają cały fałsz obietnic burżuazyjnych polityków, iż zdobycze imperjalistyczne, kolonie i wszelkie „sfery interesów“ na Wschodzie poprawią ich byt; wszak na czele agitacji za flotą, polityką wszechświatową i kolonjami widzą tych samych ludzi, którzy w razie konfliktu pracy z kapitałem stają po stronie ostatniego. Walcząc o możliwość kulturalnego życia, rozwijając w sobie uczucia demokratyczne, nie mają one najmniejszej ochoty do poświęcania swego życia interesom kapitału i coraz większą nienawiść żywią dla zbrojeń, dla myśli o wojnie.

Świadoma część proletarjatu, socjaldemokracja, daje wyraz temu stanowi rzeczy, prowadząc zaciętą walkę przeciw polityce kolonialnej i wszechświatowej polityce imperjalizmu, wysuwając hasło ograniczenia zbrojeń i wyrzeczenia się kolonji, hasło walki przeciw wojnie, a w razie jej wybuchu dążenia do wykorzystania jej skutków dla rewolucji socjalnej. Hasło wyzwycia się kolonji może „realnym politykom“ wydawać się bardzo utopijnym; dla proletarjatu stanowi ono wskazówkę taktyczną, która, odpowiadając jego pogładowi na politykę kolonialną, określa jego stosunek do ruchów ludowych w kolonjach lub krajach uciemżonych przez „opiekę“ państw europejskich, ruchów, mających na celu zdobycie jak najszerszej autonomji lub oderwanie się od metropolji, stanowi wskazówkę taktyczną na wypadek konfliktów międzynarodowych o kolonie. Hasło „wojny przeciw wojnie“ ma już dzisiaj znaczenie praktyczne, o ile proletarjat zdoła poprzeć je silną akcją, oraz o ile akcja ta przekona burżuazję, że główne niebezpieczeństwo w razie wojny będzie się znajdowało w jej własnym kraju.

Punkt ciężkości stanowiska socjaldemokracji wobec konfliktów między państwami leży właśnie w pracy socjaldemokratycznej, wyjaśniającej proletarjatowi charakter współczesnych wojen i polityki kolonialnej „wszechświatowej“, w agitacji, wzmacniającej organizację proletarjatu, budzącej w nim wiarę w własne siły, w możliwość socjalizmu, wpajającej weń przeświadczenie o konieczności uniemożliwienia wszelkimi środkami wojny, a w razie jej wybuchu wykorzystania stworzonego przez nią niezadowolenia do walki o socjalizm.

Ten zasadniczy charakter „zagranicznej“ polityki proletarjatu nadaje jej cały szereg cech, które partje socjalistyczne przyswajają sobie z czasem, wyzbywając się rozmaitych nawyków sprzecznych z nim, a pochodzących z nieświadomego przejmowania tradycyjnych

poglądów burżuazyjnych w polityce zagranicznej. W pierwszej linii mam na myśli rzeczywiście międzynarodowo-klasowy charakter oceny zajęć w dziedzinie polityki zagranicznej. Dla celów polemicznych, by wykazać, że nawet z burżuazyjnego punktu widzenia dany krok polityczny burżuazji pewnego kraju nie wytrzymuje krytyki, prasa socjalistyczna i posłowie socjalistyczni używają niejednokrotnie argumentów, branych z arsenału burżuazji wrogiego państwa. Tak np. Niemcy socjaldemokraci zbyt silnie podkreślają, że historycznie polityka kolonialna angielskiej burżuazji bardziej jest uzasadniona, niż niemieckiej, że podczas gdy kolonie angielskie dają angielskiej burżuazji olbrzymie dochody, niemieckie są „piaskami i pustyniami“, pochłaniającymi tylko złoto, wyciśnięte z ludu niemieckiego. Socjaliści francuscy podczas konfliktu o Marokko podkreślali słuszność pretensji burżuazji niemieckiej, tych samych pretensji, które Niemcy socjaldemokraci zacięcie zwalczali. Podobne wywody mają za sobą rację historyczną, ale są politycznym nonsensem w ustach socjaldemokratów, którzy przy najdoskonalszym zrozumieniu pobudek, pchających tę lub inną burżuazję na pole imperjalizmu, jednakowo zwalczają wszelką kapitalistyczną politykę kolonialną, jako wrogą interesom proletariatu całego świata; to posługiwanie się argumentami burżuazyjnymi nie może wcale przekonać burżuazji, bo nie chce ona być przekonaną, natomiast utrudnia walkę proletariatu w drugim państwie¹⁾. Podobnie źródło posiada inny jeszcze błąd taktyczny. Oceniając poszczególne kroki w zagranicznej polityce państwa, stają socjaldemokraci niejednokrotnie na stanowisku istniejących ugrupowań politycznych i mimowoli przechodzą przez to w danej kwestji na stronę polityki rządowej. Zdarza się to nie tylko oportunistom, których sytuacje takie nie przerażają, ale nawet radykalnym politykom socjalistycznym. Tak np. L e d e b o u r uznał, że polityka Niemiec podczas konfliktu austriacko-serbskiego była słuszną. Pomijając fakt, że ze stanowiska burżuazyjnego i obecnych ugrupowań mocarstw można ją było nader ostro atakować — uczynił to w szeregu bardzo przekonujących artykułów, drukowanych w rozmaitych pismach, L. R a d s c h a u, dobry znawca stosunków dyplomatycznych — Ledebour zgrzeszył tym, że zapomniał, iż socjaldemokracja zwalcza system przymierzy państwowych — czy nazywają się one trójprzymierzem, czy trójporozumieniem — jako niechybny środek powiększania konfliktów, rozpowszechniania konfliktów dwu państw na większą ich liczbę, rozszerzania punktów tarcia; zapomniał, że choćby stanowisko rządu niemieckiego jak najkonsekwentniej wynikało z roli Niemiec w trójprzymierzu, proletariatu niemiecki odrzuca je, ponieważ polityce burżuazyjnych przymierzy przeciwstawia międzynarodową solidarność proletariatu, ponieważ przymierza te prędzej czy później muszą doprowadzić do międzynarodowej wojny, ponieważ kto przymierza te

¹⁾ Ma się rozumieć, że były „narodowy socjalista“ Maurenbrecher, obecnie towarzysz z pod znaku Bernsteina, wyciąga następujący wniosek: skoro francuscy socjaliści uznają słuszność pretensji niemieckiego kapitału do Marokka, dlaczego nie mają czynić tego Niemcy?

uznaje, ten musi uznać zbrojenia się mocarstw, gdyż przymierza te oparte są na armatach. Dla uniknięcia podobnych błędów niezbędne jest traktowanie zjawisk polityki międzynarodowej nie w oderwaniu od konkretnego środowiska, lecz w ich historycznym związku, z ustawicznym akcentowaniem naszego zasadniczego stanowiska wobec źródeł obecnej polityki zagranicznej mocarstw. Źródłem innego błędu taktycznego jest przesłanka myślowa, będąca podstawą hasła wojny z Rosją, a brzmiąca i dziś jeszcze tu i owdzie w rozumowaniach socjalistycznych posłów i pisarzy. Przesłanka ta miała treść następującą: proletarjat ma interes w istnieniu wyższej kultury burżuazyjnej (demokracja, reformy społeczne) musi więc jej bronić przed atakami barbarzyństwa. Praktycznie hasło to oznaczało kiedyś wojnę z Rosją i miało służyć sprawie rewolucji. Jeżeli dziś jednak socjaldemokrata powtarza publicznie zapewnienia, że proletarjat gotów spełnić swój obowiązek i bronić ojczyzny przed zalewem barbarzyństwa, to wobec nieistnienia niebezpieczeństwa ze strony Rosji zapewnienie jego jest tylko niebaczny ukłonem w kierunku militarizmu. Jakoż niczym innym nie były w gruncie rzeczy podobne zapewnienia socjaldemokratycznych posłów niemieckich Noskego i dr. Franka podczas obrad nad budżetem ministerjum wojny. Gorzej, jeżeli socjaldemokrata myśl tę dalej snuje i powiada, jak wódz socjaldemokracji angielskiej tow. Hyndman: jakiegokolwiek są stosunki, panujące w Anglii, w każdym razie dają one proletarjatowi więcej swobody działania, aniżeli niemieckie, należy przeto bronić Anglii przed inwazją Niemiec. Pomijając całą nonsensowość obawy, że Niemcy mogą ujarzmić Anglię lub Anglija Niemcy, gdyby niebezpieczeństwo podobne istniało, jedynym socjaldemokratycznym środkiem usunięcia go byłaby oczywiście wspólna akcja niemieckiego i angielskiego proletariatu, mająca na celu uniemożliwienie wojny. Tymczasem podobne stanowisko socjaldemokratów angielskich — na szczęście chodzi tu — o ile możemy sądzić — o prywatny pogląd Hyndmana — utrudniłoby akcją robotników niemieckich i wzmocniło stanowisko angielskich imperjalistów, co już zresztą w pewnej mierze uczyniło niestety nawet samo wystąpienie tak wybitnego polityka socjalizmu, jak Hyndman. Zadanie międzynarodowej Socjaldemokracji polega nie na zapewnianiu burżuazji swego kraju, że proletarjat będzie bronił jej cywilizacji przez popieranie jej barbarzyństwa — wojny, lecz na dokonaniu wszystkiego, by wojnę tę uczynić niemożliwą.

Proletarjat nie ma powodu obawiać się dziś wybuchu wielkiej wojny europejskiej, do której sam panujący system „przymierzy“ wciągnąłby nieuchronnie wszystkie większe mocarstwa militarne i kraje kapitalistyczne. Skutki takiej powszechnej wojny, przy obecnym stopniu uzbrojeń w głównych państwach „koncertu europejskiego“, przy obecnym spotęgowaniu śmiercionośnej techniki wojennej, przy dzisiejszym rozwoju przemysłu i handlu, byłyby, bez względu na jej wynik dla poszczególnych krajów, tak okropne, że na zroszonym krwią pobojowisku zawarzałyby ostatnia wojna — wojna zrujnowanych i zrozpaczonych mas przeciw kapitalizmowi. Ale będąc goto-

wym do skorzystania z wojny, proletarjat nie może jej pragnąć, przybliżyć jej wybuch przez niestawianie jej oporu: straszne skutki jej dla mas ludowych byłyby dostatecznym powodem, by proletarjat uczynił wszystko, co może, by dojść inną, mniej krwawą drogą do socjalizmu. Wszakże nietylko o to chodzi: by móc ewentualnie skutki jej dla walki o socjalizm wyzyskać, proletarjat musi teraz zwalczać wojnę, musi szczepić w masach przekonanie, iż toczyłaby się ona we wrogich im interesach, musi odpowiedzialność za nią całkowicie złożyć na barki burżuazji, przeciw której wypadnie zwrócić później gniew masy ludowej.

W miarę zaostrenia się przeciwieństw mocarstw, w miarę jak częściej wypadnie socjaldemokracji w sprawach polityki zagranicznej zabierać głos, znikną niezawodnie wahania i niejasności, których prób parę przytoczyłem. Ważniejszym jest, że socjaldemokracja wogóle zamała rozwija dotychczas akcji w kwestjach polityki zagranicznej. Po wyprawie wojennej przeciw Chinom w r. 1900 dały się słyszeć skargi na kongresie Socjaldemokracji niemieckiej, że zarząd jej zaspiał sprawę i nie rozwinął akcji, odpowiadającej powadze wypadków. Obecnie po chwilowym zakończeniu konfliktu austriacko-serbskiego podobny zarzut podnosi Michał Schacherl w teoretycznym organie austriackiej Socjaldemokracji¹⁾; konflikt nie doprowadził do wojny, ale stało się to dzięki innym czynnikom, nie zaś dzięki akcji socjaldemokratycznej; ta ostatnia ograniczyła się tylko do mów posłów socjaldemokratycznych w parlamencie; to też rząd nie okazywał wcale obawy przed rewolucyjnymi skutkami wojny. Przyczyny tego słabego stanowiska Socjaldemokracji austriackiej zdaje się Schacherl szukać w fakcie, że zachodziła obawa, iż akcja austriackiego proletariatu przeciw wojnie byłaby wodą na młyn serbskiej partji wojennej, a więc powiększyłaby niebezpieczeństwo wojny. Przy najbardziej nawet krytycznym stosunku do zagranicznej polityki austriackich towarzyszy nie można istotnie nie uznać słuszności tych obaw. Ale Schacherl nie spostrzega, że niebezpieczeństwo podobne istniało tylko w razie, gdyby ograniczono akcję proletariacką do granic Austrii, zniknęło zaś całkowicie, gdyby akcję tę podjęła Międzynarodówka. Na czym bowiem polegał konflikt serbsko-austriacki, co pozwalało mu zagrażać międzynarodowemu pokojowi? Mimo głębokich przyczyn tego konfliktu, leżących w ekonomicznych stosunkach Serbji i polityce handlowej Austrii, rząd serbski nie byłby się odważył grozić Austrii wojną, gdyby nie spodziewał się poparcia Francji i Anglii. Tylko przy pośrednim lub bezpośrednim poparciu Anglii i Francji mogliby bankruci z Carskiego Siola ryzykować mieszanie się do konfliktu austro-serbskiego. Aby więc zmniejszyć niebezpieczeństwo akcji wojennej ze strony Serbji winna była austriacka Socjaldemokracja zaapelować do proletariatu angielskiego i francuskiego. Gdyby w odpowiedzi na intrygi wojenne rządów masy robotnicze w Anglii i Francji wystąpiły z potężnymi demonstracjami

1) „Kampf“, rok II. Nr. 8.

antwojennemi, wyjaśniłyby rządowi angielskiemu, że niebezpiecznie jest igrzać z ogniem na Bałkanie, wzmocniłyby antwojenne tendencje wśród burżuazji francuskiej, bojącej się i tak o los swych miliardów, zaprzepaszczonej w Rosji, a więc zmusiłyby Rosję do wcześniejszego zakończenia swej polityki podszczuwacza. Z drugiej strony akcja austriackiego i niemieckiego proletarjatu powołaną była lać zimną wodę na zapalony austriackiej partji wojennej. W ten sposób akcja Międzynarodówki stanowiłaby w pewnej mierze przeciwagę braku silnego socjalistycznego ruchu w Serbji i ułatwiłaby Socjaldemokracji w Austrii wypełnienia jej zadania. Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na tym przykładzie, aby na nim wyjaśnić, jak łączą się i wiążą węzły międzynarodowej polityki, jak bezsilna jest przeto akcja jednej partji socjalistycznej, jak niezbędna akcja Międzynarodówki.

Jeżeli dotychczas za słabo się ona rozwijała, to należy to przypisać obok wyżej wyłożonych powodów jeszcze pewnemu uczuciu fatalizmu, które panuje w Międzynarodówce, o ile chodzi o kwestje polityki zagranicznej. „Jesteśmy zaśłabi, nie posiadamy jeszcze dostatecznego wpływu na rządy, aby podobna akcja wywarła pożądany skutek“, oto wypowiedana lub niewypowiedana myśl, leżąca u podstawy bezczynności Międzynarodówki w podobnych momentach. Gdyby myśl ta była nawet słuszna to tymbardziej byłoby obowiązkiem Międzynarodówki rozwijać energiczną akcję, gdyż tylko tą drogą właśnie proletarjat mógłby uzyskać brakującą mu siłę. Ale myśl sama jest niesłuszna. Proletarjat nie posiada dostatecznej siły, aby móc skierować zagraniczną politykę państwa w tym lub innym pożądanym przez się kierunku np. dla odbudowania jakiego państwa, zmienienia w pewien sposób międzypaństwowych granic, jak mu to doradzał niegdyś Michał Luśnia;¹⁾ siły podobnej nie będzie zresztą posiadał, dopóki nie ujmie w swe ręce władzy politycznej. Ale dziś już państwa liczą się z jego stanowiskiem w razie wojny, czemu niejednokrotnie dawali wyraz kierownicy rządów. Im żywsza będzie akcja proletarjatu, im częściej będzie on wglądał do kuchni dyplomatycznych, tym bardziej rządy będą się strzegły przed lekkomyślnym rzuceniem się w wir awantur wojennych. Jeżeli zaś pomimo wszystko dojdzie do wojny, to uprzednia opozycja proletarjatu przeciw niej będzie jednym z czynników, poz-

¹⁾ Patrz charakterystyczny dla tego polityka artykuł z roku 1897, p. t. „Międzynarodowa polityka proletarjatu“, str. 52—82 Pism Socjalistycznych Kazimierza Krauza, Kraków 1907, z którego zasadniczymi myślami redakcja „Przedświtu“ zupełną wyraziła zgodę. Reformator zagranicznej polityki proletarjatu i jego polityczni przyjaciele zapomnieli tylko o bagatelce, że domagając się od państw dzisiejszych przekształcenia mapy politycznej Europy, socjaldemokracja musiałaby popierać przedewszystkim — militarizm, co ponoć nie należy do jej zadań. Stanowisko swe zmienił później Luśnia (patrz artykuł: „Socjalizm a pokój europejski“ l. c., 83—110; czy z ową nową serją przekonań redakcja „Przedświtu“ się także zgadzała, nie wiemy.

wałającym mu na wykorzystanie wojny dla swych celów klasowych i rewolucyjnych.

Gdy w ten sposób wypada stwierdzić, że polityka zagraniczna partji socjalistycznych sporo jeszcze pozostawia do życzenia pod względem konsekwencji, wyrazistości, energii czynu, dają się słyszeć głosy krytyczne, dążące go zrewidowania taktyki proletarjacji w kwestji zagranicznej w zupełnie odwrotnym kierunku. Austriacki socjalistyczny dziennikarz *Karol Leuthner* oraz wspomniany już socjalista niemiecki *Maurenbrecher* wystąpili przeciw Socjaldemokracji niemieckiej z zarzutami, które sprowadzają się do tego, że akcja partji tej przeciw polityce zagranicznej Niemiec może mieć jeden tylko skutek: wzmocnić udział Anglji w łupach kolonialnych na niekorzyść Rzeszy niemieckiej. Wobec błahości tej krytyki i faktu, że została ona przez całą prasę partyjną bezwzględnie odrzucona, nie mamy zamiaru jej szczegółowiej omawiać. Ale na pierwszy rzut oka jest widoczne, że podstawą jej jest uznanie kolonji za pożyteczny dla proletarjatu nabytek. Jaki byłby skutek przyjęcia przez partję pozycji *Leuthnera*, o tym świadczy sposób, w jaki jego wystąpienia wyzyskuje prasa burżuazyjna dla propagandy zbrojeń. Organy „patriotów pancernych“, propagujące praktykę zbrojeń bez końca i miary, cytują go z zachwytem dla swoich celów. Jak w polityce wewnętrznej tak i w zagranicznej jedyną realną i pozytywną taktyką, jaką proletarjat może uprawiać, jest energiczna i bezwzględna walka przeciw burżuazji i rządowi kapitalistycznym. Czy zdoła ona osiągnąć bezpośredni skutek, czy zdoła uniemożliwić wojnę w określonych warunkach czy nie, w każdym razie uzdolni proletarjat do walki o socjalizm. Polityka inna, polegająca na popieraniu „uzasadnionych“ praw burżuazji do kolonialnego łupu i zaborów „wszechświatowych“, jaką proponują proletarjatowi nacjonalistyczni i oportunistyczni „socjaliści“, miałyby ten tylko skutek, że wzmocniłyby tendencje, prowadzące do wojny, i rozdarszy międzynarodowy proletarjat, opóźniłyby chwilę jego wyzwolenia.

III. Socjaldemokracja polska a sprawy polityki zagranicznej.

Powyzsze sprawy posiadają dla nas wcale nie akademicki charakter. Od rozwoju konfliktów na arenie międzynarodowej zależy w znacznej mierze tempo rozwoju ruchu socjalistycznego na zachodzie, od którego siły w znacznej również mierze zależą losy rewolucji rosyjskiej. Nie trzeba wcale przenosić jej punktu ciężkości za granicę, by wysoko cenić wpływ ewentualnego wybuchu ruchów rewolucyjnych na Zachodzie, spowodowanych przez wojnę, na bieg wypadków w Rosji. Ale nie tylko ten dalszy związek zachodzi między sytuacją w Rosji a położeniem międzynarodowym. Związek bezpośredni stwarza udział Rosji w ugrupowaniu się mocarstw i wynikająca stąd możliwość wciągnięcia Rosji w wir międzynarodowej wojny. Jakie obowiązki wypływają stąd dla Socjaldemokracji Rosji, o tym rozszerzać się w ramach niniejszego artykułu nie mamy potrzeby. Chcielibyśmy na tym miejscu wskazać jeszcze tylko na specjalne

zadanie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego, które wynika z tego faktu, że na terytorjum naszym rozwija „działalność“ organizacja nieproletarjacka, ale starająca się pod osłoną hasel socjalistycznych wpoić w masy robotnicze zarazę spekulacji na awanturę wojenną. Mowa naturalnie o t. zw. Frakcji „Rewolucyjnej“ P. P. S.

Socjalpatriotyzm, u którego kolebki już stała spekulacja na wojnę, nie nauczywszy się niczego z historii własnego bankructwa, a licząc bądź na bezgraniczną naiwność, bądź na niewyczerpaną cierpliwość publiczności polskiej, jakby nigdy nic, wyciąga znowu z lamusa, wobec obecnej naprężonej sytuacji międzynarodowej dawne papierowe „armatki“, które już tyle homerycznego śmiechu wywołały z okazji planów mobilizacji wszelkich „Krakusów“ i „Zgorzkniałych“ w Przedświtach z r. 1901–1902, znowu zaczyna kombinować, czy zbankrutowany program jego nie da się urzeczywistnić w nadzwyczajnej sytuacji. „Socjologowie“ tego kierunku oczywiście nie zdążyli jeszcze zrozumieć, dlaczego w wielkim roku rewolucji spotkała ich ta przykrość, że ani jedna warstwa społeczna nie stanęła do walki pod sztandarem „odbudowania“. Zadawałając się pełnym mądrości spostrzeżeniem, że stało się tak tylko dzięki temu, iż małołudzna „lewica“ w krytycznej chwili schowała sztandar partyjny do kieszeni (niewiadomo tylko, dlaczego junakom z przyszłej frakcji w r. 1905 niepodległość również schowała się w serce, które wówczas osunęło się w pięty), obecnie ze świeżymi siłami, animuszem i gładkim obliczem propagują myśl oderwania się od Rosji — podczas ewentualnej wojny. Nie domyślają się naturalnie, że kombinacje ich mają tę wadę, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa w podobnej sytuacji proletarjat polski obróci się ku nim znowu tyłem, jak to uczynił w r. 1905, i że w razie wojny będzie walczył razem z proletarjatem Rosji o republikę demokratyczną i autonomję naszego kraju. Nie domyślają się również — choć pewne wskazówki mogliby wysnuć z obecnego popierania polityki zagranicznej caratu przez polską burżuazję — że w razie międzynarodowego konfliktu burżuazja polska będzie hurra — kanalją caratu! Ale jeżeli spekulacji niepodległościowych socjalpatriotyzmu po doświadczeniach ostatnich lat pięciu nikt brać już na serjo nie może, to faktem, zasługującym na uwzględnienie, jest bądź co bądź bezmyślność, z jaką grupa, podszywająca się pod socjalizm, potrząsa sztandarem wojny.

Spekulacje Frakcji „Rewolucyjnej“ na wojnę międzynarodową, witanie tej wojny i przyzywanie jej, zamiast głoszenia wojny wojnie, jest w okresie spotęgowania się antywojennej akcji międzynarodowego proletarjatu tak jaskrawym dowodem drobnomieszczańskiego, nieproletarjackiego charakteru tej organizacji, że lepszego nie mogłyby wynaleźć, gdyby jej samej specjalnie na tym zależało. W okresie reakcji i zarazem dojrzewania żniwa Narodowej Demokracji, Chrześcijańskiej Demokracji i wszelkiej reakcyjnej demagogii, może i Frakcja „Rewolucyjna“ P. P. S. wywierać pewien wpływ choćby na nieliczne warstwy proletarjatu polskiego. Zdemaskowanie jej spekulacji wojennych, wynikające już z naszego obowiązku prowadzenia

przeciwwojennej agitacji, przyczyni się do spełnienia dalszego obowiązku: wyparcia tej całkiem obcej rośliny z gruntu proletarjackiego.

Może się praktycznym politykom wydać śmiesznym, że partja proletarjatu, przybita obecnie przez kontrrewolucję do ziemi, osłabiona niesłychanym upustem krwi, zabiera się do wpływania na zagraniczną politykę caratu, że grozi mu zagorzała opozycją przeciw jego zakusom zaborczym i knowaniem wojennym. Nie dbając o kpiny tych „realistów“, partja spełni swój obowiązek, wszczepiając swe idee w świadomość przednich elementów proletarjatu, które poniosą je dalej w masy robotnicze. Gdy te, otrząsnąwszy się z odrętwienia fazy kontrrewolucyjnej, wystąpią znowu do czynnej walki, wtedy jednocześnie staną oko w oko przeciw zagranicznej polityce caratu i stopą żelazną zdławią jego politykę wewnętrzną. Akcja proletarjatu będzie wówczas o tyle świadomą, a nie tylko żywiołową, o ile my, „bezsilni“, obecnie światło świadomości tej rozpowszechnimy.

Z pamiętników więźnia.

Poniżej podajemy urywki z pamiętników, pisanych przez jednego z towarzyszy, który przebył dłuższy czas w X pawilonie warszawskiej cytadeli. „P. S.“ zamieszcza wprawdzie zwykle tylko prace o charakterze teoretycznym lub artykuły, dotyczące bieżącego życia politycznego. Wszakże sądzimy, że w okresie obecnym, gdy najczynniejsza i najwybitniejsza część bojowników rewolucji spędza życie za kratami więziennymi, w okresie bezwzględnego traktowania dusz przez tryumfującą reakcję, gdy wytworzyła się swoista atmosfera psychiczna w kołach rewolucyjnych, pamiętniki więźnia-rewolucjonisty, pisane z dnia na dzień, wśród bezustannego acz cichego chaosu zgrzytliwych wrażeń, wśród bezustannego acz cichego szamotania się z przemocą, z murami i stróżami kaźni, stanowią nie tylko „dokument ludzki“, ale i dokument historyczny niemałej wagi dla dziejów rewolucji. Stronice naszego pisma wszystkie poświęcone są walce ideowej o sprawę rewolucji — walce z piórem w rękę. Poniżej parę stronic, odzwierciedlających w prostym zdjęciu fotograficznym walkę — z rękami w kajdanach.

Redakcja.

30 kwietnia. Dwa tygodnie tylko poza światem jestem. A zdaje się, jakby to już wieki całe. Myśl pracowała, objęła czas ubiegły — czas czynu — i gorączkii treści szukała, życia. Na dnie duszy spokój i jakaś dziwna pogoda, nie licująca ani z murami temi, ani z tym, co tam poza nimi zostawiłem. Jakby zamiast życia wegietacja przyszła, zamiast czynu — zapatrzenie się wewnątrz siebie. Dziś dostałem ten zeszyt, atrament i pióro. Chcę dziennik pisać, chcę z sobą rozmawiać, chcę wnikać w życie, by dało wszystko — i dla mnie i może po-

trochu dla tych druhów moich, którzy tam o mnie myślą i boleją nade mną – i by w ten sposób zachować siły do powrotu. Jutro 1-szy maja. W ochronie oficer jakiś ze słodką miną pytał się mnie: „słyszał pan, że przed waszym świętem bardzo wielu waszych zabierzemy?“ A dzisiaj był u mnie pułkownik Iwanienko, żandarm, dowiedzieć się, czy jestem przekonanym „esdekiem“, a ewentualnie zaproponować mi służbę rządową. „Może pan się rozczarował?“ I dziwna rzecz: nie zapłonąłem oburzeniem ani zdziwiony byłem, rozmawiałem z nim, jakby politowanie dla niego czując, i pytałem się go, czy głos sumienia „nie zabijaj“ nigdy do niego nie przemawiał, czy nie czuł nigdy, że złej sprawy broni. I nie czułem gniewu ani nienawiści do niego za tych wszystkich, którzy już nie żyją, za tych, którzy wszy w kazamatach karmią, a których rodziny z głodu umierają. Bo też niema we mnie miłości ani nienawiści do ludzi, ani wywyższania jednych nad drugich – chociażby to był kat i prowokator. To ich nieszczęście, a nie wina, okropne nieszczęście. Oto na tym samym korytarzu, na którym i ja siedzę, siedzi zdrajca, robotnik-ślusarz, Michał Wolgemut, bojowiec z Frakcji Rewolucyjnej P. P. S., schwytany pod Sokołowem po krwawym napadzie na pocztę, gdzie 6-ciu czy 7-miu żołnierzy zabito. Młody chłopak, ideowiec, a gdy przyłapano jego kartkę, w której prosił towarzyszy, by go odbito i gdy Zawarzin, naczelnik ochrony, zaczął obiecywać mu wolność za zdradę i namawiał go przez kilkanaście godzin – zdradził. Do sprawy pociągnięto 27-miu, wśród nich 17-letnich chłopców i dziewczęta. Teraz widuję go, jak chodzi na spacerze z twarzą smutną, przybitą, z drugim, z którym nigdy nie zauważyłem, by rozmawiał. Z celi swojej nie puka do nikogo. I iluż jest takich zdrajców, iluż ci, którzy uświęcali mord, jako ideę, wiodącą do szczęścia ludu, doprowadzili do hańby tak strasznej, do takiego nieszczęścia duszy ludzkiej! Któż winien? Nie winię tych, którzy uświęcają mord ideowy, tak samo jak tych – katów i morderców, którzy piszą prawa i piszą wyroki. Całe społeczeństwo, cała ludzkość nosi w sobie jeszcze kult mordu – obłęd walki powszechnej. I robotnicy nasi, ci, którzy dziś cierpią i najwięcej ofiar składają, – i w nich żyje ten sam obłęd i nie żyć nie może. Prawa panujące, militarizm – żyją, bo mają oddźwięk w duszach ludu i same jeszcze silniej rozwijają w ludzie uczucia, które podsycają mord. I oto przyszła kara, kara okropna – ta siła i te prawa nie tylko zwróciły się przeciw ludowi, lecz lud to odczuł, zrozumiał. I żyją w nim te uczucia i instynkty żadne mordu, zemsty, uczucia żywe, podsycane wciąż mordami rządowymi i ostatnią wojną, ideowymi napadami i mordami „fraków“ i bandyckim rozbestwieniem wyrzutków społeczeństwa lub zrozpaczonych głodem robotników bezrobotnych. Gdzież wyjście? Wyjście w idei życia harmonijnego, życia pełnego, obejmującego całe społeczeństwo, całą ludzkość – w idei solidarności i miłości, wstrętu do mordów. Idea ta już przychodzi, już lud otwarte serce ma dla niej; czas już przyszedł. Trzeba skupić szereg apostołów tej miłości i nieść wysoko jej sztandar, by lud go dojrzał i poszedł za nim, trzeba zwalczać samą ideę mordu, taksamo, jak mordy rządu. I to jest dziś najpilniejsze zadanie Socjaldemokracji,

zadanie tej garstki tu w kraju, która się zachowa. Socjalizm powinien przestać być wyrozumowanym ujęciem przyszłości i stać się winien pochodnią, która zapalać będzie w sercach ludzkich wiarę i energję niezwalczoną, budzić wstręt do mordów. Dziś niema wstrętu do mordów, jest tylko strach, strach paniczny, by nie zostać samemu zamordowanym, i żądza, by wróg był zamordowany. I namnożyło się zdrajców, którzy towarzyszy swych, własnych braci na stryczek posyłają, którzy wyszukują i wskazują siepaczom tych wszystkich, co razem z nimi byli w szeregach. I namnożyło się morderców, którzy jako żołnierze mordują, bo mordować muszą, by ich nie zamordowano. Opowiadali mi ludzie kompetentni i wiarogodni o organizacji, jednej z większych, większego miasta, gdzie wszyscy członkowie komitetu i zarządów dzielnicowych podejrzewali się nawzajem, że są prowokatorami, nie ufali sobie. Jeszcze jedna wsypa, a organizacja się rozpadnie. Cóż robić? Garstka mała, lecz silna ideą swą skupi masę koło siebie, da im to, czego im brak, co ożywi je i natchnie nową nadzieją i rozproszy tę straszną atmosferę nieufności i żądzę krawej pomsty, która się mści na ludzkie samym. A mordercy wymordują się nawzajem i nie stworzą ładu, nie wtłoczą życia w stare ramy, a krew niewinnych i głód i cierpienie mas ludowych — płacz dzieci i rozpacz matek — te ofiary, które lud złożyć musi, by pokonać wroga w swoim własnym sercu i by zwyciężyć, — nie pójdą na marne. Późno już.. Chcę tutaj przynajmniej regularne życie prowadzić — by nie oddać im sił moich. A czuję taki wielki zasób ich, że, zdaje się, wytrwam i wrócę. A jeżeli nie wrócę już — to może ten dziennik dojdzie rąk druhów moich i będą mnie mieli, choć cząstkę moją i tę pewność, że pogodny byłem, że przywoływałem ich do siebie w godzinach ciszy i smutku i radosnych myśli moich i że było mi dobrze, tak jak może być dobrze tu w ciszy samemu, z myślami o wiosnie, o naturze, o nich — gdy czasami taka cisza wielka, że uchwycić wzrokiem można i słuchem myśli swe i ujrzeć uśmiech przyjaźni. I czasami mówię sobie, że szczęśliwy jestem, że samotność daje mi obcować z ludźmi tak, jak tego pragnę, że dają wtedy mi oni więcej, niż gdybym był z nimi. I błogosławię samotności mej.

2 maja. Wczoraj i dziś przyszedł jakiś niepokój, jakieś dreszcze i lęk. Czego? Nie wiem. A jednak myśli nie mogą się skupić i biją się i szamoczą jak strzępy, na igraszkę wiatru oddane. Gdzież wiatr ten? Jakiś tajemniczy lęk mistyczny: czy to zgroza przed szatanem, przed tym złym, które dotknęło mnie, czy słabość boga mego, który przemawia przezemnie do tych, co mnie tu trzymają? Dziś znów był pułkownik u mnie. Gdy zobaczyłem go, zadrżałem, jakbym żmiję odczuł na ciele, jej dotknięcie ślizkie, przerażające. Przyszedł zawiadomić mnie przez grzeczność, że sprawa moja oddana została do sądu wojennego, że akt oskarżenia już mi wysłano. Ubolewał, że odebrano sprawę z Izby sądowej, lecz upewniał, że nieraz sąd wojenny więcej uniewinnia i łagodniejsze wyroki wydaje. Rozpytywał, czy sam siedzę, czy mam książki, jak tu karmią, mówił, że on w więzieniu zaprowadziłby teatr. A gdy zapytałem go znowu: czy sumienie nigdy

nie przemówiło w nim — powiedział mi, że nie jestem normalny, współczując ze mną i ubolewając. Przez cały czas tej krótkiej rozmowy czułem, jak żmija pełza po mnie, obejmuje mnie skrętami swemi i maca, aby znaleźć zdradę, jakiś punkt zaczepny i zawładnąć. Nie bałem się, że dusza moja nie wytrwa tej próby. Czułem tylko wstręt fizyczny i uczucie, poprzedzające zwykle wymioty. Wróciłem do celi mej i czułem, że nie staje mi siły na filozofję, którą przywłaszczyłem sobie, na tęsknotę do harmonji i na spokój pogodny, który mi każe czcić siebie tylko i dla wszystkich być jednakim. Brud poczułem na sobie — brud człowieka — poczułem, że „ja“ moje, to ten pułkownik, to ci żandarmi — że ta cześć dla siebie samego fikcją jest, że aby być sobą, wprzódy trzeba wyzwolić się od zależności ludzkiej, przestać być człowiekiem. Przyszedł wstręt i obrzydzenie do życia, do ludzi i do siebie i przyszedł lęk i przyszła rozpacz bytu. Zło, jak kleszcze żelazne rozpalone, wrywa i pali żywe ciało z żywego człowieka, oślepia go. Zasłania cały świat, by wypełnić każdą cząstkę, każde tchnienie i atom każdym bólem — bólem przeżajającym. „Szał i zgroza“, tak Andrejew nazwał wojnę; lecz życie — to coś stokroć gorszego; całe życie, nie tylko tu w kazamatach.

2 maja. Codziennie zakuwają po kilku i więcej w kajdany. Gdy przyprowadzili mnie do celi, w której niegdyś już przed 7-miu laty siedziałem, pierwszy głos, który przemówił do mnie — to brzęk kajdan. Doleciał do celi mojej z którejs z sąsiednich. Towarzyszy on każdemu poruszeniu okutego. Zimne bezduszne żelastwo, połączone z żywym ciałem ludzkim, żelastwo, wiecznie ciepła łaknące i nigdy nienasycone i wciąż przypominające niewolę. Zakutych na moim korytarzu większa część teraz. Na 13-tu — 7-miu zakutych. Gdy chodzą na spacerze, cała cisza więzienna wypełnia się tym jedynym szcękaniem, który przenika do wszystkich tajników duszy i staje się wszechwładnym. I chodzą, patrzą na niebo, na drzewa, które już liśćmi zielonemi zaczynają się pokrywać — i nie widzą piękna, nie słyszą hymnu życia, nie czują ciepła słońca. Zakuwają ich, bo chcą odebrać im wszystko i pozostawić tylko ten dzwon pogrzebowy. Przecież obawy, by mogli stąd uciec, mieć nie mogą; nikt jeszcze nie uciekł stąd z rąk ich: — za każdym chodzi żołnierz z karabinem, — prowadzi żandarm, — naokoło żandarmi, żołnierze, kraty, okopy forteczne. Zakuwają, bo zemsty chciwi, krwi żądni — muszą nasycić swe pragnienie. To ci, którzy rozkazują, ci u góry, którzy wiedzą, co każą, którzy samiby nigdy nie zakuli własnymi dłońmi, jak i nie byliby katami. Rola katów to rzecz tych, żołnierzy, żandarmów, tych, za których zakuwani zbrodnię popełnili. Bo tutaj żandarmi nie z własnej woli służą, lecz z „poboru“, z ludu bierze się rekruta. I właśnie ci, którzy zakuwają, nie wiedzą, co czynią. Przyzwyczaili się i nie wiedzą, co zabierają więźniom, bo ich własne życie nie dało im poznać piękności świata. Widziałem dziś, jak prowadzili z kuźni już okutego młodego chłopaka. Na twarzy jego widać było, jak wszystko w nim zastygło, silił się na uśmiech jednak, który mu wykrzywił twarz tylko — schylony trzymał w ręce kajdany, by mu nie wlokły

się po ziemi i pędził z ogromnym wysiłkiem za żandarmem, który spieszył; widocznie miał jeszcze wielu innych zakuc. Żandarm zauważył tę mękę zakutego, na chwilę się zatrzymał, uśmiechnął się łagodnie, przyjaźnie: „ech, zapomniałem panu rzemień dać“ (dla podtrzymania kajdan) i poprowadził dalej.

7 maja. Dziś miałem widzenie z obrońcą. Trzy tygodnie upływały zupełnej samotności, zamknięcia w czterech ścianach. Już dziś na tym widzeniu znać było skutki. Nie mogłem mówić swobodnie, chociaż nikogo nie było przy nas, zapomniałem słów najprostszych, jak np. „notes“, głos drżał i czułem jakieś drżenie na całym ciele i wewnątrz. Myśl płątała się, a jednak spokojny się czułem i nie zdenerwowanie to było. Odzwyczałem się od ludzi, byłem z równowagi mej samotności wytracony i nie miałem czasu w te kilka czy kilkanaście minut znaleźć siebie, znaleźć nowej równowagi. A adwokat spojrzął na mnie i zauważył: „Zdenerwowany pan jest“. Wróciłem do celi zły na siebie – nie powiedziałem wszystkiego, jakby to we śnie było i mówiłem bez woli, bez sensu może nawet. A więc sprawa jednak będzie w Izbie. Któż jednak ich zrozumie? Iwanienko chciał może nastraszyć mnie lub zobaczyć, jakie to na mnie wrażenie robi, a najpewniej prawdę powiedział, to, co już postanowiono, lecz o czym papier nie doszedł jeszcze do Izby. A może będę miał dwie sprawy o jedno i to samo – jedną w Izbie a drugą w sądzie wojennym. Zresztą mniejsza o to – na kilka lat tym razem muszę liczyć i uzbroić się w cierpliwość. Teraz czytam od rana do nocy – beletrystykę; pochłania mnie ona, zabiera mi całe dni i po tym czytaniu jestem jakby oszołomiony – jakbym nie czuwał, lecz spał i we śnie widział epoki różne, ludzi, przyrodę, królów i nędzarzy, szczyt siły i upadku. I nieraz odrywam się z niecierpliwością od czytania do obiadu lub kolacji i spieszę połknąć swój pokarm i dalej gonić za wypadkami, za przeznaczeniem ludzi – niemal z taką gwałtownością, z jaką niedawno pędziłem w wirze małego świata mego, małych czynów, natchnionych myślą i porywem wielkim. Czasami tylko ten sen przerywa się i wraca okropna rzeczywistość. Oto przed chwilą na korytarzu obok jakaś kobieta miała awanturę z żandarmem, a potem zaczęła krzyczeć histerycznie, o ratunek wołać, jakby ją zabić mieli lub rznęli. Długo, długo tak krzyczała strasznie, bez przerwy. W kilku celach rozpoczęło się stukanie w drzwi i umilkło. Na korytarzach bieganie żandarmów. Nasz żandarm głosem przestraszonym i błagalnym wołać począł: „proszę nie stukać, przecie ja wam nie wymyślałem, nie krzywdziłem“. Gdy ktoś się odezwał, by zawołać zarządzającego i poskarżyć się mu, że tam biją kogoś – odpowiedział pokornie, że dobrze, że się poskarży. Żołnierz zzewnątrz krzyczał groźnie, by nie stukać i zawołał głośno „razwodiaszczawo“. Sąsiad mój, młody chłopak, uczeń 17-letni, oskarżony o napad na pocztę pod Sokołowem i o inne 4 napady, wypukiwał: co to, czy to demonstracja, a z góry inny: co ta dzicz wyrabia. Wkrótce potym uspokoiło się zupełnie i wróciła martwa cisza, przerywana tylko gwizdaniem lokomotyw. – Czasami w ciszy nocnej, gdy się już leży,

a jeszcze nie śpi, wyobraźnia podsuwa ruchy i dźwięki jakies — umiejscawia je tam nazewnątrz, za parkanem, dokąd prowadzą okuć. Wtedy podnoszę się i nasłuchuję — i im więcej wsłuchuję się, tym wyraźniej słyszę, jak strugają i heblują ostrożnie, pokrywom. To szubienicę i pomost szykują — myśl błyska i już nabiera pewności. Kładę się, wciągam kołdrę na głowę... już nie pomaga; co raz wyraźniej, z coraz większą pewnością wie się, że dziś powieszają kogoś. On wie o tym. Przychodzą do niego, rzucają się, wiążą, usta kneblują; lub też sam daje sobie dobrowolnie ręce związać i nałożyć koszulę śmiertelną. Dotykają i potem prowadzą, patrzą, jak kat go bierze, patrzą na ostatnie drgania i może cyniczne słowa rzucają potem, gdy zakopują ścierwo. Czyżby ci żandarmi, którzy nas strzegą, czyżby ten wachmistrz, zawsze łagodny i z oczami zamglonemi, czyżby ten uprzejmy zarządzający, który bez czapki był u mnie, czyżby oni — ci ludzie, których widzę, mogli być przy tym i brać udział sami?... Przyzwyczajali się. A jak ci, którzy idą na szubienicę? Bunt się zrywa w duszy okropny. Czyż niema już ratunku? Odrazu przejść w nieistnienie, przestać być — iść własnymi nogami, widzieć własnymi oczyma przygotowania wszystkie i kata dotknięcie czuć. Bunt straszny — odbija się o zimną, nieuniknioną konieczność i nie może się pogodzić, nie może zrozumieć. I wreszcie skazaniec spokojny idzie na śmierć, by już raz skończyć, by przestać szarpać się. Do rąk moich doszedł napis jednego z wielu skazanych: „Józef Kunicki, aresztowany w Wilnie na ulicy razem z żoną 6 lipca 1907 r., skazany w Suwałkach wileńskim sądem wojennym 15 grudnia na śmierć o zabicie szpicla tajnego i o należenie do frakcji bojowej S. D. P. L., przywieziony do Warszawy 19 lutego 1908 r. dla spełnienia wyroku; piszę 3 marca 1908“. Prawie trzy miesiące upłynęło od wyroku do chwili, gdy te słowa pisał — i napewno sam siedział, oddany na łup żądzy życia. — Obok mnie chłopak, o którym już pisałem, wypukał mi, że nie jest tchórzem, ale nie chce zginąć — zginąć za pieniądze. Czuję z pukania, co w duszy jego dziać się musi. Chociaż prawdopodobnie uniewinnią go. Tego strachu panicznego przed śmiercią taką — śmiercią z ręki kata, ludzie najodważniejsi, ci, którzy życie swoje stawiali na kartę wiele razy w boju, w zamachach, przy napadach — nie mogą znieść nieraz i stają się zdrajcami. Ci wszyscy, którzy koło mnie siedzą, wpadli przez zdradę. Zamach na Skąłona — 4-ch zdrajców, Radom, zabójstwo rotmistrza — zdrajca, który sam uciekł, Sokołów — zdrajca, Włocławek — zdrajca. Teraz, słyszę, jakiś wybitny u fraków działacz — zdrajca: wydał mnóstwo ludzi w Warszawie, Sosnowcu, Lublinie i innych miastach. I gdy tak myślę o tej śmierci, o prowadzonych na nią — obok zgrozy całej budzi się nawpół świadome lecz istotne uczucie bestji ludzkiej. To nie ja, to nie moi, to nie ja. I czuję wtedy podłość własną, podłość mej samotności — świat to ja — całą zgrozę bytu swego. Padam w przepaść bezdenną i twarze tych, o których myślę, mgłą gęstą się zasłaniają i nie mogę patrzeć na nie, nie mogę dłużej myśleć o tym. Myśl dochodzi do graincy niebytu albo obłądu.

9 maja. Dziwnie szybko dni mi schodzą na czytaniu. Wieczór, już późno, spać nie chcę iść i odwlekam tę godzinę codziennie na coraz później, chcę czuwać. Jakgdybym nie był w niewoli. Nie czuję prawie drzwi zamkniętych i blizkiej zgrozy. Nie myślę o przyszłości, nie myślę o tym, co się tam nazewnątrz dzieje. Wiosna, która przyszła, nie porywa mnie pragnieniem nienasyconym w szerokie przestrzory. Widzę tę wiosnę, budzącą się tutaj, na drzewach, w trawie, wciągając ją w siebie z powietrzem. Słyszałem dzisiaj pierwsze grzmoty: teraz słyszę, jak tam za oknem radosny deszcz wiosenny pada i krople jego pukają mi do okna. Zmęczony jestem. Nie chcę rzucać się w wir życia — wystarcza mi i spokój mi przynosi to odbicie tylko światła, które już jest we mnie, które wydobywam z pamięci lub książek, z dziejów dawno minionych, i na które patrzę. Nie szarpię się, nie szukam uświęceń ani filozofji, ani celu życia, przeszłości i przyszłości. Pozostało nagie „jestem“ tylko i to wystarcza. Już nie palę się. A tam w duszy, w głębinach jej — potajemnie burzy się coś, układa, nagromadza, przesuwa, by, gdy nadejdzie chwila, wybuchnąć. I któż odgadnąć może, kiedy przyjdzie ona? Może jutro, może dziś jeszcze, a może za rok. Czy wybuchnie, by pożreć mnie tu jeszcze w szamotaniu się, czy wtedy — gdy w czynach i w życiu będę mógł twórcą być, własnym twórcą. Niech wola moja milczy teraz — niech żadne gorętsze uczucie się nie odezwie, aż będę mógł się wyrwać z nieruchomego martwego bytu.

Wczoraj wręczono mi akt oskarżenia. Członek Izby sądowej uprzejmie wytłumaczył mi, że mam 3 dni czasu na podanie świadków, że sprawa będzie niewcześniej jak w sierpniu, że toczyć się będzie jednak w Izbie — rozporządzenie senatu czy ministra sprawiedliwości, by oddawać podobne sprawy sądowi wojennemu, do tej sprawy już nie będzie zastosowane, — że wcześniej jak w sierpniu nie mogą — teraz są zawałeni pracą, — muszą jechać do Siedlec, Radomia etc., a potem wakacje, więc dopiero na jesieni, że Izba postanowiła mnie i innych uwolnionych za kaucją zaaresztować. A więc jeden z nas będzie siedział przed sprawą 23 miesiące, 2-ch innych po 20. Co do mnie w akcie oskarżenia niema ani jednego dowodu mojej winy i mógłbym być wolny, gdyby można wogóle było przewidywać wyroki, bardziej zależne od widzimisię i humoru sędziów niż od dowodów prawnych. Zresztą na uwolnienie nie liczę. Być może, że wytoczą mi przedtym sprawę w sądzie wojennym, a gdyby teraz nie wytoczyli, to wranie uwolnienia przez Izbę — wytoczą potem na podstawie tych papierów, które ostatnio znaleźli u mnie, chociaż i one nie dowodzą, że należę do partji.

10 maja. Obok mnie siedzi teraz od 2 dni 18-letnia robotnica. Od 4-ch miesięcy aresztowana. Śpiewa — pozwalają jej. Ona to miała awanturę z żandarmem; potem przeprowadzono ją tutaj. Młoda, wygląda jak dzieciak, strasznie się męczy. Przykrzy jej się; wypukuje mi, żebym przysłał jej sznurek, że powiesi się; dodaje przytym: od cukru, żeby słodko było umierać. Puka tak strasznie ner-

wowo i z taką niecierpliwością, że nie prawie zrozumieć nie można, a wciąż przywołuje mnie pukaniem: nie może widocznie znaleźć sobie miejsca. Niedawno znów puka mi: moi drodzy, poradzcie mi coś, aby mi się tak strasznie nie przykrzyło. I wciąż ma zatargi z żandarmami; żywa jak dziecko, nie może znieść ani się pogodzić z rygorem, który tu panuje. W tej chwili oto, gdy to napisałem, znów wynikła mała awantura. Przestała śpiewać, zapukała do żandarma i poszła do „tualety“. Idąc, zapukała do moich drzwi, potym wracając chrząknęła i stanęła koło drzwi swojej celi, żądając, by żandarm jej drzwi otworzył, bo ją ręka boli (w poprzedniej awanturze ona podobno kropnęła żandarma dzbankiem, a ten szablą zranił ją w rękę). Zwyczajem czy regułą tu jest, że drzwi powinien otwierać więzień, a nie żandarm, by więzień nie mógł przy otwieraniu napaść na żandarma; zgóry tu się przypuszcza, że każdy więzień to krwiożerczy morderca i zbrodniarz, dlatego też np. żandarm-klucznik nie ma prawa wejść do celi więźnia. Żandarm na to zażądał, by sama otworzyła drzwi. Wszystko jedno, odpowiedziała, ja otworzyć nie mogę, mnie ręka boli, będę tu stała przez cały czas. Żandarm zagroził wtedy, że zadzwoni i jej gorzej będzie; odpowiedziała: mnie wszystko jedno. Gdy wtedy żandarm, widocznie niezdecydowany, poszedł do dzwonka, by ją nastraszyć, ona podeszła do celi naprzeciwko, gdzie siedzi jakiś młody oficer z drugim więźniem, i zaczęła rozmawiać. Rozwścieczony żandarm drzwi ze złością otworzył z krzykiem: „No ty chodź, ja ci otworzę!“, a potym na korytarzu burczał i półgłosem wyrzucił: ścierwo! Wtedy rzuciłem się do drzwi, zacząłem stukać i krzyczeć „żandarm!“ Nie odzywał się i przyszedł dopiero gdy po raz trzeci go zawołałem. Wpadłem na niego ostro. Zaczął od tego, że to nie moja rzecz; gdy rzekłem, że słyszałem „ścierwo“, zaczął usprawiedliwiać się, że on otworzyłby, lecz ona już nieraz takie kawały urządziła i, gdy żandarmi nachylali się, by zasuwę odsunąć, ona niejednemu już z nich obiała „mordę“. Gdy już łagodnie zacząłem z nim mówić – zmienił ton: „nie będę z panem gadał“. Ta dziewczyna, nawpół dziecko, nawpół warjatka, wywoła kiedyś większą awanturę. Już wtedy wszyscy byli zelektryzowani jej strasznym krzykiem, płaczem i szamotaniem się z żandarmem. Nieraz, gdy jest w „tualetcie“, wdrapuje się na okno i krzyczy „dzień dobry“ towarzyszom spacerującym, a gdy wtedy przychodzi do niej żandarm – robi piekło. 1-go maja, gdy była na spacerze – wtedy siedziała z drugą – zaczęła wznosić okrzyki: „Niech żyje rewolucja“ i inne i śpiewać Czerwony Sztandar. Wszystkich to zelektryzowało, wszyscy widocznie byli z sobą w rozterce, czy śpiewać, czy podtrzymywać okrzyk. Nikt nie chciał wydać się przed innymi i przed samym sobą tchórzem i chciał śpiewać, lecz musiałyby sobie gwałt zadać; bo wszystko odpychało od tej bezcelowej i zupełnie bezużytecznej demonstracji – niewiadomo czego. Więzienie milczało i nawet jej towarzyszka nie podtrzymywała jej, a zdaje się sama namawiała, by przestała śpiewać. Wieczorem ktoś z góry pukał: „dziś wieczorem zademonstrujemy śpiewem“, lecz samo to pukanie ostrożne było, z przerwami, w obawie, by fijoł nie złapał. Śpiewu nie było jednak.

Czasami gniew na tę dziewczynę wzbiera — jej śmiech, jej śpiew, jej zatargi z żandarmami wnoszą do życia naszego coś tak obcego... a zarazem tak drogiego, tak pożądanego, lecz nie tu, nie tu. Czego chce ta dziewczyna, dlaczego spokój zakłóca? — i budzi się gniew. Lecz rozsądek mówi: „czy to jej wina, że dzieckiem jeszcze zmuszono ją do zajęcia się polityką, a potem zamknięto tutaj — gdy miejsce jej jeszcze w domu u matki, gdy jeszcze czas jej bawić się. Być może, nie ma matki, już sama walczyć o kawał chleba musiała — robotnica przecie. Ten ustrój okropny nakazał jej już nienawidzić i wziąć czynny udział w rewolucji. A teraz za to mszczą się na niej. Czy nie jest to smutne i okropne? I iluż jest takich, — już od dzieciństwa skazanych na marne, nieludzkie życie, — ludzi z wypaczonemi uczuciami, skazanych na to, by prawdziwego szczęścia i rozkoszy życia już nie ujrzeć nawet we śnie! A jednak w naturze jest ta zdolność odczucia. Garstka pozbawiła jej miliony, by spacyzo nawet swoje własne dusze — i oto pozostaje tylko „szał i zgroza“, „zgroza i szal“ lub rozkosz i uciechy w podnieceniu alkoholem, władzą, mistycyzmem religijnym. Gdyby rzeczywistość nie przyświecała ludzkości gwiazda socjalizmu, gwiazda przyszłości — niewarto żyć by było. Bo „ja“ nie może żyć, nie zawierając w sobie całej reszty świata i ludzi. Takie jest to „ja“. Żaden tyran, żaden satrapa nie może się wyzbyć wyrzutów sumienia, taksamo jak każdy, który z krzywdy żyje. I niktby żyć nie mógł, gdyby nie uciekał się do podniecenia, gdyby się nie hipnotyzował jakąś jedną myślą. A cała moja walka — to walka o to, by wyzbyć się tych cieni, które noszę w sobie, by uwolnić się od ludzi, by móc swobodniej odetchnąć od przekłętej t. zw. miłości dla ludzi, uniezależnić siebie, uniezależniając wszystkich.

13 maja. Przed godziną burza szalała. Po raz pierwszy potężne grzmoty biły, huczały, wstrząsały całym powietrzem i nasz marny pawilon X-ty drżał. Błyskawice oślepiająco-jaskrawie rozdierały mrok, odbłyски ich migały i różowe, odbite od ściany oficyny wpadały do celi mojej; deszcz lał jak z cebra, a wiatr kołysał drzewem za oknem, bił o ściany, stukał i skowyczał. Teraz cisza. Księżyc zamglony patrzy z góry obojętnie, nie słyhać ani kroków sztyldwacha i żandarma-klucznika, ani śpiewu mojej sąsiadki, ani brzęku kajdan; tylko od czasu do czasu kropla deszczu skądś spada na blachę od mego okna i słyhać gwizdanie lokomotywy. Jakiś smutek wżera mi się w duszę. Nie więźnia to smutek. I tam nieraz podchodził mnie cichaczem i opanowywał — smutek bytu, tęsknota za czymś nieuchwytnym a koniecznym do życia, jak powietrze, jak miłość. Dziś dwóch skuto; prowadzono ich koło naszych okien z kuźni. Sąsiadka moja Hanka krzyknęła każdemu z nich: „niech żyje rewolucja“, oni ucieszeni odpowiedzieli tym samym okrzykiem. Widocznie dziś zasądzono: może są skazani na śmierć. Widziałem, idąc na spacer, jakiś ruch na jednym z korytarzów — śmiertelnym — często pustym, przeznaczony jest bowiem dla skazańców. Przechodziłem kilka razy przez ten korytarz, gdy prowadzano

mię do kancelarji, i, nie wiedząc jeszcze o jego przeznaczeniu, czułem powiew śmierci. Nie jest ciemny; jaśniejszy od innych, 3 okna duże, na korytarzu 6 cel tylko, od 45 – 50 włącznie, lecz drzwi od cel chociaż takie same jak u nas – żółte z rdzawymi plamami, jednak inne. Na drzwiach jednej z cel zauważyłem zamek zupełnie zardzewiały, pokryty rdzą, w innej w drzwiach dziura była duża, deską zabita, jakby tam walka jakaś śmiertelna się toczyła z opornym zrozpaczo-nym skazańcem. Dwa dni temu, jak mi opowiadano, u mej sąsiadki byli: gubernator, naczelnik ochrony i naczelnik żandarmerji i grozili, że ona i brat jej będą powieszeni, że ona może uratować siebie, wydając ludzi i składy broni, że jest zdradzona i teraz nic prócz własnej zdrady uratować jej nie może. W tych dniach też znalazłem taki napis: „Teodor Jabłoński, skazany na karę śmierci. Cella 48 (śmier-telna). Już był doktor. Dziś będą wieszać. Teraz godzina 10-ta wie-czór. Żegnaj, życie! Żegnajcie, towarzysze! Niech żyje Rewolucja!“ – a obok inną ręką: „Zamienili stryk na 10 lat katorgi. Obecnie ma drugą sprawę o zamordowanie prowoka w więzieniu płockim. Dziś IV. 08 r.“

14-go maja. Korytarz cel śmiertelnych nie jest próżny. Przed chwilą, będąc na spacerze, widziałem w oknie celi 50 cień bladego młodego mężczyzny, zdaje się, robotnika. Lufciki u góry w oknie tej celi zamknięte. Parę razy podchodził do okna i wpatrywał się w karbowane szyby, przez które, prócz rozlanego światła i cieniów niewyraźnych, rozplyniętych, nic nie widać. Tylko dwie górne szyby ze zwyczajnego szkła otwierają się i przez nie można widzieć niebo, przyćmione gęstą siatką drucianą, której oczka są tak małe, że zapalki nawet przesunąć nie można. By zobaczyć przez te szyby, co się na podwórzu dzieje, trzeba stanąć na stole lub na poręczy żelaznego łóżka. Zresztą żandarm pilnuje, zagląda często przez „judasze“ w drzwiach – na chwilę więc tylko można na stół wskoczyć i rzucić spojrzenie przez szyby. Więzień z pod nru 50-go siedzi samotny, bo nawet sąsiadów nie ma, cela ta zupełnie jest oddzielona i mieszkaniec jej nie może rozerwać myśli swych nawet pukaniem, ani zatrzymać oka na czymś, coby ułgodzić, uciszyć burzę mogło. Brudna kamienna podłoga, brudne drzwi, stół i rama okna na żółto pomalowane, ściany szare, zakurzone, z sinemi i białymi plamami, sufit, jak pokrywka trumny, „judasz“ w drzwiach i martwe, rozlane srebrne światło dnia-życia. A tam za drzwiami na korytarzu podkrada się żandarm poci-chu, podnosi zasłonę „judasza“, patrzy, pilnuje, by ofiara nie wym-knęła się, zadając sobie śmierć własną ręką.

14-go maja wieczór. Dziś Hanka, sąsiadka moja, opowiedziała mi na-stępującą historję. „Posadzili mnie z niewiastą Owczarek, siedziałam z nią 2 tygodnie, opowiadała mi, że do niej na widzenie przychodzi adwo-kat P. Wtedy zwierzyłam się jej, gdzie mama moja mieszka i prosi-łam, by on przyszedł do nas i powiedział, by mama wyjechała. Ona przystała na to. Naraz wołają ją do kancelarji, przyjechał do niej z ochrony szpik i ona wyspała. Przychodzi z kancelarji, przynosi po-

danie, różne jedzenia, no i kawior dla mnie, co niby przysłała partja. Ja byłam chora wtenczas, strasznie pobita byłam. Wyobraźcie sobie, mama była w 3 tygodnie po operacji, leżała w łóżku, naraz przychodzi policja, która przyniosła moje zawiadomienie, by mama wyjechała. Wzięli ją prosto do ochrony, a stamtąd na Pawiak; i tak się strasznie strzęsła mama, że żyła tylko 3 tygodnie i na Pawiaku umarła. Ojciec mój też siedzi, 2 miesiące już po sprawie, dostał 20 lat katorgi, ja i brat siedzimy. Cała nasza rodzina siedzi. Teraz dali mi drugą, S.**, ją podłą do mnie sprowadzili, a ona przy naczelniku całuje mnie i mówi: jak to dobrze, panie naczelniku, że pan mnie do znajomej dał. A ja jej nie znam wcale, pierwszy raz ją widzę — wierzcie mi. Ja zaraz zrobiłam skandal i nie chciałam z nią siedzieć. Wczoraj był u mnie szpik z ochrony i mówił, że ta S. dała na mnie fakty, że niby jestem główną dostawczynią broni z zagranicy, że prowadzę bojówkę w Warszawie — oj, podłość — że mój brat jest szeregowiec pod pseudonimem Iskierka i inne kłamstwa. Naplotła rzeczy, co ja nawet nie mam pojęcia, jak coś podobnego zrobić można, oj, oj! Teraz boję się niewiast, jak djabeł archanioła i wywnioskowałam, że to są podłe istoty“.

Kobiet tu dość dużo. Widzę, jak spacerują i słyszę głosy ich; dolatują tu z innych korytarzy. Często sprzeczą się z żandarmami, śmieją się i głośno rozmawiają. Im tu gorzej, niż nam, choć żandarmi zdaje się są dość powściągliwi i nie zabraniają zasłaniać judaszy. Powściągliwość ta nie jest, ma się rozumieć, skutkiem ich ludzkości — lecz skandalów. Widocznie unikają drażnienia ich, by nie wywołać wdania się mężczyzn-więźniów, a nie zbierają kobiet na osobnym korytarzu, bo jedna kobieta więcej się awanturuje, niż wszyscy mężczyźni. Nie mogliby rady sobie dać z nimi. Z 9-ciu kobiet, które spacerują w tej części ogródka, dokąd wychodzi moje okno, 3 tylko spokojnie się zachowują, jak mężczyźni: dwie ciche, chodzą razem, zawsze za ręce się trzymając, młode chrześcijanki, i jedna też młoda, lecz poważna, zacięta, Żydówka. Inne wciąż chichoczą nienaturalnym śmiechem, hałasują, rozmawiają z Hanką, która w żaden sposób do rygoru nakłonić się nie daje. Dzisiaj też z tego powodu przykra scena się odbyła. Hanka stała na stole, rozmawiała, właściwie rzucała słowa i zdania dwom spacerującym niewiastom. Te odpowiadały i same coś mówiły. Żandarm uprzedził raz, drugi; nie zważały na niego. W największej pasji podbiegł do okna Hanki, wyjął szablę, jakby mógł z niej jakiś użytek zrobić (dwie ramy z szybami, kraty i wysoko) i zaczął kłać. To nie pomogło; nie zwracały uwagi. Po tej scenie pukałem do Hanki, że gniewam się na nią, iż naraża się dla głupstwa na wymyślania. Odpowiedziała mi, że nie będzie, lecz za godzinę zapomniała o obietnicy, bo nie może żyć tak w celi, bez żadnych wrażeń — dziecko jeszcze — w kazamatkach, gdzie nie mogą znaleźć równowagi dorośli już i doświadczeni samotnością więzienną mężczyźni. W ten sposób ona i inni ratują życie swoje od śmierci a dusze od obłąkania.

Dzisiaj zrana, czy wczoraj wieczór przywieziono ogromną partję więźniów. Widziałem ich, jak spacerowali wielu razem — 10-ciu, 10-ciu, 7-miu i 6-ciu. Widocznie na sprawę w sądzie wojennym. Wymizero-

wani, niektórzy okuci, wynędzniali i na ciele i na ubraniu, niektórzy w czapkach zimowych. Chodzili jedni grupami, prowadząc cichą rozmowę, inni zasępieni, samotni. Robotnicy, dróżnik kolejowy, żołnierz, kilku zdaje się chłopów, kilku o niewyraźnych twarzach robotnika-inteligenta. Zdaleka przez siatkę trudno rozpoznać. Hanka przypuszcza, że to bandyci, mnie się zaś zdaje, że nie, że to fracy i ludzie niewinni, a jeżeli bandyci — to z byłych partyjnych. Gdzie ich pomieszczono — tu tak dużych cel niema. Może to ich wsadzono do cel śmiertelnych, pakując 10-ciu tam, gdzie miejsce dla 2-ch. W kierunku tego korytarza ich prowadzono.

16-go maja. Wiosna w całej pełni. Wszystkie drzewa owocowe pokryte kwiatami białymi i bujnie już odziane zielonemi liśćmi. Dzień coraz dłuższy i w powietrzu już lato czuć, na słońcu w ogrodzie gorąco, a tu w celi coraz duszniej. Dziś Hanka cierpi strasznie, nie śpiewa i cicha jest. Dowiedziała się, że wczoraj skazano brata na śmierć. Wieczorem pukała mi: „dziś może go wieszac będą, czy pozwolą pożegnać się ze mną? już sama jedna zostanę jak kołek. Może i mnie, jak grożą, powieszają. A taki młody, 21 lat ma“. Cóż mogłem powiedzieć jej? że biedne dziecko jest, że żal mi jej, że my wszystko znieść musimy. A ona odpowiedziała mi, że nie wie, czy warto żyć jej teraz. Gdy tak ta śmierć okropna zabiera kogoś i gdy ten zabrany bliskim jest, niemożna odwrócić się od tej myśli, uciec, zapomnieć, wciąż wraca — i dusza staje wtedy wobec przepaści zgrozy, wstrętu i rozpacz — bezradna, bezsilna, obłąkana.

Od tygodnia, 10 dni nade mną siedzi ktoś inny. Nie wiem kto. Nie puka i nie odzywa się. Wkrótce po tym, gdy zamieszkał tam, wydało mi się, nie wiem dlaczego, że to W. i z każdym dniem coraz pewniejszy byłem, że to on. Wołałem go pukaniem imienia jego, lecz nie odzywał się wcale, nie słuchał, nie uważał, rzucałem butem w sufit, by zwrócić jego uwagę, nie odezwał się. Nie chodzi w celi prawie wcale, przesunie tylko krzesło, poruszy się... Przez kilka dni nie mogłem czytać — czytałem, gdy na spacer wyjdzie. Ale on nie chodzi wcale, nie mogłem zobaczyć, przekonać się, czy to on. Dziś coś tam zaszło — zapukał w drzwi — słyszałem, jak potem zamek, zasuwą i zawiasy zgrzytnęły przy otwieraniu — kilka chwil ciszy — potem znów zgrzytnięcie przy zamykaniu. Potym on zaczął równo, spokojnie, z krótkimi przerwami stukać — 2 razy drzwi się otwierały i zamykały — i znowu stukanie, z początku rękami, potym nogami, a potym kubkiem. Trwało to może godzinę całą, nie wiedziałem o co i nie wiem dotychczas. Potym przyszedł do niego ktoś raz i drugi i skończyło się. Znowu było nade mną zupełnie cicho, jakby tam nikogo nie było. Tak każda cela żyje, cierpi i milczy, jak zaklęta, czasami tylko odezwie się która i wtedy wszystkie duchy tych cel milczących zrywają się z miejsc i słuchają w cichości, nasłuchują, czy nie nastąpi szamotanie się, czy nie przyjdzie czas, by i oni ciszę zakłócili, czy nie pochwycą czegoś wyraźniejszego. Potym przez jakiś czas nie mogą uspokoić się, wrócić do książek, liter martwych — każdy wtedy czuje, gdzie jest i czym tu

jest. [Myśl, że tam nade mną siedzi W. prawdopodobnie urojeniem jest, lecz urojeniem, którego pozbyć się nie mogę. Urojenia wogóle to choroba takich więźni.]

21-go maja. Wieczorem, gdy przy lampie siedziałem nad książką, usłyszałem, jak żołnierz w ciężkich butach swoich do okna mego podszedł i ujrzałem, jak twarz jego przylgnęła do szyby. Nie bał się podejść, ciekawy był, może zainteresowany. „Nic, bracie, nie widać“, rzuciłem mu życzliwie. Nie odszedł — „tak“ odpowiedział, westchnął i po pauzie zapytał: „Nudno panu? Zamknęli... (tu rosyjskie wymyślanie) i trzymają“. Ktoś wszedł na podwórze — odszedł. Te kilka słów, szorstkich lecz współczujących, wywołało całą falę uczuć i myśli. W tym domu przekłętym od jednego z tych, których sam widok drażni, denerwuje, nienawisć budzi — usłyszeć słowa, które przypominają ideę wielką, żywotność jej i łączność naszą, więźniów, z temi, którzy dziś mordują nas. Jakaż kolosalną pracę wykonała już rewolucja: rozlała się wszędzie, obudziła umysły i dusze, tchnęła w nie nadzieję i tęsknotę i cel im pokazała. Tego żadna siła nie wyrwie. I jeżeli dziś my, widząc, jak zło okrutne się rozpanoszyło, z jakim cynizmem ludzie zabijają ludzi dla marnej zdobyczy, wpadamy w rozpacz nieraz — to popełniamy błąd straszny, nie widzimy dalej swego nosa, nie czujemy tego procesu zmartwychpowstania ludów. Wojna japońska wykazała całą groźbę dezorganizacji i destrukcji armji rosyjskiej — rewolucja uzewnętrzniła też tylko to zło, które zjadało społeczeństwo. I to zło, zanim zginie, właśnie po to, by zginąć, musiało się uzewnętrznić, musiało górę wziąć i doprowadzić siebie do bankructwa. To nastąpi. By tę chwilę przyspieszyć, trzeba naszą pewność tego bankructwa przelać w masy, — by nie zwątpiły, by przetrwały w gotowych zastępach. To zadanie „teoretyków“. A zadaniem innych — wykazać to zło, męczarnie mas i jednostek z niej wyrwanych i nadać im to znaczenie, które mają, a które siły daje znieść mężnie wszystko, nie zachwiać się — i w ten sposób natchnąć masy męstwem i moralnym przeświadczeniem o konieczności walki. Potrzebni są ci, co umysłowi pewność dadzą, i ci, co ją dadzą duszy, sercu; uczeni i poeci, nauczyciele i apostołowie. Przypominam sobie, jaki ogromny wpływ miała książka Proletariatu „Z pola walki“, która opisuje męki ludzi, ich wytrwałość i niezłomność i zarazem zawiera program. Chciałbym, by i teraz książka taka wyszła. Teraz trudniej zebrać i zestawić fakty, bo są tak olbrzymie i jest ich tak wiele, lecz i sił jest teraz więcej. Gdyby ktoś podjął się tej pracy, kierownictwa tylko, za rok, za dwa mogłaby się ukazać taka książka i mogłaby być ewangielją naszą. W niej byłyby nietylko cierpienia, nietylko nauka nasza, lecz ta żądza pełni życia, której kto zazna, nie przeknie żadnych cierpień, żadnych ofiar.

Tak kilka słów żołnierza rozpałiło mój mózg. Tu jest ich wielu — żołnierzy na swych placówkach i żandarmów-kluczników. Lecz dostępu do ich serc ani głów mieć nie możemy. Rozmowy wszelkie z nami są wzbronione i rygor tutejszy je uniemożliwia. Niema o co zacząć rozmowy. Stykamy się jako wrogowie z żandarmami, a żoł-

nierzy tylko widzimy. Na korytarzu trzech żandarmów codziennie zmienia się co 4 godziny, ten sam żandarm bywa raz na 10–15 dni, trudno więc poznać, który z nich dostępny, a który nie, prócz tego mają nieraz dużo roboty z wypuszczaniem nas po jednym do „ubornoj“, na spacer, na widzenie, otwieraniem drzwi na obiad, na zamiatanie, na herbatę, na zabieranie zrana lampy, na chleb, na kolację. Dalej żandarmi, którzy prowadzą na spacer, bez zmiany od rana od godziny 4–5-tej, są na służbie po spacerze, a potem używani są i do innych robót. Stąd bardzo często są opryskliwi, źli — widzą w nas wrogów, starają się skrócić spacer i nieraz usiłują nam dokuczyć, boją się tylko awantury. Takich zresztą, którzy dokuczają nam z własnej inicjatywy, jest mało. Ci często zagląдают przez judasz, każą długo czekać, zanim drzwi na pukanie otworzą. Ogół są to zmęczeni ludzie i czuć po nich, że boją się naczalstwa, że surowa dyscyplina im ciąży. Miałem przykłady współczucia z ich strony — widocznie wśród tych, którzy są tu niedawno i nie wciągnęli się jeszcze w tryb tutejszego porządku. Raz któremuś z nich powiedziałem, by mi książkę zmieniono — zaraz się zwrócił do drugiego wolnego żandarma, w tej chwili przechodzącego koło drzwi mojej celi, i rzekł: „skażi w kancelarji, kak że, dla nich i dla oficera“, (biedak zapomniał, że nie ma prawa mówić przy mnie o tym); to „kak że“ było tak serdeczne, że ucieszyłem się. Drugim razem, na spacerze, gdy zdawało mi się, że żandarm chce, bym już szedł do celi, zwróciłem mu uwagę, że jeszcze mi pozostała jedna minuta (zegar w szafce szklanej zamkniętej wisi na parkanie) — oburzył się na mnie o posądzenie, że on mi zabierze minutę. Ton był tak przyjazny, że zawstydziłem się i odpowiedziałem: różni wśród was bywają. Tak trudno w tym martwym domu wszcząć rozmowę z żandarmem. Charakterystyczny fakt, że gdy więzień z więźniem się spotka przypadkowo, nie mogą przemówić do siebie. Raz żandarm zapomniał, że w „ubornoj“ już jest jeden więzień i puścił drugiego; ten gdy tamtego zobaczył, od razu zwrócił do swej celi, i słyszałem (więzień z celi naprzeciwko) jak mówił żandarmowi: tam ktoś jest. Innym razem ja spotkałem oficera-więźnia i gdy, spostrzegszy go, przygotowałem się i rzuciłem mu: „witajcie, towarzyszu“, — patrzył tylko na mnie zdumiony. Tu się traci pewność siebie, umiejętność zawiązania i prowadzenia rozmowy. Tu prawdziwie czuć śmierć i umarłych. Żandarmi z sobą i żandarmi z posługaczami rozmawiają na korytarzu szeptem; gdy ktoś z naczalstwa przychodzi do celi, żandarm drzwi zamyka, by inni nie słyszeli rozmowy, głosu; z uwięzionym żandarm nie ma prawa rozmawiać i wejść do celi, posługacza-żołnierza pilnuje żandarm-klucznik, by słowa nie przemówił; jeżeli od posługacza czego żądam, muszę się zwracać do żandarma. Na korytarzu są chodniki, tak że kroków nie słyhać. Z korytarza dolatuje tylko szept czasami, zgrzyt zasuw i zawiasów i trzask zamka. Każdy dźwięk z zewnątrz, który wdziera się z fortecy przez okno, potęguje tylko tę grobową, tajemniczą ciszę wnętrza. Cisza ta jak grób narzuca się każdemu i opanowuje tak nas jak i żandarmów. Raz zwracałem uwagę żandarmowi, że nie powinien budzić mnie na spacer, jak to zrobili tego dnia rano,

że im urządzę kiedyś awanturę z tego powodu; byłem spokojny, lecz przy tym dłuższym przemówieniu czułem drganie jakies w sobie, zauważyłem, że i żandarm nie mógł swobodnie mi odpowiadać. A gdy który z nas zdobędzie się na swobodnie powiedziane słów kilka do żandarma, gdy Hanka czasami zaśpiewa lub zaśmieje się szczerze, naturalnie — wtedy jakby jasny promień nam błysnął. Czują to i żandarmi. Mówiąc o tej grobowej ciszy, muszę nadmienić, że na moim korytarzu zakutych już niema, a na spacerze w moim ogrodzie bywa tylko jeden zakuty (część rozkuto, tych, których przywieziono z prowincji na sąd zakutych, część wywieziono), tak że obecnie cisza ta nie wpija się już tak okropnie boleśnie w mózg i w świadomość brzękiem kajdan, lecz mimo to niemniej oddziałują na dusze nasze. Z za okna wdzierają się do nas odgłosy życia: w dzień szum ciągły, w którym trudno odróżnić poszczególne odgłosy — to oddech życia, ruchu, słońca, deszczu, dalekiego miasta, dorożek, przemarszu żołnierzy; w ten gwar życia ogólny wplata się czasami swobodny głos dzieci, grube głośnie śmiechy, żarty, wymyślania i głosy żandarmów i żołnierzy, czasami grzmiąca muzyka wojskowa, czasami śpiew żołnierzy, huczących na całe gardło, czasami harmonja, która bez końca ciągnie jedną i tę samą nutę. Czasami w święta słyhać jakiś ochrypły śpiew przy akompanjamencie harmonji. W nocy dolatuje gwizdanie i ruch pociągów, a gdy wiatr cichy porusza liśćmi, rzekłbyś, że to poszum lasu łagodny lub bieg rzeki. Lecz głosy te wszystkie potęgują ciszę wewnętrzną, wywołują nieraz rozdrażnienie i nawet wściekłość; przypominają wciąż, żeś nie umarł, że dźwięki te wdzierają się z za kraty, z za okna, dającego nam świat zewnętrzny tylko jako rozlaną plamę świetlną, która zaciera wszystko, wszelkie kształty. A jednak gdyby zupełnie zabrakło i tych wrażeń słuchowych, byłoby może dla duszy jeszcze bardziej zabójczo.

22-go maja. Dziś wieczorem znowu była jakaś awantura na górze, ale nie nademną, lecz gdzieś dalej zboku; tym razem już nie stukanie, lecz walenie taburetem w drzwi i głośny krzyk wzbudzony jakiegoś więźnia: „nie macie prawa“!.. Co to było, nie wiem. Trwało 10 minut, potem znowu wróciła martwa cisza.

23-go maja. Dziś miałem po raz pierwszy widzenie. Była bratowa z małą Wandzią; dziewczynka bawiła się siatką drucianą, pokazywała mi piłkę i wołała: stryjek, wychodź. Cieszę się bardzo, że widziałem ich; tak bardzo ich lubię. Kwiaty mi przyniosła, które teraz są na stole przede mną. I ona się cieszyła, że dobrze wyglądam, a ją zapewniałem ją, że mi tu dobrze zupełnie i wesoło; mówiłem, że mi zapewne dadzą katorgę. Dziś dwa razy byłem w kancelarji (advokat był i widzenie) i za każdym razem przechodziłem przez korytarz śmiertelny. Siedzą tam skazani — zdaje się było ich 2-ch, bo widziałem jak posługacz niósł dla dwóch obiad. Że to skazani, jestem pewny, bo prócz żandarma na korytarzu dyżuruje i żołnierz z karabinem. A tam z wolności przysyłają drogie mi pozdrowienia i dowody pamięci — i idą śmiało naprzód w jarzmie życia i swoje

robią. Widzę ich wielu, wielu: jedni jak ja, inni żywi jeszcze, inni daleko, lecz myślą, sercem i pracą tu. Widzę i tych drogich, którzy dają szczęście i urok życiu naszemu, dają energję i wytrwałość. — Hanka, sąsiadka moja — cicha dziś i smutna; udało mi się przesłać jej kwiat biały (narcyz), wypukała mi, że kocha mnie, żebym się nie gniewał za to słowo. Czuję, jak strasznie tęskni za ludźmi, za wolnością, za kwiatami, jak chciałaby przyłgnąć do kogo, usłyszeć choćby słowa pieszczoty, nie być tak samą, tak strasznie samą. „Teraz już sama jak kołek pozostałam“ — pukala mi kiedyś. A ja przywiązałem się też do tego dziecka i żal mi jej, jak dziecka własnego.

28 maja. Od tygodnia krew z gardła rzuca się Hance. Dziś doktor był, mówił, że źle, chciał wziąć do szpitala: nie poszła. A gdy mówiłem jej, żeby poszła, że tam jest dobrze — odpowiedziała, że tam sama jedna będzie, że potem, gdy wróci, miejsce jej będzie zajęte, że nie chce. I nie poszła. Cały dzień leżała osłabiona, pukając od czasu do czasu lekko w ścianę, by się przekonać, że jestem blisko, i gdy dawałem znać o sobie, wypukiwała mi: ja was bardzo kocham. Dziecinka droga — tu ścianą martwą przedzielony, czuję poruszenie każde, krok każdy, każde duszy drgnięcie. Czyżby miała umrzeć tu tak sama, zupełnie sama i żadna ręka nie da jej pieszczot, nikt nie prześle uśmiechu przyjaznego? I nie mam odwagi namawiać jej, by szła do szpitala, gdzie nawet za ścianą nie będzie miała nikogo. Może nie umrze, może krwotoki miną — taka młoda jeszcze i silna, życia pełna. Wszyscy na korytarzu polubili ją i dają jej znać o tym, mówiąc: „dzień dobry“ i „dobranoc“, gdy przechodzą koło jej celi. Żandarmi też nie krzyczą, niektórzy nawet wyświadczają ją drobne przysługi; jeden niedawno rozmawiał z nią długo i mówił, że żal mu, że ona tak sama jedna siedzi. Przed kilku dniami, gdy chciano ją przenieść do innej, większej celi i dać jej towarzyszkę, nie zgodziła się, nie chcąc z tej celi wyjść. Tu obok są tylko dwie nasze cele i dwie nad nami. Ktoś siedzi tam, lecz nie pukają. Nad Hanką we dwóch siedzą i dziś jakby naumyślnie cały dzień biegali w swoich ciężkich butach po celi nad jej głową. Wołała do nich przez okno, by tak nie biegali, każdy krok rozsadał jej czaszkę, — lecz oni nie słyszeli widocznie, biegali dalej. Żołnierz gniewał się na nią za ten krzyk i pytał żandarma: „czego ona tak krzyczy“? a ona bezsilna płakała. Dopiero wieczorem przestali biegać — dyżurny żandarm powiedział im widocznie. Teraz przed chwilą Hanka śpiewała jakąś pieśń rewolucyjną, słyszałem słowa, lecz śpiewała swoją własną melodję — tęskną i skargi pełną i cichą. Niedługo śpiewała; kaszel ją schwycił, widocznie krew znowu się jej rzuciła.

31 maja. Wczoraj i dziś widocznie była sprawa o pocztę pod Sokołowem. Wszyscy mężczyźni — piętnastu — i jedna kobieta — zostali na śmierć skazani, dwie kobiety dostały po 15 lat katorgi i dwie kobiety uniewinniono. Hanka dostała wczoraj akt oskarżenia; oskarżona o 8 zamachów, o kierownictwo bojówką, o Rogów, o zamach na Skałona i inne. Mówiono jej, że pójdzie na stryk, że Ska-

lon nie zmieni, że mówił podobno: „Ona już i tak za długo żyje“. Uczniak z Siedlec, który siedział obok mnie, też razem z niemi został skazany, zdrajca Michał Wolgemut też.

3 czerwca. Wczoraj znowu skazano podobno 8-miu na śmierć. Dziś Hanke wzywano do kancelarji, skąd wkrótce podniecona z wybuchami śmiechu wróciła. Był naczelnik ochrany ze szpiclami i proponował jej wybór: albo sypać i za to dostanie wieczną katorgę albo pójść na stryczek. Mówił jej, że jest jeszcze tak młoda i ładna. Parsknęła mu na to śmiechem w twarz, wybrała stryczek. Teraz li czy już dni swego życia, stara się jak najmniej spać, często nie może usnąć i chodzi całymi nocami. Nieraz wyrывa się słowo zmęczenia śmiertelnego i rozpaczy: „Dlaczego wciąż krew naszą piją bez końca! pocieszałam się, że runie wkrótce, a oni wciąż, wciąż mordują. I młodzież teraz już nie śpieszy do nas“. Lecz słowa te rzadko się wyrывają — teraz znowu dużo śpiewa, urządza kawały żandarmom, śmieje się. „Nawet wtedy, gdy się męczę okropnie, nie daję im poznać po sobie; poco oni cieszyć się mają“. Wyczuwam nieraz, jak, gdy szarpie się między żądzą życia a koniecznością śmierci z ich rąk, przychodzą jej myśli o samobójstwie i jak jednak bezwiednie tli w niej słaba nadzieja. A gdy puka mi, że nie ugnie karku i że nie drgnie, idąc na szafot pod stryczek, — czuję, że prawdę mówi, że jest taka. Czasami ogarnia ją płomieniem pragnienie, by mieć przy sobie blizkiego człowieka, widzieć go, dotknięcie czuć, mówić swobodnie, wtedy przeklina tę ścianę, dzielącą nas. Tak żyjemy tu obok, jakbyśmy byli w jakiejś strasznej, niezrozumiałej bajce rodzeństwem i przyjaciółmi. A ja przeklinam nieraz, że to nie ja idę na śmierć, a czuję z wewnątrz, gdzieś z daleka, głos lęku przed stryczkiem, i wtedy jak tehórz śmierci požądam; nieraz staję się jakąś martwą bryłą; nieraz myśl podła szuka furtki dla sumienia i ucieczki przed grozą. prawdy i nie wiem wreszcie, czym ja jestem i cały ten świat, który mnie otacza teraz, czym były wszystkie radości przeszłe uczuć moich. Czy żyją jeszcze te uczucia? Żyją, bo wspomnienia o drogich mi, — bardziej jeszcze o tych, którym ja jestem drogi, — trzymają mnie, nie pozwalają myślom stoczyć się w przepaść. A jednak wiem, że już ani ja im, ani oni mnie nie potrafią dać tych radości; bo kto wychodzi stąd, wychodzi z pogardą dla siebie — i jeżeli złamanym wyjdzie, będzie gdzieś samotny ciągnął swój, nędzny żywot lub jeżeli będzie miał siły jeszcze, będzie narzędziem idei czynu, będzie głosił miłość i harmonję, mając sam wystudzone już serce i poćwiartowaną, poszarpaną duszę. Wolę być tym ostatnim i wszystkich sił dokładam, by nie wyjść złamanym.

4 czerwca. Wczoraj powieszono skazanych za napad pod Sokołowem. Jeden z więźniów, który siedział z jednym ze skazanych, spacerując, dał Hance znać o tym, krzyknął jej, nie zważając na żandarmów: „już powieszony“. Widzieliśmy na spacerze dziś jednego tylko ze skazanych — ucznia z Siedlec, który obok mnie przedtym siedział; ten dał znać, że wrócono go wczoraj z miejsca stracenia.

Jutro będzie sąd nad 51 w sprawie zabicia rotmistrza w Radomiu. Hanka dziś nie śpiewa, wyrzuca sobie, że, gdy tamtych wieszano wczoraj — ona śpiewała. Pytała się mnie, gdzie jest korytarz śmiertelny: już prędzej chciałaby być tam. Idąc na stracenie, będzie śpiewała Czerwony Sztandar. A żandarmi w ogródku przed oknami naszymi urządzają wieczorem zabawy hałaśliwe, pełne nawoływań, okrzyków, śmiechów, oklasków. Dziś z oklaskami i wybuchem śmiechu wołali: „bis, bis“. Potym zaś idą na korytarze na zmianę i podglądają przez judasze, by więźniowie nie pukali do siebie i po każdej bytności więźnia w „ubornej“ szperają tam, szukając „grypsów“ (listów) więźniów, a w nocy jak zbóje prowadzą skazanych na stracenie. Nade mną siedzi jakaś niewiasta.

5 czerwca. Przed pół godziną (teraz już może 11-ta wieczór), przyprowadzono z sądu dwóch Radomiaków na nasz korytarz, obydwaj skazani. Gdy Hanka im krzyknęła z celi: „wkrótce zobaczymy się, do widzenia“, oni spokojnym głosem radośnie odpowiedzieli: „trzymamy się mocno“, a żandarm głosem przejętym szeptał: „dosyć, dosyć“. Przed godziną na górze w bocznym korytarzu jedna z uwięzionych, krzycząc okropnie na żandarma, waliła czymś twardym w drzwi ze straszną furją w przeciągu jakiejś pół godziny, ktoś drugi obok niej odzywał się słabiej, stukał pięścią. Potym uciszyło się. Nie wiemy, co to było. Dziś Hanka dziwnie się czuje, jest podniecona okropnie, chora jest, nie może czytać, czeka, by jak najprędzej już skończyło się; nie jest złamana jednak, przeciwnie, uparcie myśli o tym, jakby zachować się na sądzie, żeby w żadnym razie nie zmieniono wyroku. W zetknięciu z żandarmami jak zwykle jest swobodna i harda, nie zwraca najmniejszej uwagi na ich „niewolno mówić“, „zejdź z okna“. „Kto walczy, zginąć musi“, mówiła mi. I na mnie od niej spokój przyszedł. Kto żyje, ten umrzeć musi, a kto umiał tak kochać życie, umie umrzeć — i nie zatruciwać rozpaczą ostatnich chwil swoich. I gdyby znalazł się ktoś, kto by prawdziwie opisał całą groźbę życia tego martwego domu, walki, upadek i wzlot dusz, zamurowanych tu na rzeź, odtworzył, co się tu dzieje w duszach uwięzionych bohaterów i podłych i zwyczajnych ludzi, w duszach skazanych i prowadzonych i prowadzących na szubienicę — wtedyby życie tego domu i mieszkańców jego stało się największą bronią i najjaśniejszą pochodnią w dalszej walce. I dlatego niezbędnym jest zbierać i podawać ludziom — nie kronikę skazanych i ofiar, lecz życie, wszystkie drgnienia dusz ich, szlachetne i podłe ich upadki i zwycięstwa, ich cierpienia wielkie i radość w mękach — prawdę, całą prawdę — zaraźliwą tam, gdzie jest piękna i potężna, wzbudzającą litość dla ofiary, gdy jest złamana, upodlona. To zrobić może tylko ten, kto sam dużo cierpiał i dużo kochał, ten tylko potrafi odkryć i oddać te drgnienia i walki dusz — nie ci, którzy u nas nekrologi piszą. (*d. n.*)

Zjazd Partji Socjaldemokratycznej Niemiec.

Napisał J. Karski.

Zjazdy naszej bratniej partji w Niemczech zawsze wzbudzają żywe zainteresowanie w całym świecie robotniczym, po pierwsze dlatego, że, praktycznie biorąc, uchwały najlepiej zorganizowanej i skonsolidowanej partji mają znaczenie doniosłe, powtóre dlatego, że partja, rozporządzająca liczną prasą i zastępem teoretycznie wykształconych ludzi, ma możność wyświełać wiele spraw ogólniejszego znaczenia, opracowując te sprawy głębiej i wszechstronniej, aniżeli to uczynić mogą partje, w których walka codzienna pochłania wszystkie siły i środki. Nadto od lat wielu zmaganie się kierunku oportunistycznego i t. z. „radykalnego“ nadawało zjazdom towarzyszy w Niemczech charakter walnych rozpraw pomiędzy temi kierunkami. Tegoroczny zjazd, odbyty w Lipsku, mieście, będącym poniekąd kolebką ruchu socjaldemokratycznego Niemiec, odznacza się tym, że brakło tej ostatniej cechy: rozprawy pomiędzy wymienionemi kierunkami tym razem odgrywały rolę zgoła podrzędną. Zjazd był co się zowie „rzeczowy“, zajmował się przeważnie sprawami, przy których nie było powodu do zasadniczych starć teoretycznych. Lecz nie znaczy to bynajmniej, że obrady jego przez to stają się mniej ciekawemi dla świata robotniczego.

Rzućmy najpierw okiem na stan partji, jak go odzwierciedla sprawozdanie Zarządu partyjnego.

Dla proletariatu całej Europy Zachodniej lata 1908 i 1909 były latami klęski, latami zastoju ekonomicznego. W jesieni 1907 wybuchł ostry kryzys ekonomiczny, a w następstwie tętno produkcji i handlu osłabło i zastój trwa dotąd. W Niemczech brak pracy wzrósł do rozmiarów niebywałych, zarobki obniżyły się znacznie. Położenie mas robotniczych było tym gorsze, że w tym okresie ceny produktów spożywczych wzrastają z jednej strony wskutek słabych urodzajów w krajach, zaopatrujących rynek wszechświatowy w zboże, z drugiej strony wskutek polityki handlowej Niemiec, która jest w zupełności na usługach junkrów-obszarników. Pod względem politycznym rok sprawozdawczy był okresem wzmagającej się reakcji. Zwycięstwo kontrrewolucji w Rosji odbiło się na całej Europie. Dla Niemiec niewątpliwie skonstatować można pewne obniżenie nastroju w szeregach robotniczych. W okresie rewolucji w Rosji robotnicy Niemiec występowali demonstracyjnie, rwali się do czynu, w okresie kontrrewolucji zapanowała pewna apatia. W dodatku w Niemczech, tym państwie na poły tylko konstytucyjnym, rzeczy ułożyły się od dawna tak, że tylko wybory do parlamentu wywołują pewien rozmach akcji politycznej i czynne wystąpienie mas robotniczych. W roku sprawozdawczym żadnej kampanji wyborczej nie było, więc i nie było wystąpień masowych. Nie znaczy to, że brakło powodów do nich. Te były niewątpliwie. Już sama klęska przymusowego bezrobocia mogła stać się przyczyną szerokiej akcji, lecz poza jednym

wypadkiem w Berlinie, gdzie pozbawieni pracy robotnicy demonstrowali na ulicy wskutek tego, że magistrat wydatkował krocie na przyjęcie króla angielskiego, a odmówił środków na złagodzenie nędzy, nie było żadnych czynnych wystąpień. Poza tym nad życiem politycznym Niemiec górowała sprawa podwyższenia podatków, lecz i tu masy były pozostawione same sobie, — zjawisko, o którym będzie mowa jeszcze później.

Sprawozdanie Zarządu partyjnego świadczy, że pomimo tego ogólnego zastoju wzrost liczebny partji nie został wstrzymany, a materialnie partja również nie poniosła szkody. Partja liczy obecnie 633 300 członków, w roku ubiegłym 587 300, a więc przybyło 46 000, t. j. około 7%. Zwłaszcza poczyniła postępy propaganda wśród kobiet, gdyż tu liczba zorganizowanych wzrosła z 29 458 do 62 259. Wzrosła też liczba organizacji. Terytorjalnie organizacje są zastosowane do okręgów wyborczych. W roku 1908 partja nie posiadała jeszcze organizacji w 31 okręgach wyborczych (z 397), obecnie już tylko w 20. Że pomimo tych postępów na polu organizacji pozostaje bardzo wiele do zrobienia, świadczy zestawienie liczby zorganizowanych partyjnie z liczbą wyborców: przy ostatnich wyborach wszak głosowało na kandydatów socjaldemokratycznych $3\frac{1}{3}$ milionów wyborców, więc liczba zorganizowanych wynosi zaledwie $19,1\%$ liczby wyborców. W niektórych dzielnicach liczba procentowa zorganizowanych przedstawia się o wiele lepiej, np. okręg Lipski $32,8\%$, okręg Hamburgski $35,4\%$, lecz za to w innych okręgach znów odsetek spada bardzo nisko: w okręgu przemysłowym Saary do $9,5\%$, w Alzacji i Lotaryngji do 4% , na górnym Ślązku do $6,1\%$. Również niezadawalający jest stosunek pomiędzy liczbą zorganizowanych w związkach zawodowych a w partji. Tak zwane „wolne“, to jest w gruncie rzeczy socjaldemokratyczne związki zawodowe liczą bowiem około 2 milionów członków, a zatem trzy razy więcej niż partja. — Zapewne, przy wyborach głosuje na kandydatów socjaldemokratycznych sporo ludzi, którzy nie są rzeczywistymi socjaldemokratami, a w związkach zawodowych również jest spory zastęp takich robotników, których pociąga do związku tylko strona materialna — wsparcie na wypadek strejku lub bezrobocia przemysłowego i t. p. Jednakże nie ulega kwestji, że mnóstwo robotników, którzy są rzeczywście socjaldemokratami, przez opieszałość lub niezrozumienie wagi tej sprawy nie przystępuje do partji, a praca dla przewyciężenia gnuśności politycznej wymaga wciąż jeszcze wielkiego wysiłku.

Dalej co do spraw organizacyjnych zaznacza sprawozdanie kilka faktów ciekawych. Tak np. dopiero teraz udało się stworzyć organizację robotników rolnych. Sprawa idzie bardzo opornie, głównie z tego powodu, że robotnicy rolni w Niemczech są wykluczeni z prawa o związkach, związki zawodowe, a tym bardziej strejki rolne są wzbronione. Lecz te przeszkody prawne zapewne zostałyby pokonane, gdyby inne warunki były bardziej pomyślne. Tymczasem w Niemczech związek pomiędzy proletarjatem miejskim a wiejskim jest bardzo luźny. Zazwyczaj wieśniak, przybywający do miasta, za-

traca szybko wszelką łączność z wsią, oddziaływanie miasta na wieś jest słabe, brak ludzi, którzyby się nadawali do agitacji i propagandy na wsi. Skoro obecnie lody zostały przełamane i zdołano utworzyć związek robotników rolnych oraz powołać do życia pismo dla agitacji na wsi, zasługuje to na uwagę i ciekawy będzie dalszy rozwój tej sprawy.

Dobrze rozwija się organizacja młodzieży. Z początku w kołach kierowniczych partji i związków zawodowych istniały różne wątpliwości i ujawniała się pewna niechęć ku tym organizacjom, które powstały samorzutnie pod nazwą „młodej gwardji“; ślady tej niechęci uwydatniają się jeszcze w rozprawach zeszłorocznego zjazdu. Chodziło mianowicie o to, że obiecywano wprawdzie poparcie „ruchowi młodzieży“, o ile jest skierowany ku celom oświatowym, natomiast nieprzychylnie patrzano na powstawanie samodzielnych „organizacji młodzieży“. Tymczasem nowe prawo Rzeszy o stowarzyszeniach wręcz zabrania niepełnoletnim należenia do stowarzyszeń politycznych, wskutek czego stowarzyszenie młodzieży „Młoda Gwardja“, które dotąd w południowych Niemczech miało prawo bytu, musiało się rozwiązać. Jednakże młodzież robotnicza nie myśli kapitulować. Utworzono stowarzyszenia, które stosują się do wymagań prawa, według statutu są „niepolityczne“, lecz oczywiście uważają za główny swój cel przygotowanie młodzieży do przyszłych walk. Te stowarzyszenia formalnie muszą pozostawać poza partją, lecz są pod kierownictwem ludzi partyjnych. Partja zaś poczęła wydawać pismo dla młodzieży, które zaraz po założeniu zyskało 28 000 prenumeratów.

Doskonale też czyni postępy działalność „oświatowa“. Od trzech lat bowiem utworzono t. z. „Komisję Oświatową“, której zadaniem jest organizowanie systematycznych wykładów z różnych dziedzin wiedzy, urządzenie bibliotek i t. p. Ta komisja centralna niesie pomoc lokalnym komisjom, które powstają coraz liczniej. Obecnie istnieje już 124 takich komisji lokalnych.

Znakomite usługi oddaje również istniejąca od trzech lat „szkoła partyjna“, której zadaniem jest dawać systematyczne wykształcenie agitatorom, redaktorom i funkcjonariuszom partyjnym, pochodzącym z szeregów robotniczych. Są to więc samoucy, którzy dotąd z ogromną trudnością musieli zdobywać wiedzę. Obecnie mają oni możliwość przebywać pół roku w Berlinie na utrzymaniu partji, poświęcając czas wyłącznie kształceniu. W szkole wykładane są następujące przedmioty: ekonomja polityczna, socjologja, historia, prawodawstwo robotnicze, prawo karne i cywilne, nauki przyrodnicze, język niemiecki, technika prasy i krasomówstwo, polityka komunalna. Z wykładów korzystało 26 uczniów.

Prasa czyni postępy ciągłe. Partja rozporządza obecnie 74 pismami, przeważnie codziennymi. Zmieniło się tu wiele na lepsze w porównaniu z czasami dawniejszemi, gdyż pisma te przeważnie są bite w drukarniach, będących własnością partji, wobec czego istnieje możliwość uposażenia pism tak, aby mogły coraz lepiej spełniać swoje zadanie, podczas gdy dawniej korzyści materialne osią-

gali prywatni właściciele drukarni, a pisma chromały. Zapomogi z kasy centralnej potrzebowało tylko 14 pism niemieckich, a prócz tego zapomogę otrzymuje polska „Gazeta Robotnicza”. Z pism zagranicznych otrzymał pomoc pieniężną organ partji francuskiej „Le Socialiste”.

Sprawozdanie kasowe przedstawia się jak zwykle imponująco. Obroty roczne bilansują się pokazną sumą 1 123 600 marek; dochody wyniosły 1 105 200, wydatki 621 202 marek. Stosuje się to oczywiście tylko do kasy centralnej; obroty kas miejscowych razem wzięte są naturalnie daleko większe.

Jak zaznaczyliśmy, zjazd tegoroczny odznaczał się brakiem rozpraw zasadniczych, przy których jaskrawie zaznaczyłyby się różnice pomiędzy dwoma istniejącymi w partji kierunkami. A przecież zdawało się na chwilę, że powstanie kwestja, która do żywego wzburzy umysły i wywołać może starcie jak najostrzejsze. Mówimy o ostentacyjnym kroku siedmiu posłów socjaldemokratycznych do sejmu wirtemburskiego, którzy z okazji zwiedzania statku powietrznego Zeppelina wzięli udział w przyjęciu, urządzonym dla posłów w pałacu króla. Oczywiście krok ten wywołał oburzenie w najszerszych kołach partyjnych i zarówno organ centralny partji, jak część „radikalna” prasy potępiły jak najsurowiej ten wybryk, podczas gdy po stronie oportunistów znać było narazie chęć wszczęcia wielkiej akcji z tego powodu. Śpiewka była zwykła: chcemy „pozytywnej polityki”, więc nie mamy powodu usuwać się od udziału w wystąpieniach, które są związane z czynnością parlamentarną, a więc biesiada „siedmiu Szwabów” z ministrami w pałacu królewskim była w porządku. Więcej nawet: w jednym z pism oportunistycznych powiedziano wręcz: posłowie wiedzieli doskonale, że ich krok wywoła skandal w partji, lecz pomimo to wzięli udział w owej biesiadzie, gdyż czas skończyć z teroryzowaniem partji przez radykałów. Jednakże i tym razem przeliczyli się oportuniści: dla nich poklask sze-rokich kół, popularność jest bodaj jedynym wskaźnikiem postępowania, a tymczasem ogół robotniczy potępił bezwzględnie ten skandal, nawet tam, gdzie oportuniści rej wodzą. Więc, jak zwykle, oportuniści zwinęli chorągiewkę i czymprędzej sprawę zbagatelizowali. Na zjazd wniesiono aż siedem rezolucji, potępiających surowo ów wybryk, lecz oportuniści nie podnieśli rzuconej rękawicy. Posłowie, o których chodziło, złożyli deklarację, w której oświadczają, że „nie mieli zamiaru brać udziału w demonstracji monarchicznej”, a gdyby przewidzieli, że owa biesiada do takiej demonstracji (t. j. do wznoszenia toastów na cześć króla) zostanie użytą, to, powiadają, „zgodnie z tradycją partji, która i nas obowiązuje, nie wzięlibyśmy w biesiadzie udziału”. Oczywiście nikt nie miał zamiaru rozmazywać sprawy. Przewodniczący, tow. Singer, stwierdził w krótkim przemówieniu, że ten wypadek powinien posłużyć ku temu, aby wszelkie korporacje partyjne pamiętały o obowiązku „dawania wyrazu naszym poglądom republikańskim”. Cofnięto wobec tego wszystkie rezolucje, zjazd jednogłośnie przeszedł nad sprawą do porządku dziennego. I możnaby rzeczywiście uważać wszystko za nie-byłe: paru ludzi uczyniło głupstwo, przyznali się do tego i rzecz

załatwiona. Lecz oportuniści mają zwyczaj niedopuszczania do kategorycznego rozwiązania. Okazało się, że jeden z owych posłów, Lindemann, nie był obecny na zjeździe i nadesłał piśmienne oświadczenie, że nie solidaryzuje się z deklaracją, a organ „teoretyczny” oportunistów umieścił artykuł niejakiego tow. Quessela, który wypowiada wątpliwości, czy rzeczywiście socjaldemokrata musi być republikaninem! Są to pozornie rzeczy małoważne, bo w gruncie rzeczy osobiste zdanie posła Lindemanna, a tymbardziej brednie, wygłaszane w niepartyjnym monitorze rewizjonistów, mogą być mocno obojętne. Jednakże jest to symptomatyczne. Rewizjoniści bowiem wyrobili sobie taktykę mocno podejrzaną: unikają systematycznie walki decydującej, cofają się zawsze, gdy przewidują, że zapadnie przeciw nim uchwała formalna najwyższej instancji partyjnej, a przy pierwszej sposobności brózdzą jednakże po staremu. I to właśnie wytwarza coraz bardziej nieznośny dla całej partii stan. Oportuniści posiadają niewątpliwie zastęp zdolnych bardzo ludzi, opanowali znaczną część prasy partyjnej, są licznie reprezentowani w frakcjach parlamentu i niektórych sejmów, obsadzili liczne posterunki funkcyjnarjuszy partyjnych i tym są silni. Unikając starć decydujących, poddając się formalnie uchwałam partyjnym, starają się wzbudzić u ogółu towarzyszy partyjnych przeświadczenie, że „wszystko właściwie w porządku, a prowodyrzy radykałów niepotrzebnie doszukują się różnic zasadniczych”. Taktyka jest skuteczna, gdyż ogół towarzyszy partyjnych „dla świętego spokoju” zadawała się formalnym załatwieniem sprawy, nie bacząc na to, że właśnie ta niejasność stosunków zatruwa życie partyjne.

Nadzwyczajnie ciekawy obrót przybrała inna sprawa o wiele donioślejsza pod względem politycznym, mianowicie sprawa głosowania nad projektem podatku od spadków. Tu bowiem powstała różnica poglądów, przy której nie stanęły przeciw sobie obozy rewizjonistów i „radykałów”, lecz znaleźli się rzecznicy za i przeciw w obu obozach. — Rzeczą ma się tak: rząd niemiecki domagał się „reformy finansowej”, która polegać miała poprostu na powiększeniu dochodów Rzeszy o 500 milionów marek rocznie; według projektu rządu podwyższenie istniejących podatków pośrednich i zaprowadzenie paru nowych miało dać 400 milionów, a rozszerzenie podatku od spadków (dotąd nie opłacają podatku dzieci, pobierające spadek po rodzicach; rząd proponował opodatkować wszelkie spadki) miało dać 100 milionów. Powstała więc kwestja, czy frakcja socjaldemokratyczna ma głosować za takim podatkiem. Z jednej strony powołano się na to, że owe 500 milionów są konsekwencją militarystyki i imperjalizmu: wydatki państwa na armję i marynarkę pochłaniają sumy kolosalne; stąd deficyty w budżecie, których rząd pragnie uniknąć, podwyższając podatki. Wobec tego partja proletariatu musi odmówić wszelkich podatków, chociażby one były jak najbardziej racjonalne; a ponieważ podatek, proponowany przez rząd, jest nadto bardzo nieracjonalny, gdyż nie obciąża dostatecznie wielkich spadków, należy go odrzucić. Takie stanowisko zajął np. tow. K. Kautsky. Z drugiej znowu strony argumentowano: wydatki na armję i marynarkę zostały uchwa-

lone dawno, obecnie chodzi o pokrycie tych wydatków. Otóż frakcja socjaldemokratyczna dążyć winna do tego, aby jak największą część ciężarów poniosły klasy posiadające, a one właśnie zostaną obciążone podatkiem od spadków; dlatego należy głosować — za. Taki pogląd, jak się okazuje, podziela wielu z tak zwanych radykałów, podczas gdy wśród rewizjonistów znaleźli się tacy, co podzieliali pogląd tow. Kautskyego. Zdania w obu obozach były tedy podzielone.

Lecz sprawa komplikowała się jeszcze przez to, że ów podatek od spadków wywołał przewrót w układzie partji burżuazyjnych. Dotąd rząd opierał się na tak zwanym „bloku“, na sojuszu liberałów z konserwatywnymi junkrami, a najlichnniejsza partja parlamentarna, partja katolickiego „Centrum“, była w opozycji. Po wniesieniu projektów rządowych liberałowie oświadczyli się za podatkiem od spadków, gdyż tym chcieli salwować się wobec wyborców, którym mieli wpakować 400 milionów podatków pośrednich. Natomiast konserwatyści wręcz odrzucili ten podatek bezpośredni. Do konserwatystów tedy przyłączyły się: partja Centrum i frakcja polska, wobec czego powstała nowa większość, która ofiarowała rządowi 500 milionów podatków bezpośrednich. Jak wiadomo, rezultatem ostatecznym było zupełne zwycięstwo tej nowej większości i dymisja kanclerza Bülowa. Jednakże zanim doszło do takiego rezultatu, ważyły się losy i łatwo stać się mogło, że socjaldemokrati, głosując za podatkiem od spadków, wytworzyłiby wraz z liberałami i częścią konserwatystów większość, która uratowałaby sytuację rządu. Mogło bowiem stać się tak, że socjaldemokrati swojemi głosami przeparliby podatek bezpośredni, a następnie już większość innego składu przeparłaby 400 milionów marek podatków pośrednich. Wypadek chciał, że frakcja socjaldemokratyczna została zwolniona od decyzji ostatecznej, gdyż do głosowania ostatecznego nie doszło zgoła. Regulamin parlamentu przewiduje trzykrotne rozprawy nad każdym projektem prawa. Przy rozprawach pierwszych głosuje się jedynie nad oddaniem lub nieoddaniem sprawy do komisji. W danym wypadku frakcja socjaldemokratyczna, potępiwszy ostro całokształt reformy, głosowała za oddaniem wniosku do komisji. Przy drugich rozprawach niema głosowania nad całym projektem, a tylko nad oddzielnymi paragrafami. Frakcja s.-d. głosowała tedy za ogólną zasadą opodatkowania spadków i stawiała swoje wnioski, dążące do tego, aby podatek od spadków uczynić jak najwyższym dla wielkich, krociowych spadków. Ostateczne głosowanie nad całością prawa odbywa się przy trzecich rozprawach. Lecz w danym wypadku do trzecich rozpraw nie doszło zupełnie, gdyż zwarta większość konserwatystów, centrowców i Polaków odrzuciła była już przy drugich rozprawach wszystkie paragrafy, a w takich razach trzecie rozprawy nie odbywają się.

Na zjeździe tedy debatowano nad tym, czy należałoby głosować za lub przeciw, gdyby do trzecich rozpraw doszło. Nazwano to dowcipnie „dyskusją nad żeby i gdyby“. Lecz bliższe wniknięcie w sprawę wykazuje, że dyskusja taka była konieczna, ponieważ niechybnie

partja znaleźć się musi w podobnej sytuacji: uchwalonych podatków nie starczy na długo, rząd będzie się domagał nowych dochodów i frakcja będzie musiała odpowiedzieć jasnym „tak“ lub „nie“, gdy będzie chodziło o podatki pośrednie. — Niestety, należy zaznaczyć, że te rozprawy zawiodły. Są powody, dla których tak się stać musiało. Okazało się mianowicie, że we frakcji głosy były rozstrzelone, frakcja do żadnych jasnych i pozytywnych wniosków nie doszła. Wobec tego prasa partyjna była w trudnym położeniu, gdyż istnieje zwyczaj — jak okazuje się bardzo niefortunny — zachowywania w ścisłej tajemnicy wszelkich rozpraw wewnątrz frakcji; dziennikarze więc i publicyści partyjni nie zdecydowali się wypowiadać się w danej kwestji, by nie pokrzyżować planów frakcji. Kiedy zaś zapadła decyzja, kiedy rząd otrzymał z rąk junkiersko-katolicko-polskiego bloku 500 milionów marek podatków pośrednich, pierwszym zadaniem prasy było wyzyskać nastrój, jaki zapanował wśród najszerszych mas, nastrój oburzenia przeciw tym, co nałożyli nowe olbrzymie podatki pośrednie, obciążające masy; nie było czasu na rozstrzygnięcie zasadniczych i taktycznych spraw. W ten sposób dyskusja nie została przygotowana w prasie i w literaturze partyjnej, a doświadczenie uczy, że dyskutować na zjeździe, który liczy przeszło 300 uczestników, niemożna, gdy ta dyskusja nie została przygotowana należycie. To też, gdy zwykle rozprawy o zasadach i taktyce na zjazdach towarzyszy niemieckich są w najwyższym stopniu pouczające dla całego świata robotniczego, w danym wypadku były one dziwnie jałowe. To też zaznaczono w przemówieniach konieczność postanowienia kwestji stosunku Socjaldemokracji do podatków bezpośrednich na jednym z następnych zjazdów. Lecz inna jeszcze rzecz uderza w rozprawach. Zarówno w prasie, jak w kilku przemówieniach na zjeździe zaznaczono, że partja nie wyzyskała w zupełności sytuacji politycznej, nie rozwinęła tej szerokiej agitacji, do której nadawała się sprawa obciążenia mas szalonymi podatkami pośrednimi. Były wprawdzie zebrania, lecz, jak słusznie zaznaczyło kilku mówców, można było i należało chwycić się demonstracyjnych wystąpień, należało czynić obstrukcję w parlamencie, należało wystąpić z głośnym protestem frakcji, z manifestem niejako do ludu. Tymczasem na zjeździe rewizjoniści występowali tak, jak gdyby każda krytyka, wystosowana pod adresem frakcji, była niemal zbrodnią przeciw partji i — rzecz dziwna — te uroszczenia nie spotkały się z należytą odprawą. Wypadek chciał, że w tydzień później odbył się zjazd niemieckiej części Socjaldemokracji w Austrii, gdzie z całą otwartością i stanowczością poddano krytyce działalność frakcji i właśnie dzięki temu osiągnięto w końcu zupełne porozumienie. Chcemy wierzyć, że tylko dzięki zbiegowi wypadków tegoroczny zjazd Socjaldemokracji Niemiec mógł wzbudzić wrażenie, że rzeczowa krytyka frakcji i Zarządu partyjnego jest uważana za nieodpowiednią¹⁾.

1) W tym miejscu pozwolę sobie słów kilka we własnej sprawie. Organ centralny partji Vorwärts na parę dni przed Zjazdem umieścić

Niebardzo też budujące były rozprawy o świętowaniu 1-go maja. Śród kierowników związków zawodowych są niewątpliwie tacy, co radzi zupełnie zaniechać świętowania w dniu 1-go maja. Są to ci, którzy przejęli się taktyką angielskich związków i dbają tylko o bezpośrednie, namacalne rezultaty działalności związkowej, a szczytem ich ideału, poza którym nic już nie widzą, jest pełna groszy kasa związkowa. Ponieważ zaś przedsiębiorcy niemieccy za świętowanie majowe karzą robotników tym, że lokautują świętujących na cały tydzień, związki muszą płacić swoim członkom w takich wypadkach wsparcia, a tych paru tysięcy marek wydatku nie mogą przeboleć owi wielbicieli pełnych kas. Zapominają oni przytym, że, nawet biorąc rzecz czysto materialnie, te straty pokrywają się hojnie. Święto majowe bowiem jest skutecznym środkiem wzbudzania zapału dla sprawy robotniczej i dzięki niemu idea walki robotniczej szerzy się w masach, do których

szereg artykułów pióra tow. K. Kautsky'ego, Róży Luxemburg, F. Mehringa i in., zawierających taką krytykę zarówno co do akcji w sprawie „reformy“ podatkowej, jak w sprawie układów pomiędzy Zarządem partji a Komisją Jeneralną związków zawodowych co do 1 maja, oraz w kilku jeszcze sprawach. Artykuły te były przeważnie odpowiedzią na artykuły, umieszczone w monitorze rewizjonistów, Sozialistische Monatshefte. Artykuł o reformie podatkowej został napisany z polecenia redakcji przezemnie. Na zjeździe tow. Ryszard Fischer pozwolił sobie z tej racji na gwałtowne, a co do formy wprost karczemne wycięcie przeciw mnie. Przytym zyskał entuzjastyczny poklask rewizjonistów, karcąc mnie za to, że jako cudzoziemiec pozwałam sobie na takie wystąpienie. Redakcja Vorwärtsu pospieszyła z oświadczeniem, że artykuł został napisany na jej żądanie i ona się z nim solidaryzuje. Zarzut więc, że wtrąciłem się w rzeczy nieswoje, upada. Pozostaje sprawa o „cudzoziemca“. Tu roszczę sobie, jako socjaldemokrata, prawo zabierania głosu w sprawach, dotyczących proletariatu każdego kraju, o ile znajomość ścisła warunków politycznych, ekonomicznych i społecznych tego właśnie kraju upoważnia mnie do tego. Roszczę sobie to prawo poprosu dlatego, że sprawa proletariatu całego świata jest jedną i to, co się dzieje w jednym kraju, odbija się na walkach w innych krajach. Wystosowałem tedy oświadczenie do prezydium, skierowane przeciw tow. Fischerowi. Oświadczenie nie zostało odczytane w całości na tej zasadzie, że przewodniczący tym razem nie uznał za możliwe odczytywać oświadczeń, pochodzących nie od członka zjazdu, lecz podał je do wiadomości towarzyszy organ centralny. Z prawdziwą satysfakcją zaznaczam, że ogół towarzyszy niemieckich potępił bezwzględnie wybryk tow. Fischera. Zachodziło to na zebraniach pozjazdowych w Berlinie i innych miastach, jak również w prasie. Z głosem prasy pozwolę sobie przytoczyć jeden, gdyż trafia w samo sedno. Gleichheit, organ robotniczy, pisze: „Napaści tow. R. Fischera na „cudzoziemca“ Karskiego – który zresztą od lat 15-tu jest czynnym dla partji niemieckiej – nie zaliczamy do pustej sprawy „dobrego tonu“. Te napaści bowiem świadczą o pojęciu i poczuciu, które dotąd nieznanne było w szeregach niemieckiej Socjaldemokracji i obniża najlepsze jej tradycje. Partja nasza dotąd uważała, że tylko policja z urzędu troszczy się o cudzoziemskość socjaldemokratycznych szermierzy. Partja nie pyta w szeregach swoich ani o miejsce urodzenia, ani o rasę, ani o płeć, a zna tylko jeden związek, łączący na zasadzie wspólnego działania, które, polegając na jedności przekonań, prowadzi do wspólnego celu“. – Właściwie więc winien jestem tow. Fischerowi wdzięczność, że dał towarzyszom niemieckim sposobność do takich wyrazów międzynarodowej solidarności pod moim skromnym adresem.

trudno trafić zwykłą propagandą. Faktem więc jest, że od lat kilku toczą się wielce niesmaczne spory pomiędzy partją a związkami: kto ma płacić owe wsparcia, konieczne wskutek świętowania, kasy miejscowe czy kasy centralne? Zeszłoroczny zjazd odrzucił propozycję Zarządu w tej sprawie i polecił opracowanie nowych norm. Obecnie stanęło na tym, że ma być w „okręgach“ utworzony specjalny fundusz, na który będą łożyć członkowie partji i członkowie związków, a wydatkować się będzie z tego funduszu na wsparcia dla zlokautowanych wskutek święta majowego. Pocięszające jest jedynie to, że ogromna większość towarzyszy niemieckich słyszeć nie chce o zaniechaniu święta majowego i nie liczni rewizjoniści, który radzi je pogrzebać, nie znajdują poparcia.

Prasa liberalna niemiecka pospieszyła otrąbić „zwycięstwo rewizjonizmu na zjeździe lipskim“, a z zabawnym zapałem dęła w tę dudkę u nas kempnerowska Nowa Gazeta. Była to komedia pomyłek, której powód jest taki: towarzysze z jednej z dzielnic berlińskich wnieśli rezolucję, piętnującą liberalną politykę. Rezolucja była sformułowana niezręcznie o tyle, że krępowała partję. Wobec istniejącego prawa wyborczego zdarzają się bowiem sytuacje takie, że przy wyborach ściślejszych socjaldemokraci muszą głosować niekiedy za kandydatem liberalnym przeciw kandydatowi otwartej reakcji, rezolucja zaś mogła być zrozumianą tak, że na przyszłość podobne stanowisko jest wykluczone. To też tow. Mehring np., który jest najbardziej nieprzejednanym wrogiem liberałów niemieckich, gdyż zna ich doskonale, zwrócił się w Neue Zeit przeciw owej rezolucji. — Na zjeździe nad tą rezolucją nie rozprawiano zupełnie, a przewodniczący oddał ją pod głosowanie w całym szeregu innych i w ten sposób została przyjęta. Nazajutrz kilkunastu członków zjazdu oświadczyło, że nie zorientowali się przy głosowaniu i głosowali mylnie za ową niefortunną rezolucją; zarządzono powtórne głosowanie i znów bez rozpraw rezolucję odrzucono, przyczym przeciw niej głosowali razem z oportunistami liczni radykali. W to graj gazetiarzom liberalnym! Ukazały się w te pędy szumne artykuły wstępne, dowodzące, że nareszcie Socjaldemokracja zmądrzała, nie wyrzeka się sojuszków z liberałami, potępia radykałów, zajmujących nieprzejednane stanowisko; a wszystko dzięki wielkiej mądrości rewizjonistów. Radość trwała krótko. Zjazd postanowił dać wyjaśnienie i uczynił to w formie bardzo dobitnej. Mianowicie: na wniosek jednego z towarzyszy przyjęto rezolucję, która brzmi: „Zjazd oświadcza, że przez uchylene wniosku 41 (t.j. owej rezolucji berlińskiej) przy powtórnyim głosowaniu nie nastąpiło bynajmniej osłabienie uchwały zjazdu drezdeńskiego, dotyczącej taktyki“. Owa zaś uchwała drezdeńska opiewa: „Zjazd potępia bezwzględnie rewizjonistyczne usiłowania, dążące do zamienienia naszej dotychczasowej wypróbowanej i zwycięskiej taktyki, opartej na świadomości walki klasowej, na taktykę, polegającą na tym, by zamiast do zdobycia władzy politycznej przez zwyciężenie przeciwników, dążyć do polityki ustępstw względem istniejącego porządku“. A w końcu powiada ta rezolucja drezdeńska: „Zjazd potępia dążenie do zacierania

wzrastających antagonizmów klasowych celem ułatwienia zbliżenia do partii burżuazyjnych". Jasne jest, że, gdyby rewizjoniści mieli większość, nie dopuściliby nigdy do tego, aby zjazd przyjmował uchwałę, potwierdzającą rezolucję drezdeńską, gdyż nikt nie potwierdza własnego potępienia. Wycofali się bohaterowie rewizjonistyczni zwykłym u nich manewrem, mianowicie nie podjęli rzuconego wyzwania, głosowali sami za tą rezolucją. Można to nazwać, jak się komu podoba, tylko w żadnym razie nie zwycięstwem rewizjonistów, a ów ustęp potwierdzonej ponownie rezolucji drezdeńskiej, potępiający zbliżenie do partii burżuazyjnych, podziałał na zapał liberałów jak strumień zimnej wody. To też wnet liberalna prasa niemiecka zaprzestała koperszaków w stronę Socjaldemokracji i zrezygnowała z „zwycięstw“.

Z uchwał zjazdu zasługuje na uwagę bojkot gorzałki. Podwyższono kolosalnie podatek od wódki i przyznano junkrom na nowo „dar gorzałczany“. Wobec tego nasuwa się myśl: z chwilą, kiedy robotnicy powstrzymają się od picia wódki, państwo nie osiągnie dochodów na wojsko, a junkrzy nie otrzymają spodziewanych milionów. Więc uchwalono jednogłośnie rozpocząć kampanję przeciw alkoholizmowi. W Belgii podobna kampanja, wszczęta przed laty, dała znakomite wyniki, ugruntowała wpływ Socjaldemokracji na górników, wśród których pijaństwo grasowało strasznie. W Niemczech istnieją niewątpliwie liczne kategorie robotników, do których Socjaldemokracja nie dotarła, a do których trafić może przez taką kampanję, o ile ta zostanie przeprowadzona z należytą energią. Nadmienić atoli należy, że gorzałkę spożywają przeważnie robotnicy okręgów wiejskich i katolickich; w ośrodkach przemysłowych spożywane jest głównie piwo.

Sporo czasu zjazd poświęcił rozprawom nad nowym statutem organizacyjnym. Znalezienie form organizacji, które czynią zadość potrzebom tak olbrzymiej partji, jest rzeczą niełatwą. Trudność polega na tym, by uniknąć zbytniego formalizmu i biurokratyzmu, nie krępować inicjatywy, dać możność działania samodzielnego organizacjom, jednocześnie zapewnić jak największą jednolitość akcji partyjnej. Każdemu, kto zajmuje się sprawami organizacji, rozprawy zjazdu lipskiego niewątpliwie nasuną wiele ciekawych uwag. Dla braku miejsca musimy atoli pominąć tę sprawę.

Wiele też pracy pochłonęła sprawa ubezpieczeń. Reforma prawodawcza w tej materji stała się konieczną z rozmaitych powodów i rząd niemiecki ogłosił szereg projektów nowych praw. Zbyteczna zapewnić, że projekty te są nawskroś reakcyjne. Przebija się w nich przede wszystkim chęć ograniczenia samorządu zabezpieczonych robotników, podczas gdy dążeniem robotników oczywiście musi być rozszerzenie tego samorządu do wyrugowania czynnika biurokracyjnego. Doskonale opracowane referaty zawierają dosadną krytykę obecnego prawodawstwa i wskazówki, w jakim kierunku powinna być przeprowadzona rzeczywista reforma. Ponieważ ubezpieczenie robotników jest sprawą palącą w Rosji, a wśród zwolenników burżuazyjnych „polityki socjalnej“ prawodawstwo niemieckie dotąd

uchodzi za wzór, więc bliższe zaznajomienie się z treścią tych referatów mogłoby przynieść naszym agitatorom partyjnym poważny pożytek.

Nowy rok partyjnego życia towarzyszy w Niemczech zapowiada się doskonale. W ostatnich tygodniach odbyło się kilka wyborów uzupełniających do parlamentu, przy których Socjaldemokracja wykazała nowe postępy; w Saksonji odniesiono świetne zwycięstwo przy wyborach do sejmu, to samo miało miejsce również w Badeni; w Berlinie robotnicy pałają chęcią odplacenia liberałom za haniebny krok unieważnienia czterech mandatów socjaldemokratycznych w sejmie pruskim¹⁾; wzburzenie wśród mas, wywołane podatkami, dało sposobność do ożywionej agitacji przeciw rządowi i partjom burżuazyjnym. Więc na całej linii wre akcja na rzecz sprawy proletarjackiej, a w walce proletarjat czerpie nowe siły.

Z międzynarodowego ruchu zawodowego.

(Z powodu piątego sprawozdania międzynarodowego za r. 1907.)

Napisał Z. Leder.

W r. 1872 Karol Marx, zamykając obrady kongresu Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego w Hadze, mówił o „emisarjuszach“, których wrzekomo — zdaniem prasy burżuazyjnej — posiadała Międzynarodówka: „Tak, my nie przeczymy: posiadamy swoich emisarjuszy wszędzie; lecz są oni nam przeważnie nieznanymi. Nasi emisarjusze w Hadze byli to robotnicy, których praca w Hadze równie jest ciężką, jak w Amsterdamie, — ci robotnicy, którzy pracują po 16 godzin na dobę. Oto są nasi emisarjusze. Innych nie posiadamy. Lecz we wszystkich krajach, gdzie tylko się pokażemy, spotykają oni nas, gotowi przyjąć nas z największą sympatją, gdyż pojmują łatwo i szybko, że naszym celem jest poprawa ich położenia“.

Nieznani jej samej „emisarjusze“ Międzynarodówki pracowali dla niej lat czterdzieści, i oto obecnie armja pracowników, przez nich zorganizowana, dorównywa rozmiarami swemi armjom, stojącym pod bronią na usługach rządów. A kontyngiens swój czerpie z wszystkich krajów świata, a celem jej — jak Międzynarodówki — poprawa po-

1) Już po złożeniu powyższego artykułu odbyły się ponownie w czterech okręgach Berlina prawyборы do sejmu. Liberali dostali od socjaldemokratycznych robotników dobitną odpowiedź na swe nieczne machinacje: w trzech okręgach z czterech socjaldemokrati o drazu przeprowadzili absolutną większość wyborców (wybory do sejmu są, jak wiadomo, pośrednie), w czwartym okręgu mają się odbyć wybory ściślejsze pomiędzy pewną liczbą wyborców socjaldemokratycznych a „wolnomyslnych“. Posłowie socjaldemokratyczni, wyrugowani z sejmu przez reakcyjną większość, powrócą więc doń po powtórny zwycięstwie.

łożenia całej klasy robotniczej, jej wyzwolenie z pod jarzma wyzysku i ucisku. Bo oto, jak wykazuje ostatnie sprawozdanie międzynarodowe z ruchu zawodowego za rok 1907, w piętnastu krajach, które dostarczyły międzynarodowemu sekretarzowi danych co do stanu swej organizacji zawodowej w 1907, było zorganizowanych zawodowo 6 505 683 robotników. Jeśli doliczymy, jak to czyni sekretarz międzynarodowy, Legien, 715 576¹⁾ robotników, zorganizowanych we Francji w 1904, 1 586 885 w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i 213 136 w Australji wraz z Nową Zelandją, to otrzymamy, jako ogólną liczbę robotników zorganizowanych zawodowo w 19 krajach, co do których posiadamy dane: 8 029 980. Przeszło osiem milionów — zaprawdę imponująca to liczba tych nieznanych nam proletariuszy, zorganizowanych przez nieznanych nam również „emisariuszy“!

W poszczególnych krajach stan organizacji zawodowej, przedstawia się jak następuje: (podaję tu liczby zaokrąglone w tysiącach.)

Niemcy 2 446 tysięcy, Anglja 2 106 tysięcy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 1 587 tys., Francja 838 tys., Austria 501 tys., Włochy 387 tys., Szwecja 239 tys., Australja 213 tys., Belgja 181 tys., Węgry 142 tys., Sz wajc arja 135 tys., Holandia 129 tys., Danja 110 tys. Poniżej 50 tysięcy zorganizowanych, liczą: Norwegja, Hiszpanja, Finlandja, Bułgarja (10 tys.) i Serbja (przeszło 5 tysięcy). Żadnych danych nie znajdujemy co do Rosji oraz Królestwa Polskiego.

W powyższym zestawieniu podnieść musimy fakt znamieny: że już drugi rok z rządu Niemcy wykazują wyższą liczbę zorganizowanych zawodowo, niż Wielka Brytania z Irlandją. Podczas gdy jeszcze podług sprawozdania za r. 1905 zorganizowanych zawodowo było w Anglji 1 866 755, w Niemczech zaś tylko 1 822 343, już w r. 1907, jak widzieliśmy, palmę pierwszeństwa trzymają Niemcy.

Fakt ten posiada ogólniejsze i doniosłe znaczenie: będąc tylko w części uwarunkowany przez szybsze tempo tego stadium ekspansji kapitalistycznej, które przeżywają obecnie Niemcy w porównaniu z Anglją, kładzie on raz na zawsze tamę niedorzecznemu bajaniu burżuazyjnych pisarzy, jakoby Socjaldemokracja niemiecka swym jaskrawo politycznym charakterem tamowała rozwój ruchu zawodowego w Niemczech, jakoby rozwój ten był możliwy tylko pod warunkiem zachowania „czysto ekonomicznego“ charakteru, jaki przez długi czas posiadały trade-uniony angielskie. Prześcignięcie Anglji przez Niemcy, równie dobrze na polu ruchu zawodowego, jak i na polu ruchu politycznego świadczy niezbicie, że przy sprzyjających obiektywnych warunkach niemasz lepszego sojusznika dla ruchu zawodowego, jak Socjaldemokracja!

Nie zatrzymując się na porównywaniu liczb zorganizowanych z różnych lat, ponieważ dane sekretarjatu nie dają możności tego uczynić, skonstatujemy tylko, że we wszystkich krajach, co do któ-

¹⁾ Według danych Urzędu Pracy (Office du Travail). 1 Stycznia 1906 liczba ta wynosiła 838 134.

rych istnieją dane, miał miejsce przyrost członków organizacji zawodowych. Tylko Węgry wykazują nieznaczne zmniejszenie, (z 153 tys. w 1906 do 142 tys. w 1907), ale to idzie wyłącznie na karb organizacji robotników rolnych, której liczba członków spadła z 24 tys. w 1906 do 11 838 w 1907, podczas gdy liczba zorganizowanych robotników, zatrudnionych w przemyśle, handlu i komunikacji, nieco wzrosła (z 129 tys. do 130 tys.).

Organizacja robotników rolnych należy wogóle do najbardziej interesujących organizacji proletarjackich, zarówno ze względu na doniosły wpływ, jaki wywrzeć z czasem będzie musiała na ukształtowanie się stosunków produkcji w tej najbardziej zachowawczej gałęzi gospodarki społecznej, jaką jest rolnictwo, jak również ze względu na ogólne swe znaczenie dla postępów armji socjalistycznej. Sprawozdanie wykazuje, że osiągnięte pod tym względem rezultaty są bardzo nieznaczne, nieomal — znikome. Zaledwie trzy kraje wykazują nieco poważniejszą liczbę zorganizowanych robotników rolnych: Włochy — 121 120¹⁾, Węgry — 11 838, (w 1906¹⁾ — 24 tys.) oraz Szwecja — 10 tys. Anglja posiada ich 3 832, Austrija 2 058 (w 1906 — 2 652), Danja 1 072 (w 1906), Holandja 200 (w 1906). W Niemczech, które według spisu z 1907 r. liczyły 7,5 miliona robotników rolnych, jak to stwierdzała Jeneralna Komisja związków zawodowych w 1907, wobec braku prawa koalicji dla najmitów rolnych nie istniały żadne organizacje, któreby mogły wywierać pośrednio lub bezpośrednio wpływ na stosunki robotnicze!²⁾ Te parę danych co do organizacji robotników rolnych dobitnie świadczą o tym, jak wiele jest jeszcze do zrobienia na tym polu, z drugiej zaś strony uprzytamniają te olbrzymie trudności, jakie stoją tutaj na drodze świadomej swych zadań straży przedniej proletarjatu. Mówią one o czym innym jeszcze: że ci, którzy odkładają chwilę tryumfu socjalizmu do czasu, gdy zorganizujemy olbrzymią większość proletarjatu przemysłowego i rolnego, odkładają ją właśnie — ad calendas graecas.

Z innych danych, charakteryzujących stan oraz rozwój organizacji zawodowej, zasługują na uwagę: wysokość odsetka zorganizowanych w stosunku do ogólnej ilości zatrudnionych w odpowiednich gałęziach pracy, ilość zorganizowanych według płci, rodzaj organizacji (lokalne czy scentralizowane), wysokość dochodów i rozchodów, oraz podział tych ostatnich według poszczególnych pozycji. Niestety, jak to zaznacza wydawca sprawozdania, tow. Legien, dane, dostarczane przez centrale krajowe oraz przez związki poszczególne

1) W specjalnym sprawozdaniu Włoskiej Konfederacji Pracy liczba zorganizowanych pracowników na roli podana jest na 425 983, a samych włościan, przypisanych do giełd pracy, na 189 423. Wyjaśnienia sprzeczności między temi danemi w sprawozdaniu niema.

2) Stosunki zmieniły się od tego czasu o tyle, że, jak się dowiadujemy z ostatniego sprawozdania Zarządu partyjnego Socjaldemokracji niemieckiej (za r. 1908 — 1909), 1 lipca r. b. począł działać w Niemczech Związek robotników i robotnic rolnych, leśnych oraz zatrudnionych w winnicach. Organizacja robotników rolnych jest w ostatnich latach przedmiotem ożywionej dyskusji i agitacji w partji oraz w związkach.

tym ostatnim, pozostawiają jeszcze bardzo wiele do życzenia, i dlatego ściślejszych porównań między poszczególnymi krajami lub w jednym i tym samym kraju co do oddzielnych lat przeprowadzać niepodobna. Tylko dla ilustracji przytoczę więc, że odsetek zorganizowanych w przemyśle, handlu i komunikacji w stosunku do zatrudnionych w odpowiednich gałęziach pracy waha się w 13 krajach, posiadających powyżej 100 tysięcy zorganizowanych, od 8,51% we Włoszech i 19,61% w Szwajcarii oraz 20,21% w Austrii do 43 21% w Szwecji oraz 58% w Danii¹⁾.

Liczba członków związków, zjednoczonych za pośrednictwem centrali krajowej we wszystkich krajach — za wyjątkiem Włoch i Hiszpanii — stale wzrasta, co zdaje się świadczyć zarówno o tym, że do central przystępują nowe związki, jak również o tym, że już afiliowane zwiększają liczbę swych członków.

Co się tyczy budżetów związkowych, to te zostały podane nie przez wszystkie związki, wobec czego tylko ogólna suma może dać pewne wyobrażenie o obrotach i majątku związków. W związkach, które liczyły ogółem 4,8 miliona członków (z 6,5 miliona zarejestrowanych przez sekretariat) roczne dochody wynosiły 124 miliony, roczne wydatki 103 miliony, majątek 164 milj. marek (wszystkie liczby zaokrąglone). Interesujący jest bardzo podział wydatków według poszczególnych pozycji — jakkolwiek różni on się bardzo nie tylko w poszczególnych krajach, lecz i w poszczególnych związkach różnych zawodów. Podam więc te pozycje w liczbach zaokrąglonych. Wydatki wynosiły (w milionach marek):

na strejki	22,8
na administrację	18,9
na zapomogi dla bezrobotnych	17,1
na „ dla chorych i inwalidów	14,5
na organy związkowe, biblioteki	4,3
na zapomogi na podróż	3,3
na zapomogi z powodu śmierci	3,0
na inne cele, na agitację, procesy	10,8
na inne zapomogi	5,1 ²⁾

Dane powyższe, bardzo dalekie od ściśłości, potwierdzają wszakże w zupełności twierdzenie teorii: że związki zawodowe są przede-

¹⁾ Nie znajdujemy żadnych danych co do Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Australji. Jak niewielką jest wartość powyższych danych, łatwo ocenić z następującego. Podczas gdy w sprawozdaniu za r. 1907 jako odsetek zorganizowanych w Anglii jest podane 22,46%, to w sprawozdaniu za r. 1906 natomiast odsetek ten wynosi 33,97%. Różnica pochodzi stąd, że gdy w pierwszym sprawozdaniu liczba robotników, zatrudnionych w przemyśle, handlu i komunikacji, jest podana na podstawie spisu z r. 1901 w wysokości blisko 9,4 miliona, to w sprawozdaniu za r. 1906 podana ona jest „szacunkowo“ w wysokości 6,2 miliona, w sprawozdaniu za 1905, jakoby na podstawie spisu z r. 1901 — w wysokości 6 milionów!

²⁾ Łatwo sprawdzić, że wydatki te nie dają wskazanej przez sekretariat sumy 103 milionów. Wydatki na strejki powiększyłem o sumę niewskazaną w sprawozdaniu tegorocznym dla Anglii, a wykazaną w sprawozdaniu zeszłorocznym — 3,2 miliona marek.

wszystkim organizacjami bojowymi, mającemi za zadanie organizowanie i prowadzenie walki ekonomicznej, że obok bezpośrednio z tym zadaniem związanych wydatków na zapomogi strejkowe, ogromnie ważną funkcję związków stanowi częściowe choćby normowanie podaży pracy — zapomogi dla bezrobotnych, że wreszcie przy dzisiejszym stanie międzynarodowego prawodawstwa społecznego (ubezpieczenia we wszelkiej postaci) nie przestają odgrywać poważnej roli w działalności związków funkcje zapomogowe w ściślejszym tego pojęcia znaczeniu (zapomogi dla chorych, inwalidów, na pogrzeb i t. d.).

Przejdźmy do najważniejszych danych, charakteryzujących stan ruchu zawodowego w głównych z poszczególnych krajów.

Przodując obecnie na polu ruchu zawodowego, Niemcy wykazują postępy w dziedzinie organizacji i w roku 1907 mimo srożącego się kryzysu. Podczas gdy w dawniejszych latach, np. w r. 1891 i 1901, kryzys każdorazowo sprowadzał cofania się, w r. 1907 tylko „niemieckie“ (Hirsch-Dunkerowskie) stowarzyszenia straciły kilka tysięcy członków — natomiast centralne związki (socjaldemokratyczne) powiększyły liczbę swych członków o przeszło 175 tysięcy. Nawet i 2 związki chrześcijańskie nie straciły, lecz powiększyły liczbę członków o przeszło 27 tysięcy. Najbardziej znamieny to dowód, jakiej siły dosięgła już idea organizacji w Niemczech, z jaką mocą przekonanie o konieczności organizowania się wżarło się już w umysły robotników niemieckich.¹⁾ Uderza w sprawozdaniu niemieckim olbrzymi rozwój sił finansowych związków. Podczas gdy w r. 1891 dochody na głowę wynosiły 6,68 mar. rocznie, wydatki 9,62, a majątek 2,56, w r. 1907 pozycje te wynosiły odpowiednio: 27,55, 23,12 i 17,82 — dowód, że rozwinięty i silny ruch zawodowy musi się oprzeć na względnie wysokich składkach. Nie mogąc się zatrzymać na poszczególnych stronach działalności związków niemieckich, zaznaczymy tylko jeszcze niektóre fakty. Wielki wzrost wydatków na zapomogi dla bezrobotnych (6,5 miliona mar. z 43 milj. ogólnej sumy — zamiast 2,6 miliona w r. 1906) wysunął przed robotnikami niemieckimi znowu zadanie uzyskania ubezpieczenia na wypadek braku zatrudnienia. Liczba strejków i lokautów nieco zmniej-

¹⁾ Niezbędne jednak jest uczynić pewne zastrzeżenie co do powyżej powiedzianego. Bo oto, jak wykazuje świeżo ogłoszona przez Jeneralną Komisję statystyka za r. 1908 drugi z kolei rok kryzysu przyniósł związkom już z mniejszeniem liczby członków, wynoszące 75 181 od końca roku 1907 do końca roku 1908, nieco mniej, bo 33 775, jeśli brać przeciętną liczbę członków za oba lata. Zmniejszyły się również nieco dochody i wydatki związków. Fakt ten przypomina o odwrotnej stronie kwestji. Walka z kryzysami nie może być prowadzona tylko na drodze codziennej roboty związkowej, bo same związki bardzo silnie podlegają wpływom kryzysów. Wobec tego związki muszą z jednej strony wzmocnić swą siłę odporną przez zdobycie nowego oręża w walce z brakiem pracy w postaci ubezpieczenia na wypadek braku zajęcia, z drugiej strony muszą pogłębiać swą działalność przez agitację przeciwko samemu źródłu złego — anarchji produkcji kapitalistycznej, a więc samej produkcji kapitalistycznej.

szła się w porównaniu z r. 1906, jednak liczba wystąpień, mających na celu polepszenie warunków pracy bez zawieszania jej, powiększyła się i dzięki wzrastającej potędze związków ich starania w ogromnej ilości wypadków zostały uwieńczone powodzeniem dla robotników. Co się tyczy wreszcie poszczególnych kierunków niemieckiego ruchu zawodowego, to z pośród sześciu grup, które rozróżnia sprawozdanie, pewną żywotność obok „wolnych“, socjaldemokratycznych, ujawniają jeszcze tylko związki chrześcijańskie. „Czarna“, i „czerwona“ armia stoją naprzeciw siebie, jakkolwiek zresztą ta ostatnia przenosi przeciwniczkę swą liczebnością przeszło sześciokrotnie.

Sprawozdanie z Anglii podnosi usiłowania ze strony rządu do regulowania konfliktów ekonomicznych na drodze sądów polubownych i rozjemczych. Zbrojny pokój i sądy mają wtłoczyć wojnę klasową w nowe łożysko. Na porządku dziennym jest poza tym sprawa ubezpieczenia na starość oraz walki z brakiem pracy.

Związki angielskie muszą poza tym przeprowadzić nową walkę o swe prawa wobec państwa i społeczeństwa burżuazyjnego, albowiem te wystąpiły niedawno przeciw wynikającej z najżywniejszych potrzeb ruchu zawodowego dążności związków do podtrzymywania ścisłej łączności z ruchem politycznym. Mianowicie sąd apelacyjny uznał za sprzeczne z prawem, by związki żądały od swych członków składek na cele polityczne. Sprawa ta, jak wiadomo z prasy, nie została jeszcze dotychczas rozstrzygnięta. W lutym roku bieżącego sąd wydał podobne orzeczenie w stosunku do innego jeszcze, niż w r. 1907, związku.

Trzecie miejsce co do stanu organizacji zawodowej w Europie (czwarte, jeśli wliczyć Francję) zajmuje Austria. Sprawozdanie jej wykazuje niezwykle szybki rozwój związków w ciągu ostatnich lat 15-tu: od niespełna 47 tysięcy zorganizowanych w 1892 do 501 tysięcy w 1907. Również i rok przesilenia gospodarczego — rok sprawozdawczy — nie zdołał osłabić organizacji, lecz przyniósł jej znaczne powiększenie liczby zorganizowanych oraz środków finansowych. Na wskazaną liczbę zorganizowanych składają się tylko związki „wolne“, socjaldemokratyczne. Liczba zorganizowanych w związkach „narodowych“ oraz „chrześcijańsko-społecznych“, które, jedno, zarówno jak i drugie, w mniejszym lub większym stopniu hołdują „złotej idei“, jest niewiadoma. Natomiast szybko, — równoległe do związków robotniczych, stojących na gruncie walki klasowej, — rozwijają się związki przedsiębiorców, skupiające już w r. 1897 2 431 przedsiębiorstw z 389 tysiącami robotników i podejmujące w ostatnich czasach wielką kampanję przeciwko prawu robotników do koalicji i strejku. Działalność związków wykazuje rezultaty wcale pomyślne: z zarejestrowanych przez austriacką centralę strejków 50,8%, w których przyjmowało udział 68,8% strejkujących, uzyskało powodzenie częściowe; 16,7% strejków z 7,7% strejkujących odniosło zupełne zwycięstwo. Z umów taryfowych przyniosły powiększenie płacy dwie trzecie tych, które dotyczyły płacy zarobkowej; 883 umów przyniosły 335 622 robotnikom skrócenie czasu roboczego. Warto też podnieść, że podczas gdy w Niemczech świętowanie 1 maja wciąż napotyka

na uporczywy opór ze strony przedsiębiorców, to w Austrii już 57,2⁰/₁₀₀ umów taryfowych, zawartych w latach 1904-7, zabezpiecza robotnikom prawo zawieszenia w tym dniu pracy.

Ruch we Włoszech stoi, jak już widzieliśmy, dość wysoko co do swej liczebności: sprawozdanie mówi mianowicie o 185 tys. zorganizowanych robotników przemysłowych oraz o blisko 426 tys. rolnych. Jednak stopień rozwoju, osiągnięty przez organizację, jest jak się zdaje, dość niski: słaby rozwój centralizacji w związkach, brak stałych kas strejkowych, słabość finansowa związków wogóle (3,11 fr. dochodu na członka związków w przemyśle wobec 27,55 marek w Niemczech, 15,10 koron w Austrii), wreszcie dość silnie rozwinięte tendencje anarchistyczne — wszystko to nie zdaje się świadczyć, by włoski ruch zawodowy wyszedł już z okresu dzieciństwa. Ogromny wzrost wykazuje we Włoszech organizacja robotników rolnych. Ruch strejkowy przybrał w r. 1907 rozmiary, jakich nie posiadał nigdy od r. 1860, przyczym z 453 494 strejkujących bardzo znaczna część, mianowicie 184 167, przypadała na rolnictwo włącznie z rybactwem. Ten niesłychany rozwój ruchu strejkowego skłonił już nawet niektórych polityków burżuazyjnych do wysunięcia projektu ograniczenia wolności walki robotniczej za pomocą wprowadzenia przymusowych sądów rozjemczych, przeciwko czemu robotnicy naturalnie stanowczo protestują.

W Szwecji ruch w r. 1907, podobnie jak i w 1906, był okresem organizowania szerokich mas, wstrząśniętych ze śpiączki przez wielkie walki przemysłowe r. 1905. Z 50 tys. członków, zorganizowanych w r. 1898, liczba związkowców urosła do 200 tys. w r. 1908, przyczym, podczas gdy w latach 1900—1905 przyrost członków związków, afiliowanych przy centrali krajowej, wynosił przeciętnie 22,4⁰/₁₀₀ rocznie, w 1906 dosięgnął on wysokości 53,5⁰/₁₀₀, a w 1907 — 47,5⁰/₁₀₀, czyli 44 i 60 tys. w absolutnej liczbie. Dobrze rozwinęła się w tych latach organizacja kobieca, która nieomal potroiła liczbę swych członków. W rezultacie tego wzrostu organizacji robotniczej widzimy obecnie — zamach przedsiębiorców w celu zupełnego złażenia jej, który, jak wiadomo, doprowadził do olbrzymiego paratygodniowego strejku 300 tysięcy robotników.

Szóste miejsce co do liczby zorganizowanych w Europie zajmuje Belgja. Drobny ten kraj wykazuje w ostatnich latach znaczne postępy na polu ruchu zawodowego, tak iż obecnie dość rozpowszechnione przekonanie o słabości tamtejszego ruchu należy odnieść na rachunek przeszłości. Podczas gdy jeszcze w r. 1902 Belgja liczyła zaledwie 101 tysięcy robotników zorganizowanych zawodowo, w tym blisko 84 tys., afiliowalnych przy komisji syndykalnej oraz partji robotniczej, 12 tys. w związkach neutralnych, 3,7 tys. w katolickich, 2 tys. w liberalnych¹⁾, to w 1907 liczba zorganizowanych w związkach socjalistycznych wynosiła już blisko 139 tysięcy, w niez-

1) Dane powyższe biorę z trzeciego sprawozdania międzynarodowego (za r. 1905) oraz z książki V a n d e r v e l d e'a „Położenie raboczawo klasa w Belgji“, 1906.

leźnych ¹⁾ związkach 10 tys., w chrześcijańskich przeszło 30 tys., w liberalnych 515, czyli ogółem przeszło 180 tysięcy, co daje w ciągu pięciu lat poważny przyrost o 80%. Ogółem liczba zorganizowanych wynosi 30,69% zatrudnionych w odnośnych gałęziach przemysłu, a więc za niską uważana być nie może. Również i stan finansowy związków należy do nienajgorszych, albowiem dochód roczny na głowę wynosił w związkach socjalistycznych 15,7 fr. rocznie. Zestawienie sił poszczególnych grup organizacji zawodowych wykazuje, że, obok związków socjalistycznych, są godne wzmianki w Belgji — podobnie jak w Niemczech — zaledwie chrześcijańskie. Jednak biorąc pod uwagę olbrzymią potęgę klerykalizmu w Belgji, uznać należy, że udało mu się zorganizować bardzo nieznaczną liczbę robotników, przyczym, jak stwierdza sprawozdanie, związki chrześcijańskie dosięgły już w swym rozwoju martwego punktu.

Powyzsze dane o ruchu zawodowym krajów, posiadających najsilniejsze organizacje związkowe, dadzą pewne wyobrażenie o stanie i rozwoju ruchu międzynarodowego, — wyobrażenie dalekie naturalnie od ścisłej znajomości, którą osiąść można tylko dzięki studjowaniu samych sprawozdań, będących od lat kilku jedynym, niezwykle cennym dla studjów takich źródłem. Natomiast udzielimy jeszcze nieco miejsca sprawie prawodawstwa społecznego poszczególnych krajów, którego przejawy są skrętnie notowane przez krajowe centrale zawodowe — co dowodzi, że umięją one postępy te cenić zgodnie z ich znaczeniem. Nie zatrzymywałem się nad nimi, by nie przekraczać ram tego artykułu, jak również dla tego, że sam temat wymagałby specjalnej rozprawy. Miał wyliczać więc zdobycze, jakie związki i partja robotnicza w ostatnich latach uzyskały lub mają nadzieję uzyskać w najbliższym czasie na tym polu od państwa, przytoczę tu niezwykle charakterystyczny obraz rezultatów „reformy społecznej“, mającej według niektórych ludzi dobrej wiary rozwiązać wszystkie sprzeczności kapitalistycznego ustroju, w jednym z typowych państw kapitalistycznych — Belgji. Kraj ten nazwany został niegdyś przez Marxa rajem kapitalistów, charakterystykę tę Vandervelde dopełnił kiedyś, nazwawszy go czyszcem robotników. Że charakterystyka to nieprzesadzona, poręczyć może świadectwo liberalnego profesora Herknera. I dziś jeszcze, według sprawozdania, nie przestał on być jednym i drugim, nie bacząc na to, że z kraju bezwzględne manchesterstwa zdążył być już się przeobrazić w kraj „de la liberté subsidiée“! Bo oto wyliczenie praw robotniczych w Belgji oraz ich charakterystyka, dawana przez sekretarza belgijskiej komisji syndykalnej. Prawo o umowie robotniczej: nie zmienia w niczym położenia robotników. Prawo o książeczkach robotniczych: nie przeszkadza przedsiębiorcom wygładzać robotników za pomocą „czarnych list“. Prawo o wypłacaniu

¹⁾ „Niezależne“ związki stoją na gruncie walki klasowej i poczęści przyznają się do socjalizmu, nie przyłączają się jednak do partji lub do komisji syndykalnej zapewne „ze względów praktycznych“ (por. czwarte sprawozdanie międzynarodowe za r. 1906, str. 45).

zarobku: wypłata po szynkach w porcie antwerpskim oraz trucksystem kwitną po dawnemu. Prawo, nakazujące przymusowe wprowadzenie regulaminów fabrycznych: nie przeszkadza przedsiębiorcom wprowadzać drakońskich przepisów oraz pobierać ogromnych kar pieniężnych. Prawo o inspekcji przemysłowej: inspekcja jest najzupełniej iluzoryczną, inspektorowie są często raczej stróżami interesów kapitału, niżli robotników, kary za przekroczenia są śmiesznie małe. Prawo, dotyczące nadzoru nad niebezpiecznymi, szkodliwymi dla zdrowia oraz niedogodnymi miejscami produkcji: przeważnie administracyjnej natury. Prawo o ochronie kobiet oraz młodzieży pracującej: ochrona jest czysto iluzoryczną. Prawo o sądach przemysłowych: dzieło niedoskonałe. Prawo, dotyczące obioru przedstawicieli robotniczych do ciał gminnych: znajduje zastosowanie tylko w niektórych większych miastach, a i tam jest przez burżuazję psute. Prawo o izbach robotniczych i przemysłowych: izby nie posiadają prawa inicjatywy; z opinią izb w sprawie prawodawstwa społecznego rząd nie ma potrzeby się liczyć. Prawo, dotyczące organizacji zawodowych: prawo zastawia związkom tyle pułapek, że ani jedna większa organizacja zawodowa nie zarejestrowała się na podstawie tego prawa. To samo zupełnie dotyczy prawa o kooperatywach oraz stowarzyszeniach samopomocy. Prawo o popieraniu budowy domów robotniczych: większa część robotników nie jest w stanie czynić użytku z korzyści, dawanych przez tę ustawę. Prawo o ubezpieczeniu na starość: „aby nie być niesprawiedliwym przyznać należy, że państwo obok 100 milionów na budżet ministerjum wojny przeznaczają i 12 milionów na wydawanie starcom, urodzonym przed r. 1843, renty 18 cent. dziennie ¹⁾“. Osoby, urodzone po r. 1843, nie korzystają z tej renty, o ile same nie wpłacały premii ubezpieczeniowej. Prawo o ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków w przemyśle: półśrodek, wychodzący z przestarzałej zasady odpowiedzialności zawodowej; zupełnie wyłączeni od ubezpieczenia robotnicy rolni. Prawo o siedzeniach dla pracowników sklepowych: nakazuje dawać pracownikom sklepowym siedzenia, o ile to nie przynosi szkody ich działalności. Prawo, dotyczące jednego dnia odpoczynku w tygodniu: ustawa jest prawie bez wpływu na istniejące stosunki, bo przyznaje robotnikom z mocy prawa to tylko, co sobie sami wywalczyli.

A oto korona dla uwieńczenia całego tego pięknego gmachu prawodawstwa „społecznego“: Za pomocą edyktów i rozporządzeń król — jeden z pierwszych finansistów w kraju, zauważmy nawiasem — może częściowo lub w całości zawieszać działanie wszystkich praw powyższych, co też prawie zawsze, o ile kapitaliści go o to proszą, czyni. Zaiste piękna ilustracja sławetnego pytania: reforma społeczna czy rewolucja?... A zarazem jaskrawa ilustracja konieczności i zna-

1) Podczas gdy na utrzymanie włóczęgów i żebraków w aresztach ministerjum sprawiedliwości przeznaczają 1 fr. 20 cent. (Vandervelde, l. c., str. 62.)

czenia walki o rzetelne prawodawstwo społeczne, prowadzone przez związki i partję w ścisłej jedności z drugą łączności.

Mówiłem na wstępie tego artykułu o zdobyczach, osiągniętych w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci przez „nieznanych emisariuszy“ Międzynarodówki. Niezbędne jest tu wszakże i zastrzeżenie. Nie dotykam zgoła trudnej i złożonej kwestji namacalnych, konkretnych, „realnych“, jednym słowem, zdobyczy ruchu zawodowego: ma ona tymmiej wagi, że znaczenia postępów ruchu robotniczego niepodobna mierzyć „namacalnemi“ rezultatami, że znaczenie to byłoby olbrzymie już i w tym wypadku, gdyby rola związków sprowadzać się miała jedynie do przeciwdziałania degradującym proletariata tendencjom kapitalizmu. Chcę natomiast zaznaczyć, że nawet tam, gdzie robotnicy są najlepiej zorganizowani, siły ich organizacji ustępują siłom organizacji przedsiębiorców. Oto np. w Niemczech — przodujących, jak widzieliśmy, na tym polu — organizacje robotnicze liczą 2,4 miliona członków, organizacje przedsiębiorców natomiast liczyły według danych, zebranych w tym roku przez urząd statystyczny Rzeszy, 160 tysięcy członków, zatrudniających 3,6 miliona robotników. Dane powyższe nie obejmują jeszcze wszystkich zorganizowanych przedsiębiorców, nie uwzględniają między innymi wcale organizacji, mających na celu ubezpieczenie przed strejkami oraz obronę przed bojkotem. Rzeczywista liczba zorganizowanych przedsiębiorców w Niemczech ma wynosić 180 tysięcy, przyczym zatrudniają oni 4 miliony robotników ¹⁾. Czyli zorganizowanym niespełna 2¹/₂ milionom robotników, rozporządzających tylko swą siłą roboczą oraz majątkiem po 17 mar. 82 fen. na człowieka, przeciwstaje kapitał, komenderujący, że użyjemy dobitnego wyrazu Marxa, 4 milionom robotników. Świadcami starcia tych dwóch sił byliśmy właśnie niedawno w Szwecji. W każdym zaś razie z danych międzynarodowego ruchu zawodowego w związku z analizą innych czynników współczesnego życia ekonomiczno-społecznego wypływają dwa wskazania zasadnicze: organizacja zawodowa jest, obok organizacji politycznej, tylko jedną z dźwigni walki proletariatu o polepszenie swego położenia na gruncie ustroju współczesnego; walka zarówno jednej, jak drugiej o polepszenie tego położenia musi być dopełniona i podporządkowana „walce o wielki cel zupełnego wyzwolenia od wyzysku kapitalistycznego“.

¹⁾ Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich, 1909, str. 368 oraz Soziale Praxis, 1909, N. 46, str. 1214.

W sprawie listu K. Kautsky'ego o „machizmie“¹⁾.

„Zimna wanna“ Kautsky'ego nie podobała się tow. Małeckiemu. Uważa on za odpowiedniejsze pójść do rozjątrzonych dysputantów partyjnych z „zasadniczymi“ rozprawami. Wprawdzie treść zasadniczych myśli Kautsky'ego nie spotkała się z naganą (przynajmniej otwartą) ze strony tow. M., ale natomiast sposób wyrażenia tych myśli spotkał się ze srogą opozycją.

Trudno mi rozpoczynać z tow. Małeckim spory psychologiczno-pedagogiczne na łamach „P. S.“. Skoro tow. M. nie chciał czy nie mógł dostrzec całej finezji psychologicznej i dużego taktu, który Kautsky wykazał w swej odpowiedzi na „karykaturalne (wedle słów samego tow. M.) postawienie kwestji“ przez tow. Bendjanidze — trudno! nie chciałbym się wdawać w dyskusję nad dyskusją z powodu prowadzenia dyskusji. Niechaj tow. M. próbuje dalej rozcinać węzeł gordyjski. spleciony z frakcyjnego zacierzwienia, machizmu, nieznajomości filozofji i t. d., przy pomocy jednego cięcia swego „trzeba raz na zawsze kwestję postawić zasadniczo jasno“! Ja wolę metodę Kautsky'ego. Bywają wprawdzie ludzie, na których niema rady, i chyba tylko dlatego, że z takimi właśnie ludźmi mamy do czynienia, nie możnaby uważać zbyt optymistycznie listu Kautsky'ego za „zimną wannę“; nie można jednakże się nie zgodzić, że list ten był przynajmniej szklanką zimnej wody, zaproponowaną zbyt już rozgorączkowanym bojownikom „filozoficznym“. Niepotrzebnie tylko i niesłusznie stara się tow. M. wywołać w tej szklance wody taką burzę. Niesłusznie tymbardziej, że cała opozycja tow. M. przeciwko pedagogice Kautsky'ego polega na nieporozumieniu: zamiast „chodzi o to“ lub „nie chodzi o to“ tow. M. powinien mówić: „chodzi mi o to“ lub „nie chodzi mi o tamto“. Jakżeż bowiem bez owego „mi“ musiałyby się zdziwić tow. Bendjanidze lub jakiś Deborin, autor artykułu „Mach i ruskaja rewolucja“, jak musiałyby się zdziwić wreszcie „sam“ Plechanow, sprowokowany przez samego Macha, którego „odsądza od czci i wiary filozoficznej“, gdyby się nagle dowiedział od tow. M., że tu wcale nie chodzi o Macha, ale o „teorię poznania Marxa“. Czyż tow. M. sądzi, że gdyby się nawet zasadniczo jasno postawiło kwestję teorii poznania Marxa i nawet ją zupełnie jasno rozstrzygnęło, to spór w rosyjskiej Socjaldemokracji o to, czy Mach się z tą teorią poznania Marxa zgadza, byłby niemożliwy, i czy tow. Bendjanidze nie pytałby Kautsky'ego, „czy Mach jest marksistą“ i „czy Bebel tą kwestją się zajmował“, czy nie rozłupywanoby o Macha partji? Czy tow. M. sądzi, że gdyby rozłupywano partję nie o teorię poznania Macha lecz o teorię poznania Marxa, to zimna wanna Kautsky'ego byłaby już zbyt uczynna, dlatego, że już kwestja stoi zasadniczo jasno? Należy zwalczać nie-

1) Patrz Nr. 14/15 Przeglądu Socjaldemokratycznego.

tylko „nonsensy spłodzone w walce“, ale każdą nonsensowną walkę, każdy inteligiencko-literacki spór! W każdym razie, gdyby tow. M. dodał wszędzie opuszczone przez zapomnienie „mi“, nie byłoby nieporozumień; wiedzielibyśmy przynajmniej, że kiedy Kautsky'emu i innym chodzi o nierozłupywanie z powodu prywatnych spraw partji, jemu „wszak nie o to chodzi“, jeno o „teorię poznania Marxa“.

Nie będę wchodził we wszystkie szczegóły tego niezrozumiałego dla mnie ze strony tow. M. sporu. Chciałbym natomiast zająć się jeszcze mniej szczęśliwą stroną jego zarzutów względem Kautsky'ego, mianowicie zarzutów, odnoszących się do fałszywych poglądów, wyłożonych w liście.

Wprawdzie tow. M. przeciwko treści żadnej z zasadniczych myśli listu Kautsky'ego jawnie nie występuje, ale zato tym energiczniej wyszukuje pomiędzy nimi przeróżne sprzeczności. Otóż te wszystkie sprzeczności są zupełnie fikcyjne. Pierwszą taką sprzecznością ma być „zasadnicza sprzeczność“ między myślą Kautsky'ego, że marksizm nie jest filozofją, oraz „konceptją filozoficzną“, z której ma wychodzić tenże Kautsky i którą ma stanowić zdanie: „jego punkt wyjścia (marksizmu) stanowi pogląd, że bytu ludzkiego nie określa świadomość, lecz że odwrotnie, społeczny byt ludzi określa ich świadomość“. Lecz nie jest to żadna „konceptja filozoficzna“, tylko zwykły sąd referujący z dziedziny marksizmu. Kautsky uważa, że ten, będący punktem wyjścia marksizmu, pogląd należy do ogółu poglądów marksizmu; a uznając marksizm nie za filozofję, nie uważa tego poglądu tym samym za „konceptję filozoficzną“, nie popełnia więc żadnej niekonsekwencji. Ale może, nie popełniając subiektywnie niekonsekwencji, popełnia ją obiektywnie? Lecz, niestety, „pogląd“ ten nie jest wyssany z filozoficznego palca, lecz jest oparty na obserwacji, jest sformułowaniem zaobserwowanych w społeczeństwie stosunków rzeczywistych, nie jest więc ani „konceptją“ ani tym bardziej „filozoficzną“. Dalej: tow. M. albo uznaje, że „pogląd“ ten należy do dziedziny marksizmu, albo nie. W pierwszym wypadku (a pogląd ten jest jedną z kardynalnych zdobyczy marksizmu!) nie Kautsky popełnił zasadniczą niekonsekwencję, lecz tow. Małeck, skoro uznał myśl, że marksizm nie jest filozofją, za „nader słuszną“, natomiast jeden szczegół z marksizmu za „konceptję filozoficzną“. W drugim wypadku niechże nam powie tow. M., do jakiej to dziedziny należy ów „pogląd“, jeżeli nie należy do marksizmu, do jakiej to „filozofji“ należy ów codzienny pogląd marksizmu, stając się „konceptją filozoficzną“. Albo niech otwarcie powie: Kautsky źle zreferował marksizm, „pogląd“ ten jest z marksizmem niezgodny, bo „to jest konceptja czysto filozoficzna“. W każdym razie dopóki owa „konceptja filozoficzna“ będzie „zgóry“ i „aksjomatycznie“ uznana za istotną część marksizmu, niekonsekwencja Kautsky'ego nie będzie „zasadniczą“, lecz zupełnie fikcyjną.

Pomińmy dziwny już zupełnie zarzut, że Kautsky „zgóry“ (?) i „w sposób dla siebie aksjomatyczny“ uznaje myśl, którą on sam wyraża w formie: „ja... uważam“, podczas gdy tow. M. kategorycznie

uznaje ją za „nader słuszną“; pominiemy i wiele innych „skrupułów“, przejdźmy natomiast jeszcze do „chaosu“, jaki tow. M. odnalazł „w tych kwestjach“ — w związku z listem Kautsky'ego.

Kautsky mówi: „ja nie rozumiem przez marksizm filozofji“; Plechanow mówi: „marksizm to cały światopogląd“ (pogląd na świat! p. a.); jednocześnie Kautsky mówi: „jednakże nie mogę nie przyznać, że Plechanow jest jednym z najlepszych znawców nauki Marxa“. Gdzie tu chaos? Chyba w zestawieniu zdań. Bo primo tow. Małeckci dobrze wie, że ani historycznie ani teoretycznie pojęcie „filozofji“ nie pokrywa się z pojęciem „poglądu na świat“. Marksizm i jako nauka doświadczalna może być i bywa poglądem na świat, poprostu dlatego, że można mieć wogóle społeczny a cóż dopiero marksowski pogląd na świat. Marx, głosząc koniec filozofji, chyba nie przypuszczał, że nie będziemy już mieli żadnego poglądu na świat. Ale przypuśćmy nawet, że filozofja i pogląd na świat to jedno. Wtedy tow. M. powiada: Plechanow uważa marksizm za filozofję, Kautsky uważa, że marksizmu nie należy uważać za filozofję, a jednak uważa, że Plechanow i t. d. Lecz i w tym wypadku sędzę, że metoda tow. *gh.* upatrywania komplementów w liście Kautsky'ego jest lepsza od „chaotycznej“ metody tow. M. Można być bowiem nawet „najlepszym“ znawcą nauki Marxa, a mało znać się na filozofji i dlatego płodzić „kompromitujące dokumenty“ (słowa tow. M.) o stosunku marksizmu do filozofji. A właśnie cały list Kautsky'ego zwrócony jest przeciwko „filozoficznemu“ poglądom Plechanowa, i uważam, że zupełnie słusznie Kautsky, prawiąc komplementy znawstwu Plechanowa w dziedzinie „nauki Marxa“, nie krępuje się podróżami jego z marksizmu w dziedzinę filozofji.

Tow. Małeckci przyzna, że skoro tak zasadniczo wymaga od innych „jasnego“ stawiania kwestji, wolno przecież i od niego samego wymagać jasnego stosowania pojęć, których używa.

Wreszcie chciałbym jeszcze dodać, że nie występuję przeciwko zasadniczemu traktowaniu kwestji, o które chodzi tow. M., ale pragnąłbym przekonać go tylko, że kwestje zasadnicze nie dadzą się zasadniczo traktować, o ile nie są one postawione zasadniczo, lecz wyłaniają się przypadkowo w tak naiwnych sporach, jak, dajmy na to, spór o „marksowość“ Macha, i niepokozone są w dodatku czysto polemicznymi przygodami. Jakkolwiek nie sędzę, aby kwestja „teorii poznania Marxa“ (właściwie chodzi tu raczej o teoretyczno-naukową budowę marksizmu) była dla ruchu socjalistycznego obojętną, nie może być jej rozwiązywanie zadaniem partji. I jeżeli niema środków na to, aby „nie dopuścić“ orgji „sekcjarskiego fanatyzmu“ w sprawach ważniejszych, jak np. likwidacji partji lub oglądania się za rozumiejącą swoje historyczne obowiązki burżuazją, to nie łudzę się również, aby przez „zasadnicze postawienie kwestji“ w niezasadniczym o nią sporze dało się ukrócić „sekcjarski fanatyzm“. Nie od rzeczy może będzie przypomnieć, że cały machizm jest własnym, wyrosłym na rosyjskim gruncie, wymysłem jego autorów, i że sam Mach najusilniej się zastrzega, że

„niema żadnej machowskiej filozofji“ („es giebt keine machsche Philosophie“). Praca więc w tym względzie musi zostać w sferze inicjatywy prywatnej, a partja winna pilnować, aby jej akademickimi sporami nie rujnowano.

R. Neruda.

Z Kraju.

Prawdziwy jubileusz Polski w stuletnią rocznicę Słowackiego.

W sierpniu roku Pańskiego 1909 Polska zmartwychwstała. Złośliwi twierdzą, że stało się to za dotknięciem różdżki czarodziejskiej Skałona. Ale prasa współczesna i świadkowie naoczni stanowczo temu przeczą. Okazuje się, że duch Dąbrówki i św. Wojciecha rzeczywiście zawitał na nowo do Polski w postaci gości czeskich. I Polska ożyła.

Najtrudniej było Postępowej Demokracji zbudzić się w dzień zmartwychwstania. Długo przecierała starcze oczy, zaślepione odwiecznym snem mogilnym, i szukała... Powiedziane bowiem było, że w dzień ten każdy znajdzie swoje przyobleczenie ziemskie, chociaż kości jego rozproszone zostały na cztery strony świata i oddane psom na dogryzanie. Bezkrwista Demokracja Postępowa szukała, azali pozostały jeszcze jakie niedogryzione jej kosteczki na ziemi polskiej i słuchała głosów trąby archanielskiej, budzącej świat z martwych.

Trąbił archanioł Roman Dmowski, który przywoływał do Polski zastępy Żiżkowych rycerzy czeskich, z „zastrzeżeniami“, aby zjawili się tylko dla celów ekonomicznych i kulturalnych, a nie politycznych. Postępowa Demokracja słyszała „dziwnie“ miłe, bo własne dźwięki, wylatujące z archanielskiej trąby Dmowskiego, i P r a w d a, przecierając zdziwione na świat oczy, rzekła:

„W danym razie nie odstrasza go (R. Dmowskiego) nawet to, że w obecnej chwili wygłasza o neoslawizmie zdania, dziwnie podobne do tych, które wyznają postępowcy, niemający od początku złudzeń co do neoslawizmu“.

I uwierzywszy w zmartwychwstanie, zaczęła szukać swych postępowych szat ziemskich, dziwnie podobnych do tych, które niosła archanielska trąba Narodowej Demokracji.

I trąbił archanioł Zdzisław ks. Lubomirski, który wiódł rycerstwo czeskie na polskie pola Grunwaldu czyli na „psie pole“ kultury polskiej i apolitycznej, dziwnie umiłowanej przez Postępową Demokrację. I trąbił „bez zastrzeżeń“:

„Pobył w Czechach wyrzył w duszach Polaków niezatarte wspomnienie“.

Niezatarte wspomnienie konferencji słowiańskiej w Pradze, gdzie postępowcy i wstecznicy polscy, klerykali i szowiniści czescy, Krasowski, Wergun i inni polakożercy rosyjscy manifestowali solidarność słowiańską. Niezatarte wspomnienie polskiej hańby narodowej...

Zasłuchana w melodję tych „niezatartych wspomnień“ i pozabawiona „złudzeń co do neoslawizmu“, postępowa P r a w d a rzekła głosem zmartwychwstańca:

„Z zasadniczą myślą tej odezwy łączy się całe społeczeństwo polskie“.

I uwierzywszy już zupełnie w rzeczywistość zmartwychwstania swojego wraz z całym narodem, Postępowa Demokracja znalazła swoje szaty cielesne, które niosła jej archanielska trąba Stronnictwa Polityki Realnej, i rzekła:

To są szaty postępowe, bo w nich kryje się idea braterstwa narodów. Na zdar!

I P r a w d a stwierdziła, że goście czescy

„swym przyjazdem urzeczywistniają w drobnych choćby rozmiarach ideę braterstwa narodów“.

I „niezartym wspomnieniem“ posłała, wraz z „całym społeczeństwem polskim“, głośne, zmartwychwstańcze:

„Na zdar!“

Hosanna!

„Grzmiały okrzyki, rzucono kwiaty, powiewano kapeluszami. Płonienły się oczy, zaróżowiały się twarze. Wszyscy uczestnicy i świadkowie powitania Czechów w Warszawie mieli wrażenie, że rozgrywa się przed niemi doniosła historyczna chwila“.

Tak pisał nawet radykalno-demokratyczny *Przegląd Poranny* w artykule p. n. „Przed nowym Grunwaldem!“ i w stylu coraz większego entuzjazmu, dla wykazania, że Postępowa Demokracja pawiem jest postępu i papugą.

„Niewątpliwie jest coś szlachetnie pięknego w tym przejawie gorącej sympatji, jaką ludność Warszawy okazuje cudzoziemcom w imię humanitarnego hasła braterstwa ludów. W manifestacjach tej sympatji bierze serdeczny udział lud warszawski...“ Nawet przekupki z Hal targowych, dzieci, starcy, rozrzewnieni do płaczu na widok pobratymców Żiżkowych, chłopcy wilanowskie, całujące się z gośćmi, jak Lech z Czechem.

Ale dlaczego demonstrujemy braciom husyckim „katolickie pogłębienie“ cywilizacji polskiej i prowadzimy ich po świątyniach katolickich? — pyta P r a w d a, zdumiona, że jej postępowe szaty „braterstwa narodów“ mają wygląd „dziwnie podobny“ do — klerykałizmu.

Dlaczego „na pierwszej zbiorowej uczcie szereg polskich toastowych mówców złożony był z samych utytułowanych nazwisk“ z wyjątkiem Dmowskiego? Dlaczego „w obecnych festynach lud ten tylko do dekoracyjnych przeznaczony był celów?“ — woła organ demokracji radykalnej, zdumiony, że postępową ideę „braterstwa narodów“ słowiańskich reprezentują książęta i hrabiowie z „Polityki Realnej“.

Spełniła się sprawiedliwość na szali wieków i wymierzono każdemu według zasług jego. Postępowcy, dopuszczeni do stołu pańskiego, siedli po prawicy i lewicy. Dano im kielich wina pańskiego do rąk i włożono im złote słowa w usta.

Kto im włożył złote słowa w usta? Niewidzialny duch Boży, który się jeszcze nie objawił, nowy duch Chrystusa narodów, który się zbliżał...

Tylko oblubieńcom dano widzieć objawienie ducha Bożego. Książę Lubomirski, oblubieniec, widział go na własne oczy. I widział, jak duch stanął przy p. Janie Lorentowiczu i kładł mu złote słowa w usta.

„Zabrał głos p. Jan Lorentowicz:

„Od kilku dni przeżywamy szczególny moment historyczny... Cóż sprawiło, że udajemy tak łudząco niezależność? Że od kilku dni na ulicach Warszawy rozbrzmiewają głosy: Niech żyje Polska!

„Sprowadził je, panowie, twórczy gienjusz narodu; sprowadził je ten, jak mówił Słowacki, duch wieczny rewolucjonista...

„U nas w Polsce ten duch przemówił przez usta naszych wielkich romantyków... Jesteśmy dumni z tej literatury i sztuki i jej to zawdzięczamy waszą gościnę.

„Cześć panowie, temu duchowi!“

Książę Lubomirski ukłonił się duchowi.

Polityka Realna ukłoniła się duchowi.

Narodowa Demokracja ukłoniła się duchowi.

Postępowa Demokracja złożyła cześć duchowi.

„Całe społeczeństwo polskie“ składało hołd duchowi.

Wszystkie „Duchy“ świętochowskiego deklamowały hymny na cześć ducha.

Duch pośpieszył się objawić.

Udawano łudząco niezależność. Łudząco udawały ją natchnione duchem mowy, płomieniejące oczy, zaróżowione twarze.

„Możnaby nawet twierdzić, że od dni konstytucyjnych aż po dzień dzisiejszy nie było ważniejszego politycznego momentu ponad te, które Warszawa przeżyła w trzech ostatnich dzionkach...

„Na nic by się przydały wszelkie temu przeczenia lub różnorodne „pomniejszanie faktów“. Mamy wielką gromadę świadków, przeszło dwustu przedstawicieli jednego z najdzielniejszych narodów słowiańskich, którzy widzieli wprost żywiołowy wylew uczuć naprawdę szczerych i naprawdę z głębi serca pochodzących. I to świadectwo będzie we współczesnej historii naszej złotą kartą, będzie wielkim naszym zaszczytem!“

Tak pisał jeden z dzienników postępowych.

Poseł Nakonieczny mówił:

„Miała Warszawa nieraz chwile smutku, miała i chwile radości, mało jednak takich jak dzisiejsza, którą sprawił nie realizm polityczny, nie jakieś wyrachowanie, lecz owe nici niewidzialne, jakie nas wiążą z Czechami...“

Kto miał w rękę „owe nici niewidzialne“?

Gdzie przebywał duch Słowackiego, duch wieczny rewolucjonista, duch romantyków polskich, któremu „zawdzięczamy waszą gościnę“ czeską?

Dopiero w ostatni dzień festynów polsko-czeskich objawił się publicznie ten duch z łaski drugiego, pokrewnego mu ducha — księcia Lubomirskiego.

Wniebowziętym, rozanielonym pobratymcom Czechów, łudząco udającym niezawisłość, ks. Lubomirski objawił, że zawdzięczają swoje łudzące zamartwychwstanie pozwoleniu Skałona i tym „warunkom“, które Skałon postawił organizatorom łudzącej niezależności. Warunki zostały dotrzymane. Verbum nobile księcia!

Verbum nobile „całego społeczeństwa polskiego“. I tym razem djabeł-Skałon nie potrzebował upominać się o dochowanie słowa, jak djabeł-Boruta w „Zaczarowanym Kole“ Rydla. Szlachetne warunki zostały z obu stron dochowane.

„Nie bez pewnego zdziwienia — pisze dziennik postępowy — dowiedzieliśmy się w dniu ostatnim czeskich przyjęć, że tym razem rozluźnienie tych powijaków (z całunu ograniczeń policyjno-prawnych) związane było jednak z pewnymi warunkami, których dotrzymanie stało się punktem ambicji organizatorów całej uroczystości. I niepodobna im tego punktu ambicji brać za złe; jest rzeczą nietylko odpowiedzialności politycznej, ale i politycznej powagi, aby ściśle wywiązywać się z danych przyrzeczeń, bez względu na okoliczności, jakie je spowodowały.

„Gdyby tych przyrzeczeń zbrakło, nie jest nieprawdopodobieństwem przypuszczać, że przyjęcie Czechów nie przyszłoby do skutku“.

Duch-Skałon, któremu „zawdzięczamy Waszą gościnę, od którego szły „owe nici niewidzialne, jakie nas wiążą z Czechami“.

Duch, łudzaco udający „ducha wiecznego rewolucjonistę“ Słowackiego, ducha „naszych wielkich romantyków“ i ducha Chrystusa narodów.

O Chryste panie! I ty, Chrystusie narodów!

...Duch-Skałon...

„Cześć, panowie, temu duchowi!“

Postępowy demokrato, co jak nadęty paw postępu i jak pstrobarwna papuga reakcji chodzisz po ziemi polskiej: na ziemi tej, na której nie dają złożyć po królewsku zwłok Słowackiego, ty razem „z całym społeczeństwem polskim“, w stuletnią rocznicę urodzin Słowackiego, złożyłeś do „słowiańskiego“ grobu tego Króla-Ducha i wszystkich Królów-Duchów romantyzmu polskiego. I dźwignąłeś chram nowemu duchowi, duchowi Skałona.

Postępowy demokrato, co bezdomnie tułasz się po ziemi polskiej, stań! I powiedz: w tej ziemi leży głęboko zakopany duch Słowackiego i ja sam pomagałem kopać mu głęboki grób. A stojąc nad grobem, który przez całe swoje życie kopaleś, nie dumaj długo, bo czekają na cię festyny polsko-czeskie, zgotowane przez nowego ducha. Powiedz tylko: tu leży powalony przezemnie Król-Duch, — i znowo prędko trzy wolnomyślnie a postępowe pacierze za spokój jego duszy.

I odchodząc, gdzie przebywa nowy duch, wołaj: „Cześć, panowie, temu duchowi!“ i razem z „całym społeczeństwem polskim“ krzycz: „Na zdar!“

A wnet bratnie echa odpowiedzą ci z Moskwy i ze wszystkich krańców świata.

Gdyby nie było ugody z Borutą-Skałonem, to możliwe, że „przyjęcie Czechów nie przyszłoby do skutku. Zakaz odnośny byłby, zaiste, jedną z najwymowniejszych ilustracji aktualnego stanu „kwestji słowiańskiej“ na naszym gruncie...

„Organizatorowie przyjęć, przyjmując na siebie tę kontrolę (policyjną), pozbawiali się możliwości obserwowania tego barometru (któryby pokazał światu rzeczywisty stosunek rządu rosyjskiego do słowiańskiego narodu Polski) i przyczynili się do utrwalenia wśród gości czeskich wyobrażeń, że jednak zakres swobody publicznego słowa jest w naszym kraju szeroki i uznania godny...“

To jeden atut caratu w jego polityce zagranicznej.

„Uwalniając zaś od kłopotliwej interwencji czynniki biurokra-

tyczne, postawili samych siebie na niezmiernie trudnym i przykrym stanowisku, które istotnie doprowadziło do jedynego w dniach uroczystych rozdzwiewku, jakim się stało przerwanie mowy przedstawielowi polskiego włościństwa“.

To jedyny rozdzwiewek w polsko-czeskiej radości.

„Duch“, który trzymał w swych rękach „niewidzialne nici“, kierujące grą aktorów w szopce polsko-czeskiej, nie stanowił żadnego „rozdzwiewku“. Przeciwnie.

„Pomimo tego rozdzwiewku jednak dni czeskie upłynęły pod względem politycznym równiej i pomyślniej, niż można było przewidywać. Czujemy się po nich wzmocnieni, pokrzepieni i skupieni; jakby jakiś ożywczy prąd elektryczny wstrząsnął omdłym organizmem i wprowadził weń uzdrawiające pierwiastki“.

W stuletnią rocznicę Słowackiego piszcie, panowie, artykuły, w których burżuazyjna Polska „łudząco udaje“ cześć dla wielkiego wieszczu szlacheckiego romantyzmu i mistycyzmu. Składajcie hołd fałszu niebotycznemu Królowi-Duchowi. Fałsz wasz pozostanie fałszem. Po tych artykułach i hołdach wcale nie „czujecie się wzmocnieni, pokrzepieni i skupieni“. Nie od Słowackiego idzie ten „ożywczy prąd elektryczny“, który „wstrząsa“ waszym „omdłym organizmem i wprowadza weń uzdrawiające pierwiastki“.

Wszystko to czerpicie z nowego „ducha“, który jest waszym.

Uroczyste hołdy, składane Słowackiemu przez Polskę burżuazyjną, to jubileusz fałszu. Prawdziwy jej jubileusz, jej prawdziwe oblicze jubileuszowe — to hołdy polsko-czeskiemu zbrataniu słowiańskiemu.

Najwstrętniejsze oblicze w tym prawdziwym jubileuszu burżuazyjnym — to oblicze Postępowej Demokracji.

Ona „nie ma żadnych złudzeń“ słowiańskich, więc raduje się, że złudzenia nie pękły w obliczu świata, że „niewidzialne nici“ pozwoliły je ukryć, że doszła do skutku ugoda ze Skałonom, której „zawdzięczamy gościnę“ czeską.

Lud dał się omamieć. Zduszony proletarijat socjalistyczny, bez prasy legalnej, bez cienia wolności swoich ruchów, nie mógł temu przeszkodzić. Postępowa Demokracja mogła w swojej prasie przestrzec przed „złudzeniami“, od których uważa się za wolną, usiłować oderwać ten lud od hecy słowiańskiej. Mogła głośno protestować przeciw machinacjom „ducha“ o „niewidzialnych niciach“ — wołała bez walki oddać ten lud na łup złudzeń, wołała własnym entuzjazmem przyczynić się do polityki Skałona-Lubomirskiego.

Można zrozumieć tych, co mają „złudzenia“, co mówią, że wierzą. Ale „bez złudzeń“, bez wiary skakać, jak chce Skałom — to szczyt nikczemności, to najgłębsza głębia upodlenia politycznego.

Więc stworzyli nowe złudzenie, że to „braterstwo narodów“, że to „postępowa“, „humanitarna“ idea tkwi w entuzjazmie polsko-czeskim, i w ten sposób jeszcze bardziej upiększyli „łudząco udawanie niezależności“. I paradowali jeszcze depeszą Kramarza, twierdzącego, jakoby nie był „słowianinem, choćby się nim nazywał, ten, kto osłabia i uciska naród słowiański, pragnący i mogący być szanem przeciw wspólnym wrogom“.

Ale sami postępowi demokraci swojemi mowami bankietowemi pospieszili uspokoić świat, że Rosja wcale nie dusi Polaków, którzy mają sporo wolności słowa i mogą tak świetnie, „łudząco udawać niezależność“. Ale sama ta depesza jest tylko atutem w rękach Kra-

marzów do prowadzenia zagranicą na rzecz Rosji polityki caro- i rusofilskiej.

Braterstwo zaś narodów jest braterstwem narodów, a nie braterstwem narodów słowiańskich. To ostatnie ma tyleż wspólnego z braterstwem narodów, co pangiermanizm. Jedno i drugie jest prostym przeciwieństwem idei braterstwa narodów. Ale przenicowana idea pangiermańska, której odwrotna strona nazywa się panslawizmem, i której wymyślono nazwę „postępowej, humanitarnej“ idei braterstwa narodów, aby ukryć „złudzenia“ moskalofilskie — ta idea potrzebna jest caratowi w jego polityce zagranicznej oraz jego aljantom zagranicznym.

Ci aljanci mają znów tyleż wspólnego z „ideą“ braterstwa narodów, co car Mikołaj albo cesarz Wilhelm. I ci aljanci, którzy obdarzają swoją pomocą dzisiejszą, carską Rosję, pośpieszyli z telegramami gratulacyjnymi do Warszawy. Gdy p. Lorentowicz wołał: „Cześć, panowie, temu duchowi!“ mnóstwo telegramów z nad Sekwany odpowiadało: Cześć! Niech żyje braterstwo słowiańskie! Albo: solidarność słowiańska! Albo: jedność słowiańska!

W rzeczywistej polityce oznaczało to: zwiększenie wpływu Rosji, aljantki francuskiej, wzmocnienie potęgi caratu dla korzyści Francji; dla Polski zaś: wzmocnienie rządu gubernji Chełmskiej.

I gdy p. Lorentowicz oddawał cześć „temu duchowi“, znalazł również bratnie echo w Moskwie: to prezes moskiewskiego towarzystwa słowiańskiego, to sam sławny Czerep-Spirydowicz przysłał Warszawie telegram radosny i bił brawo.

Dają nam brawo obcy i każą grać dalej,
Zawsze tak Polak skakał, jak mu oni grali.
Od walca i kadryła zaczął się bał w kraju,
A kończy się — kozakiem, jak było w zwyczaju.

Jan z Czerniakowskiej.

Przegląd polityki międzynarodowej.

Stajnia Augjasza. — Liwadja i Raconigi. — Traktat chińsko-japoński. Japonja w Korei.

Wybory w Moskwie, gdzie „tuzy“ kapitalistyczne, świecąc swą nieobecnością przy wyborach, zgotowały klęskę wyborczą październikom, wykazały, jak opada wiara kliki fabrykancko-kupieckiej w cuda, które obiecuje na polu międzynarodowej polityki czynić p. Izwolski: zagranicą przeciąć pętlicę, która wewnątrz państwa, nie przecięta orężem rewolucji, nie może być rozplątana „spokojną“ dłońią kontrrewolucji. Ten nastrój niewiary ku zagranicznej carskiej polityce tłumaczy wystąpienia organu październikowców, który grozi wprost ministerjum spraw zagranicznych odmówieniem kredytów przez Dumę. „Wszelka cierpliwość ma swe granice — pisze organ patrijotów bawelnianych¹⁾ — i o tym winni pomyśleć nasi dyplomaci“; po tej fili-

¹⁾ Gołos Moskwy z 13 października „Złostnyje kunktatory“.

pice gromi Izwolskiego, że nie spełnia danej przed czterema laty obietnicy, nie przeprowadza reformy swego ministerjum, które jest zbiorem niedołęgów. Nie myślimy bynajmniej kruszyć kopji ani w obronie Izwolskiego, ani też jego augjaszowej stajni, ale w napściach urzędowego organu październikowców niesposób nie widzieć iście „liberalnego“ okłamywania się: Jąkgdyby gnijące państwo mogło zwyciężać w międzynarodowych zapasach jeno zapomocą „dobrej dyplomacji“ oraz jąkgdyby biurokracja carsko-rosyjska mogła wyłaniać z siebie lepszą dyplomację, aniżeli posiada.

Izwolski czyni, co może: ponosi klęski, ponieważ Rosja obezwładniona przez kontrrewolucję, nie posiada obecnie siły ani ekonomicznej, ani politycznej. Kapitulację wobec Austrii w marcu bieżącego roku prasa Izwolskiego starała się przedstawić jako krok, wymuszony przez Niemcy. Czym wytłumaczy kapitulację wobec Turcji, dokonaną w Liwadji, w Krymie, gdzie car i carowa zwykli reparaować sobie nerwy, nadwerężone strachem przed zamachami? Albowiem jako zwycięzców witała prasa turecka poselstwo tureckie, wracające z Liwadji. Według wiadomości suworinowskiego gadzinowca¹⁾, z którego czerpiemy te wiadomości, a który napewno nie ma najmniejszego powodu do przechwalania się „zwycięstwami“ swych chlebowców, Rosja wyrzekła się koncesji kolejowych, które posiadała w Małej Azji, wyrzekła się prawa do posiadania w Turcji własnych poczt oraz obiecała uznać zupełną przynależność Krety do Turcji. Kreta — pął ją sześć! — jęczy Nowoje Wremja, ale koleje małaazjatyckie posiadają wartość strategiczną. Petersburski zaś Herold dodaje, że zrzeczenie się przez Rosję prawa do posiadania poczt dotyka niemile inne państwa (ma znaczyć przedewszystkim Anglję), którym trudno będzie upierać się nadal przy tym prawie. Jak wiadomo, Anglja chciałaby prawo to nieco drożej sprzedać i nie będzie nic dziwnego, jeżeli „przyjazny“ szturchaniec w bok od Anglji będzie owocem polityki Izwolskiego. A kto wie nawet, czy nie jedynym owocem, gdyż bardzo wątpliwym jest, by cena, za którą Izwolski zrobił Turcji wymienione ustępstwa, rychło została zrealizowana. Turcja mianowicie miała obiecać swą zgodę na otwarcie Dardanelów dla floty rosyjskiej, o ile sprawa ta zostanie na drodze międzynarodowej załatwiona. Że nie zgodziła się na natychmiastowe otwarcie choćby dla jednorazowego przejazdu, rzecz jasna, gdyż inaczej nie byłby się car narażał na dalekie wycieczki po Europie nawet w opancerzonym pociągu i pod opieką Hartingów i Azefów. Czy zaś Anglja się na otwarcie Dardanelów zgodzi, jest rzeczą bardzo wątpliwą, gdyż nadzwyczaj ostrożna, nieufna i daleko patrząca dyplomacja angielska bierze w rachubę nawet możliwość powstania floty rosyjskiej na Czarnym morzu oraz możliwość zmiany stosunku Anglji do Rosji, coby wszystko razem miało znaczenie dla bezpieczeństwa kanału Suezkiego, najbliższej drogi do Indji. Ustępstwa więc, uczynione Turcji, oświetlają jaskrawo całą bezsilność zagranicznej polityki Rosji, gdyż bez całkowitego jej poczucia nie wyrzeka się żadne państwo zupełnie bezinteresownie dotychczasowych pozycji, tymbardziej takie państwo jak Rosja, która przynajmniej w wyobraźni swych urzędowogadzinowych organów czuła się nieomal już panem Konstantynopola.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji chwytą się carat szopki, aby tylko zdawało się burżuazyjnemu społeczeństwu w Rosji, że jednak

1) Nowoje Wremja z 15 października.

nie jest tak źle, że carat jednak coś znaczy w polityce międzynarodowej, aby choć coś wybić dla rosyjskiego kapitału. Ta potrzeba blagi tłumaczy hałas, jakim carat otoczył widzenie się Mikołaja z królem włoskim w Racconigi. Oto rzeczywiste znaczenie tego wypadku. Aczkolwiek Włochy stanowią od roku 1882 trójprzymierze z Austrią i Niemcami, zajmowały w nim zawsze specjalne położenie. Posiadając bardzo długą granicę morską, trudną do obrony dzięki małej ilości portów i t. d., Włochy musiały zawsze liczyć się z mocarstwami, posiadającymi znaczenie na morzu Śródziemnym, z Francją i Anglią. Z chwilą, gdy silnie zarysował się antagonizm angielsko-niemiecki, Włochy musiały w osobnych traktatach, zawartych z Anglią, zaznaczać swą neutralność wobec przeciwnictwa angielsko-niemieckiego. Od czasu, gdy zanikł antagonizm francusko-włoski, który początkowo istniał z powodu popierania Watykanu przez będącą u steru po pogromie Komuny reakcję klerykalną we Francji, a potem zaostrzył się wskutek zajęcia przez Francję Tunisu, na który chrapkę miały Włochy, konieczność przynależenia do trójprzymierza stała się dla Włoch mniej silną. Przeciw trójprzymierzowi buntowała się też ciągle nacjonalistyczna inteligencja włoska, która nie mogła Austrii zapomnieć ani lat ciemnienia przez nią Włoch, ani obecnych przesładowań włoskiej ludności w Tryjeście i w Tyrolu. Mimo to pozostawały Włochy w trójprzymierzniu a to z dwóch powodów: nasamprzód, ponieważ wystąpienie zeń oddałoby je całkowicie na łaskę i niełaskę Anglii i Francji, a po drugie, że właśnie dzięki antagonizmowi do Austrii muszą się z nią znajdować w przymierzu, jeżeli nie chcą wojny lub zupełnego wyczerpania kraju zbrojeniami nad siły. Tę sytuację „przyjaznego przeciwnictwa“, że użyję dowcipnego wyrażenia tow. Wiktora Adlera z jego mowy o zbrojeniach i polityce zagranicznej, wygłoszonej na zjeździe w Reichenbergu, pogorszyła ostatnio aktywna polityka Austrii na Bałkanie. Aneksja Bośni i Hercegowiny wywołała w Rzymie obawy, aby Austrija nie posunęła się dalej na Bałkanie, by w pochodzie swym nie była zmuszona zająć Albanji i przez zajęcie portów Walony i Antivari nie usadowiła się naprzeciw portu włoskiego w Brindisi, nie zamknęła drogi Włochom z morza Adriatyckiego. Ta obawa uczyniła dla Włoch pożądanym wystosowanie pod adresem Austrii ostrzeżenia, byta nie posuwała się zbyt daleko, i zbliżyła Włochy do Rosji. Dyplomacja włoska nie wierzy prawdopodobnie zbyt w siłę Rosji, w jej zdolność założenia zbrojnego weta przeciw dalszej aktywnej polityce na Bałkanie. Ale jak żadne państwo, tak i Włochy nie wyrzekają się polityki owego Żyda, który o zmroku w lesie idąc, wdziawszy jarmużkę na pięść, wykrzykiwał dla dodania sobie odwagi: my są dwa! aż echo po lesie brzmiało. Potrzebniejsze im to tymbardziej, że w r. 1913 kończy się okres trójprzymierza, zagwarantowany dotychczasową umową, i rząd włoski pragnąłby z nowym adentem w rękę zdobyć dla siebie lepsze warunki przy wstąpieniu ponownym do trójprzymierza: chodzi mu o sprawy traktatów handlowych, przesładowania Włochów w Austrii, politykę bałkańską i t. d. Jeżeli to posunięcie pionka na szachownicy dyplomatycznej wywrze pożądaną dla Włoch skutek, — na podstawie dotychczasowych głosów prasy austriackiej, która z wyjątkiem Reichspost i Vaterlandu, przesadzających w interesie nowych zbrojeń, zachowuje się bardzo sceptycznie wobec włosko-rosyjskiego zbliżenia — wygrana jest po stronie Włoch: uzyskają one wygodniejszą pozycję

w trójprzymierzu. Ale co za powód do uciechy w Petersburgu i... w Warszawie?

„Spotkanie Monarchy rosyjskiego z królem włoskim należy niewątpliwie do najwybitniejszych wypadków doby obecnej na terenie polityki międzynarodowej“ – pisze bezpłatny warszawski gadzinowiec „narodowo-demokratyczny“ w zgodzie z grubo płatnym petersburskim¹⁾. „W każdym razie Włochy i Rosja mogą się zabezpieczyć na przyszłość przed agresywną polityką Austrii, gwarantując sobie zobopólną pomoc“ dodaje dnia następnego²⁾. Organowi polskiej kontrrewolucji nie przychodzi nawet na myśl powiedzieć, jak to Rosja stołypinowsko-azefowska może komu cokolwiek „zabezpieczyć“. Czyżby tak naprzykład, jak zabezpieczyła na wiosnę tego roku Serbji poparcie przeciw Austrii? Pan Dmowski wykazał sam w swej książce „Rosja, Niemcy i kwestja polska“, że carat nie może się „zabezpieczyć“ przed rewolucją, jak więc każe mu się teraz zabezpieczać przed aktywną polityką Austrii na Bałkanie i zabezpieczać przed nią Włochy? Ale pan Dmowski i jego Sadzewicze nie cierpią na rozmięczenie mózgu, nie stracili odrazu pamięci: basują tylko oni świadomie rosyjskiej prasie, i tej, co krzyczy hura! za brzęczące ruble, i tej, co czyni to dla podniesienia nastroju „społeczeństwa“, – właśnie dlatego, że choć kopani przez rosyjską kontrrewolucję i smagani skorpionami przez biurokrację, wprzęgli się do rydwanu polityki zagranicznej, aby ratować „słowiańszczyznę“, to znaczy ratować za pomocą carskich bagnatów zysk kapitalistyczny przed rewolucją robotniczą.

Jeżeli zjazd w Racconigi ma nawet jakiegokolwiek znaczenie dla Włoch – może to pokazać tylko przyszłość – to w każdym razie nie zmienia politycznie nic dla Rosji. Tak z porozumieniem, jak i bez niego, starałyby się Włochy przez dbałość o własną skórę stawiać opór austrjackiej polityce na Bałkanie, porozumienie się więc z niemi ani o jotę nie powiększa siły Rosji do oparcia się Austrii. Charakterystycznym zaś dla oceny roli, jaką w zagranicznej polityce caratu grają interesy przemysłu, jest fakt, że w całym tym hałasie gazeciarskim, wszczętym z okazji zbliżenia włosko-rosyjskiego, tak mało wspomniane są pewne realne korzyści, które kapitał rosyjski osiągnie z tego zbliżenia. Według wiadomości fachowych pism niemieckich, mają Włochy poświęcić więcej uwagi kwestji przywozu zboża i węgla z Rosji. Produkcja zbożowa Włoch nie wystarcza na pokrycie potrzeb wzrastającej wciąż ludności robotniczej; wobec łatwości przewozu rosyjskiego zboża z portów morza Azowskiego i Czarnego powiększenie wywozu zboża rosyjskiego ma pewne szanse. Tożsamo można powiedzieć o przywozie węgla południowo-rosyjskiego. Dotychczas potrzeby włoskiego przemysłu zaspakajał węgiel z Cardiffu. Obecnie mają być rozpoczęte starania dla sprowadzenia do Włoch węgla z okręgu donieckiego, na który już od lat zwraca uwagę Lucioli, dyrektor zarządu ceł włoskich. Pisząc o Racconigi, nie sposób nie zwrócić uwagi na przyjęcie, zgotowane carowi przez liberalną i radykalną, republikańską prasę włoską. Bardzo słusznie przypomina wiedeńska Arbeiter-Zeitung, że cara-wieszatela, cara ekspedycji karnych, cara krwawej kontrrewolucji, której ofiarą padły dziesiątki tysięcy, witała jako przyjaciela Włoch ta sama inteligencja burżuazyjna, która dopiero co piętnem hańby znaczyła czoło Alfonsa hiszpańskiego za śmierć wol-

1) Głos Warszawski z 24 października: Podróż monarsza.

2) Głos Warszawski z 25 października: Włochy i Rosja.

nomyślnego nauczyciela Ferrera. Fakt ten powinien posłużyć za jeszcze jeden dowód, że wobec faryzeuszowych wybuchów oburzenia inteligencji jako warstwy społecznej powinien proletariąt pozostawać „kalt, wie eine Hundeschnauze“, jak mówią Niemcy, i nie mieszać swych uczuć szczyrych jak złoto z wytartą, a jak cymbał brzęczącą miedzią ich deklamacji i protestów.

Od tego zełganego „zwycięstwa“ carskiej dyplomacji przechodzimy do niewątpliwej klęski caratu na Dalekim Wschodzie: jest nią traktat chińsko-japoński. Traktat ten reguluje cały szereg kwestji spornych w południowej Mandżurji. Wyłuskana z zewnętrznych łupin treść jego jest następująca: Japonja uznaje przynależność Mandżurji do Chin, wzamian za co jednak otrzymuje prawo budowania pewnych linii kolejowych, niezbędnych dla celów strategicznych, zwróconych przeciw Rosji, zyskuje prawo eksploatacji kopalń węgla; nadto została według twierdzeń kilku pism zawarta umowa wojskowa. Traktat ten ustala na pewien czas stosunek Chin do Japonji, który tyle zmiennych kolei w krótkim stosunkowo czasie przechodził. Za ledwie Japonja poczęła stawiać pierwsze kroki w kierunku europeizacji, już skierowała swój wzrok na Koreę, hołdownicze Chinom państwo. Przyszło w r. 1894 do wojny między Chinami a Japonją i Chińczycy przekonali się, jak niesłusznie lekceważyli „chytłych głupców“ japońskich. Ale kapitał europejski, który przed rosyjsko-japońską wojną uważał się za jedynie uprawnionego do kolonialnego rabunku na Wschodzie, zatrzymał Japonję w pochodzie zwycięskim. Port Artura zabrała Rosja, Niemcy zabrały wkrótce potem Kiaoczau, Anglja Wejhajwej. Jak pantera, przyczajona do skoku, gotowała się Japonja przez lata całe pocichu do dalszej walki. Zanim mogła pomyśleć o jakichkolwiek zdobyczach na azjatyckim lądzie, musiała rozprawić się z Rosją, swym głównym konkurentem. W przeciwieństwie do francusko-niemieckiego antagonizmu, który spowodował między innymi że Niemcy po wojnie chińsko-japońskiej popierały Rosję na Dalekim Wschodzie, aby ułagodzić zaostrenie jej stosunku do siebie, przez co wydarty został łup Japonji, antagonizm angielsko-rosyjski w środkowej Azji, obawa Anglji o Indje ułatwiła Japonji tym razem zwycięstwo, wzmacniając ją angielskimi kapitałami i poparciem angielskiej dyplomacji.

Po zwycięstwie Japonji nad Rosją, które spowodowało na Dalekim Wschodzie zupełny przewrót w nastroju ludności azjatyckiej, cała kapitalistyczna prasa Europy poczęła pisać o japońsko-chińskim zbrataniu i jego niebezpieczeństwach dla kultury. Ale po krótkim czasie wśród młodej chińskiej burżuazji rozpoczął się ruch bojkotowy, skierowany przeciw Japonji, między rządem chińskim a japońskim doszło do zatargu z powodu przemykania broni przez Japończyków dla chińskich powstańców, w ostatnich miesiącach doszło do ostrego konfliktu z powodu kolei mandżurskich, przebudowywanych przez Japonję wbrew woli Chin. Prasa europejska trąbiła znów o blizkiej wojnie chińsko-japońskiej. W świetle obecnego traktatu sprawy te mają następujący wygląd: niema mowy naturalnie o absolutnej solidarności chińsko-japońskich interesów. Chiny, skupiające siły dla przebudowy swego ustroju państwowego w duchu, odpowiadającym bardziej potrzebom kapitalistycznego rozwoju, chciałyby się jednakowo pozbyć wpływu państw europejskich i Stanów Zjednoczonych, jak i Japonji. Nie mogą one jednak przez stawianie oporu ekonomicznym i politycznym żądaniom Japonji narazić się na

ostrzy zatarg z tą ostatnią. Japonja jest najbliższą Chin sąsiadką, a przeto najbardziej niebezpieczną. Na sojuszników przeciw niej w Europie trudno liczyć. Anglja musi skupiać swe siły na morzu Północnym, nadto znajduje się dotychczas w przymierzu z Japonją, Stany Zjednoczone Ameryki, główny w przyszłości konkurent Japonji, nie mogą aż do ukończenia budowy kanału panamskiego wchodzić w grę jako sojusznik wojenny. Rosja nie przedstawia siły wojskowej, a gdyby ją przedstawiała, byłaby dla Chin niemniej groźną od Japonji. Wobec takiego położenia rzeczy nie wypadało Chinom nic innego, jak zawrzeć traktat z Japonją. Dobre stosunki z nią mają dla Chin bardzo ważne znaczenie ze względu na usługi, jakie Japonja może Chinom oddać przy organizacji wojska, szkół i t. d. Dla Japonji posiada traktat ten, bez względu na to, czy rzeczywiście została zawarta konwencja wojskowa, czy nie, znaczenie przymierza przeciw Rosji. Przez uznanie panowania Chin w Mandżurji Japonja zapewniła sobie pomoc Chin w razie najmniejszych prób Rosji, aby w północnej Mandżurji w duchu dawnej polityki zagarniać to sporne terytorjum. O zaostrzeniu się sytuacji na Dalekim Wschodzie świadczą nie tylko aliamy pism Nowoje Wremia i Rjecz, które w ostatnich miesiącach coraz żywszą uwagę poświęcają sprawom Dalekiego Wschodu, ale też np. fakt, że wiedeńska Reichspost, jeden z najlepiej w sprawach polityki zagranicznej poinformowanych organów, mogło z okazji spotkania w Racconigi pisać, że rząd carski obawia się, by Austryja nie wyzyskała dla swych planów mogącej wkrótce wybuchnąć wojny rosyjsko-japońskiej. Wobec tego zaostrzenia się sytuacji na Dalekim Wschodzie, którego symptomatem są podobne aliamy — należy je bądź co bądź tylko jako symptomy traktować — ulgę niezmierną, mimo oficjalnie wylewanych łez krokodylowych, sprawiła dyplomacji rosyjskiej śmierć japońskiego dyplomaty markiza Ito, który padł z rąk koreańskiego patrioty. Jest ona jaskrawym dowodem, że Japonja posiadała w Korei kraj, który może jej dużo jeszcze sprawić trudności i znacznie krępować jej swobodę ruchów. Japonja posiadała w r. 1905 protektorat nad Koreą. Formalnie posiada Korea jeszcze swego cesarza, ale w rzeczywistości jest tylko japońską prowincją. Japonja zniosła osobe wojsko koreańskie, osobną administrację, sądownictwo, zaprowadzając wszędzie na ich miejsce swoje instytucje. Nawet przedstawicielstwo Korei wobec zagranicy znajduje się w rękach japońskich; mimo istnienia w Korei t. zw. zasady „otwartych wrót“, polityka ekonomiczna Japonji daje kapitalistom innych państw, zwłaszcza Ameryki, ustawiczny powód do skarg. Ludność koreańska stawia silny opór opanowaniu kraju przez Japończyków, choć nie ulega wątpliwości, że administracja japońska i t. d. dodatnio wyróżnia się od starej koreańskiej. Im dłużej trwać będą rządy Japonji w Korei, tym bardziej wzrastać będzie nienawiść ludności ku niej. Do Korei emigrują przeważnie kupcy i kramarze japońscy, którzy starają się szybko wzbogacić kosztem ludności koreańskiej, wyzuwać ją z ziemi i t. d. O emigracji ludności rolniczej, która by własną pracą zamieniała odłogiem leżące pola w orną ziemię, niema nawet mowy. Stopień kultury rolniczej nie jest w Japonji wyższy aniżeli w Korei, to też ludność chłopska z Japonji nie miałaby po co emigrować do Korei, gdzie 10 milionów chłopów nie jest w stanie wyżywić się na już uprawnej ziemi. Dla chłopów tych oznacza napływ japońskich kupców proletaryzację. Fakt ten porusza ich do głębi i buntuje przeciw Japończykom. Dwa blisko lata toczyła

Japonja walkę z Koreańczykami, a że jej nie uważa za skończoną, o tym świadczą ostrożności, któremi otacza każde ogłoszenie nowej reformy, usuwającej którąś z oznak samodzielności Korei. Zamordowanie markiza Ito, najwybitniejszego japońskiego męża stanu, który od r. 1905 do lata bieżącego roku stał jako namiestnik na czele Korei, świadczy, że walka ta nie skończyła się. Mianowanie po ustąpieniu Ito na miejsce jego margrabię Sone, zwolennika energiczniejszej japonizacji Korei, oraz oświadczenie rządu po zabiciu Jto, że polityka Japonji w Korei nie zostanie zmieniona, świadczą, że można się jeszcze i w tej części Dalekiego Wschodu spodziewać nowych objawów budzenia się wewnętrznych antagonizmów.

Obserwator.

Krytyka i bibliografia.

Etyczny pogromca Marxa.

Mamy przed sobą nowe dzieło rosyjskie: M. J. Tuha na Baranowskiego Zasady ekonomji politycznej.¹⁾ Autor poświęca książkę swą pamięci Quesnaye'a, Goshena, i Marxa! Należy to przypisać przykrej konieczności, jeżeli żaden z powyżej wymienionych nie zdobył się na protest przeciwko zaszczytowi, jakim obdarzył go autor. Jak wiadomo, Tuhan jest renegatem z obozu marksizmu i, jak to zwykle czynią renegaci, z niezwykłą zaciekłością stara się wszystko, co niegdyś uznawał, teraz bezwzględnie deptać. Najkomiczniejsze jest jednak to, że Tuhan wszystko, co jego dzieło ma w sobie wartościowego, zapożycza żywcem od Marxa i nawet tam, gdzie mu się zdaje, że zupełnie Marxowi się przeciwstawia, w gruncie rzeczy stoi na jego stanowisku, starając się napróżno całym szeregiem najróżnorodniejszych chaotycznych myśli rdzeń kwestji przedstawić w zgola innym oświetleniu. Rzecz prosta, że autor pomimo to nie jest marksistą, bo nie jest myślicielem konsekwentnym, ciągle sam sobie przeczy i stara się pogodzić poglądy, które z góry bezwzględnie nawzajem się wykluczają. Już samo zadanie, jakie w przedmowie sobie stawia, jest rękomią nieuchronnego rozbicia się autora o trudności niepokonane. Chce on pogodzić teorię Marxa z teorią austrjackiej szkoły w ekonomji politycznej, co mu się też w zupełności nie udaje.

Układ książki jest następujący: Część I. Ogólna nauka o gospodarstwie. Część II. Produkcja. Część III. Wymiana. Część IV. Przemieszczanie. Część V. Kapitalistyczne gospodarstwo w całości. Każda z tych części rozpada się na szereg rozdziałów, w których autor roztrząsa mniej więcej wszystko to, co zwykle w lepszych podręcznikach bywa uwzględniane. Należy zaznaczyć, że z punktu widzenia dydaktycznego książka absolutnie nie zadawała. Ani układ, ani opracowanie materiału nie odpowiada wymaganiom. Z jednej bowiem strony Tuhan chce być w dziele swym wybitnie teoretykiem, z drugiej strony chce oświetlić wszelkie odnośne kwestje praktyczne, rozmiary zaś książki nie pozwoliły mu widocznie poświęcić odpowiedniego miejsca tym

1) Osnovy političeskoj ekonomii. St. Peterburg, 1909. Str. 760.

wszystkim nader ważnym praktycznym zagadnieniom. Stąd ubóstwo materiału faktycznego, cechujące wszystkie rozdziały, które traktują o praktyce życia gospodarczego. Zachodnio-europejskie podręczniki nieelementarne zwykle składają się z kilku tomów, z których każdy obejmuje część zagadnień praktycznych, przyczym jeden poświęcony jest zjawiskom gospodarczym, wziętym jako całość, inaczej mówiąc teorii; to czyni układ jaśniejszym i daje możliwość należytego uwzględniania materiału. Dzieło Tuhana nie może być zaliczone ani do kategorii elementarnych, ani do wyczerpujących podręczników; nie wprowadza ono do samej nauki, bo jest zbyt polemiczne i zbyt abstrakcyjnie pisane, dla chcących zaś pogłębić i uzupełnić swe wykształcenie ekonomiczne zbyt mało daje z życia praktycznego. Te wady potęguje stała chęć profesora, by być oryginalnym za wszelką cenę. Stąd komiczne wprost małostkowe poprawianie bądź terminologii, bądź układu ekonomji, jeszcze bardziej zaciemniające kwestję. Pod względem układu, systematyzowania materiału, taki podręcznik jak Philipovicha stoi o całe niebo wyżej od omawianej książki. By nie być gołosłownym wskażę na fakt następujący: w części II, rozdziale VIII autor omawia gminne władanie ziemią, daje historję „obszczyzny“, w następnych dwu rozdziałach IX i X omawia całą kwestję agrarną; ale napróżno by go pytać, w jakim związku stoją te rozdziały z poprzednimi, gdzie ani słowa niema o znaczeniu ziemi jako podścieliska terytorjalnego dla gospodarstwa i środka produkcji. Mógłbyśmy wskazać wiele innych podobnych usterek, ale są one znikome wobec zasadniczych wad teoretycznych dzieła, do których przejdę obecnie.

Gdyby myśli mogły toczyć między sobą walkę, rozumiejąc swą istotę i swe konsekwencje, z książki Tuhana pozostałyby jedynie drobne strzępy, tak zacięcie musiałaby jedna stronica walczyć z drugą. Na szczęście czy też nieszczęście tak nie jest, i „leicht beieinander wohnen die Gedanken“; spokojnie na 760 stronicach dzieła Tuhana spoczywają obok siebie w najlepszej zgodzie tyleż sprzeczności. Już przy omawianiu metody i zakresu ekonomji politycznej autor wykonywa najrozmaitsze skoki, cechujące całe jego dzieło. Na stronie 2 czytamy między innymi: „Oto dlaczego autorytet ekonomji politycznej jest tak chwiejny i niestały w opinji publicznej – im głębiej ujmuje nauka ta istotę stosunków społeczno-ekonomicznych, tym uporczywiej odrzucają jej wywody ci, z których interesami stoją one w sprzeczności“. Zdawałoby się, że autor jasno zrozumiał zależność teorii ekonomicznej od walki klasowej. Ale gdzietam! już na następnej stronicy autor czysto ideologicznie krytykuje ekonomję polityczną początku XIX w., uważając, że teoria ta nic nie objaśniała, bo chciała wszystko objaśnić, bo była zbyt abstrakcyjna, nie patrzała głębiej w życie. Biedny Ricardo, który nic nie widział i nic nie potrafił objaśnić! Ten sam Ricardo, którego autor później niejednokrotnie z uznaniem cytuje i nawet żywcem kopjuje całą jego teorję renty! Zamiast zrozumieć klasową stronę dedukcji klasycznej szkoły – wynikającej z ówczesnego stanu gospodarstwa społecznego i walki klasowej – zgodnie z poprzednio cytowaną myślą, autor całą klasyczną szkołę ryczałtem odsądza od czci i wiary, co jest już samo przez się absurdem, a nadto czyni to na zasadzie poglądu, przeczącego dopiero co wyłuszczoneму.

I tak Tuhan na każdym kroku bezsilnie się miota w siódmach eklektyzmu. Jeszcze jaskrawiej ta bezsilność dokumentuje się w rozdziale następnym, omawiającym metodologję. Autor roztrząsa na

początku możliwość obiektywnego ugruntowania ekonomji. Uważa, że antagonizmy klasowe stwarzają zarazem odmienną ideologję, odmienne punkty wyjścia przy badaniu, a stąd widoczną się staje niemożliwość stworzenia obiektywnych naukowych podstaw dla ekonomji. Co uzna za naukowe kapitalista z punktu widzenia swych interesów, tego nie uzna robotnik i naodwrot. Gdzież wyjście? Wszak nauka musi się opierać na zasadach, obowiązujących każdego, kto myśli logicznie. Zdawałoby się znowu, że Tuhan postawił zagadnienie trafnie i że jest na szczęśliwej drodze do zrozumienia i należytego uwzględniania związku między teorią a życiem. Znowu płonna nadzieja. Chcąc ratować naukę przed zgubnym subiektywizmem, Tuhan po uszy sam ugrzązł w krańcowym subiektywizmie, nie posuwając sprawy ani o krok naprzód. Oto jakie znajduje wyjście z powyższych trudności. „Każda klasa społeczna ma swe specjalne interesy ekonomiczne, niezgodne z interesami innych klas. Lecz świadomość etyczna bynajmniej nie jest tożsama z uświadamianiem sobie interesów klasowych“ (str. 38); i dalej: „tak więc stając na stanowisku etyki, mamy możliwość wznieść się ponad przeciwieństwa interesów i zyskujemy mocny grunt do zbudowania ogólnie obowiązującej nauki ekonomicznej. Centralną ideą współczesnej świadomości etycznej jest sformułowana przez Kanta idea najwyższej wartości i z tego wniosek o równorzędnej wartości jednostki ludzkiej“. Tak więc szczęśliwie uzyskaliśmy „mocny grunt“ pod nogami. I po to był potrzebny rozwój nauki przez cały wiek XIX, rozwój metodologii, po to znajomość filozofji, jaką wszędzie popisuje się Tuhan, by z nauki zrobić coś zgoła nienaukowego, na „etyce“ opartego. Niewiadomo, co bardziej podziwiać: czy naiwność, czy ignorancję autora. Kto kiedy powiedział panu T., że współczesna etyka uznaje tę zasadę, którą on głosi? Skąd wogóle ten metodologicznie niebываły nonsens, by naczelna zasada jakiejś nauki opierała się na zasadzie zgoła poza dziedziną nauki stojącej, by ekonomja opierała się nie na zasadach ekonomji, lecz na etyce? Ale czy autor zdaje sobie sprawę, że nie posuwa kwestji wogóle naprzód? Widocznie nie! Czyż nie widziałby w przeciwnym razie, że jest to jedynie formalne przesunięcie kwestji i nic więcej. Jakież bowiem ma środki Tuhan do zmuszenia fabrykanta, by tenże uznał jego teorię etyczną? I czyż ten sam fabrykant, który broni swych odrębnych interesów klasowych w ekonomji, nie będzie ich bronił i w etyce? Zresztą tylko teoretyk, zaślepiiony całkiem kategorjami Kanta, nie wie, że etyka, niemniej niż ekonomja, jest terenem zażartej walki najrozmaitszych teorii i że tylko w bujnej wyobraźni autora istnieje owa jedna naukowa teza etyczna. Ta sama walka ideologii rozgrywa się w etyce, co i w ekonomji; wypływając z obrony interesów klasowych, walka przenosi się do wszelkich dziedzin duchowości ludzkiej. Jeżeliśmy na str. 38 czytali, że jedynie na etyce można ugruntować ekonomję, to już na str. 50 autor powiada: „Zużytkowanie pierwiastka etycznego nie zachwiewa obiektywnego znaczenia teorii ekonomicznej, gdyż pierwiastek ten zajmuje w teorii jedynie ściśle określone miejsce. W dziedzinie objaśniania zjawisk ekonomicznych, przy sprowadzaniu ich do związku przyczynowego—rzecz prosta, niema miejsca dla tego pierwiastka“. Nieco wcześniej dowiedzieliśmy się, że zadanie każdej nauki, a więc i ekonomji, polega na objaśnianiu i przyczy-

nowym łączeniu zjawisk, do tego zaś, bo do ugruntowania samej nauki, niezbędny był pierwiastek etyczny; nagle ten sam pierwiastek właśnie do tych jedynych funkcji nauki jest zbyteczny. Trudno nie podziwiać ścisłości rozumowania autora.

W związku z tym „etycznym“ skokiem należy wskazać na inny jeszcze „skok“ naszego profesora, zaiste przekraczający granice przyzwyczajenia nie tylko umysłowej. Na str. 101 Tuhana, starając się wykazać, że teoria wartości Marxa zawiera w sobie pierwiastek etyczny, jak w ogóle według niego każda teoria, uznająca w pracy siłę wartościotwórczą, powiada: „I sam Marx i jego zwolennicy sądzili, że stworzona przez niego teoria wartości pozbawiona jest pierwiastków etycznych. Jednakże, jak słusznie zwraca uwagę Dietzel, Marx w jednym ustępie zupełnie jasno wydatnił etyczną podstawę swej teorii, a mianowicie w tym miejscu, gdzie mówi, iż to, że Arystoteles nie chciał uznać pracy za substancję wartości, da się wytłumaczyć budową greckiego społeczeństwa, „którego podstawą była nierówność ludzi“. „Inaczej mówiąc, idea równej wartości ludzkiej jednostki była i dla Marxa przesłanką etyczną, umożliwiającą ocenianie dóbr gospodarczych w stosunku do zwydatkowanej na ich produkcję społecznie niezbędnej pracy“. Tyle p. Tuhana. A oto jak brzmi owo miejsce w „Kapitale“, cytowane przez samego p. Tuhana na str. 103. „Że w formie wartości towarów wszystkie rodzaje pracy wyrażają się jako jedna i ta sama, i dlatego równej wartości praca ludzka, tego Arystoteles nie mógł się dopatrzeć w samej formie wartości, gdyż greckie społeczeństwo opierało się na pracy niewolników, skąd jego naturalną podstawą była nierówność ludzi i ich siły roboczej“ (Kapitał, tom I, str. 24). Tak mówi Marx według samego p. Tuhana. Pan Tuhana, świadomie czy niechcący, zamiast „Arystoteles nie mógł“, jak jest u Marxa, najspokojniej powiada: „Arystoteles nie chciał“ i już gotowa cała „teoria etyczna“... U Marxa znajdujemy wyraźne wyprowadzenie teorii Arystotelesa z warunków społecznych, a więc obiektywne jej uzasadnienie; z tego w najzimniejszą krewią nasz „etyczny“ profesor robi wbrew najoczywistszym faktom swój etyczny bigosik. Tak daleko mógł zabrać człowiek, chcący Marxa i Böhm-Bawerka objąć w jednym naukowym uścisku!

Centralnym punktem wywodów Tuhana jest sposób rozwiązania problemu wartości oraz pogląd na kryzysy ekonomiczne, wcześniej już ogłoszony w rozmaitych jego pracach. I tutaj autor zupełnie zawodzi. O ile jeszcze jako analityk od czasu do czasu wykazuje zalety, zawodzi zupełnie jako syntetyk. Ten sam niekonsekwentny eklektyzm w dziedzinie teorii wartości, jaki widzieliśmy w dziedzinie metody. Tuhana uznaje w zupełności teorię wartości Mengera i Böhm-Bawerka, czyli t. zw. szkoły austriackiej; z drugiej strony uznaje prawie zupełnie teorię wartości Marxa, nazywa ją jedynie nie teorią wartości, lecz teorią „kosztów pracy“ (trudowaja stoimost'), pojmując wszakże przez „koszta pracy“ — zgodnie z teorią marksowską — ilość pracy, zwydatkowaną na wytworzenie jakiegokolwiek dobra ekonomicznego, ale odróżniając zarazem teorię wartości (cennosti) od tej teorii „kosztów pracy“. Najprzód Tuhana oświadcza nam, że austriacka teoria wartości jest jedynie słuszna, nie zaś teoria Marxa. Cóż się jednak okazuje po bliższej analizie? Oto, że cała teoria austriacka u Tuhana jest tylko dziwnym nieporozumieniem. Albowiem jakie zadanie stawia sobie właściwie teoria wartości, za-

równy austriacki, jak i marksowski? Usiłuje ona objaśnić prawa, rządzące produkcją i wymianą w obrębie gospodarstwa społecznego. Zarówno Böhm-Bawerk, jak i Marx stawiają formalnie to samo zadanie. Tymczasem u Tuhana cała rzecz sprowadza się do „rewolucji“ czysto formalnej. Po analizie bowiem i wygłoszeniu hymnów pochwalnych na cześć szkoły austriackiej, Tuhan powiada: „Lecz należy dobrze zrozumieć, w jakiej dziedzinie da się stosować teorię krańcowej użyteczności. Teoria ta wyczerpująco wyjaśniła proces oceny (ocienki) – lecz na tym koniec; jest ona w zupełności subiektywną teorią wartości“ (str. 66). Ale austriacka szkoła, formułując swoje psychologiczne prawo wartości, miała nieco wyższe aspiracje. Ignorując obiektywny bieg życia gospodarczego, przedsięwzięła ona, wychodząc z czysto indywidualnych procesów psychicznych, wyprowadzić w ten sposób wszystkie prawa ekonomiczne. Chcą więc Menger, Böhm-Bawerk, Wieser i inni dać nie tylko „subiektywną teorię wartości“, lecz zarazem teorię, obejmującą życie gospodarcze wszechstronnie. Tymczasem Tuhan, rozumiejąc, że z samych procesów psychicznych jednostki nie da się w żaden sposób wyprowadzić ani cena, ani żadne zjawisko obiektywnie-gospodarcze, druzgocze właściwie całą tę teorię, sprowadzając ją do wielce skromnej roli komicznego doradcy, mędrkującego na temat, co lepiej kupić: konia czy świnie, zamiast wyjaśniać, dlaczego za konia lub za świnie trzeba tyle a tyle zapłacić. U austriaków obiektywna cena rynkowa zupełnie nieświadomie już jest wprowadzona do procesu oceny, i ci teoretycy nie zadają sobie trudu zastanowić się nad tym, jak tworzy się ta cena, która właśnie daje możliwość powstania owych refleksji, pomijając, że refleksje te wogóle nigdy się nie odbywają w tej formie, jak tego „subiektywni“ uczeni pragną, i wreszcie, gdyby tak się odbywały, nicby nie wносиły do zrozumienia biegu życia gospodarczego i jego praw. Rozumie to nasz reformator ekonomji i po hymnach pochwalnych na cześć austriackiej teorii sprawnia jej, że się tak wyrazimy, pogrzeb pierwszej klasy, oświadczając na str. 72: „a wobec tego, że ogólna wartość zwydatkowanych środków produkcji nie może nie zależeć od ilości zwydatkowanych środków produkcji, ilość zaś tę określają obiektywne warunki, a nie subiektywne oceny, więc w końcu obiektywne warunki określają naszą ocenę tworzonych produktów, tak środków konsumcji, jak i środków produkcji“.

I to ma być według Tuhana-Baranowskiego „synteza“ austriackiej szkoły z teorią Marxa!

Kończy się na tym, że teoria wartości (ciennosti) w tej formie, jak ją daje Tuhan, staje się zupełnie zbyteczną; na jej miejsce otrzymujemy teorię kosztów (stoimosti), ta zaś opiera się na fakcie uznania wyłącznie pracy za siłę wartościotwórczą z punktu widzenia ogólno-gospodarczego, co niejednokrotnie Tuhan zaznacza. Tak tedy nie posunęliśmy się ani o krok dalej. Zaczęliśmy od wspaniałych obietnic jedynej w swoim rodzaju „syntezy“, skończyliśmy zaś... na marnej łataninie. Począwszy od wszelkich „etyczno-psychologicznych“ sztuczek i „subiektywnych“ subtelności, skopjowanych z austriackich teoretyków, „syntetyk“ nasz kończy na tym, że na miejsce subiektywnych ocen wprowadza zapożyczony od Marxa pogląd na istotę tworzenia się ceny. I pomimo to wszystko Tuhan uważa, że pogodził austriaków z Marxem i że wogóle teoria austriaków może mieć wobec tego jakiegokolwiek znaczenie dla naukowego objaśniania zja-

wisk życia gospodarczego! „Syntezę“ Tuhana widocznie przedstawia sobie w ten sposób: raz staje po stronie Böhm-Bawerka, to znowu zaraz na drugiej stronie staje po stronie Marxa, a na trzeciej mówi, że obydwa nie mają racji i to jest — „synteza“.

Ta jego dwoistość ujawnia się na każdym kroku. Tuhana uważa się za socjalistę, analizując kapitalizm, wierzy w możliwość urzeczywistnienia socjalizmu, a jednocześnie naprzykład widzi zasadniczą sprzeczność między rozwojem na wsi a w mieście, w rolnictwie a przemyśle. Jakim sposobem ciągle wzrastająca według Tuhana drobna własność ziemska, mogąca samodzielnie się trzymać i rozwijać, da się pochłoniąć przez przemysłową koncentrację, a jeżeli się nie da, jak socjalizm sobie z tym poradzi, — o to napróżno pytać. Ta sama dwoistość w ocenie kooperatyw, które już to rozumie dobrze, już to przecenia zupełnie w stylu typowego reformisty burżuazyjnego. A wszędzie ta do komizmu dochodząca chęć krytykowania Marxa, któremu wszystko w dorobku swym umyślowym zawdzięcza. Dochodzi ona do takich dziwołagów, jak twierdzenie na str. 315: „Lecz stosunki agrarne mało go (Marxa) interesowały; rozmiary jego faktycznych wiadomości w tej dziedzinie były bardzo ograniczone, jak to dowodzi między innymi III tom *Kapitału*, gdzie kwestji agrarnej najwięcej poświęcił miejsca“. Kto oglądał dzieła Marxa, kto czytał, co Engels mówi o materiałach w sprawie agrarnej, przestudjowanych i zgromadzonych przez Marxa, ten rzeczywiście stoi bezradny wobec podobnie śmiałych twierdzeń szanownego profesora.

Ramy niniejszej oceny nie pozwalają krok za krokiem zbijać bzdurstw Tuhana o najrozmaitszych zjawiskach społecznych i politycznych, jako to partji, związkach, syndykatach. Wystarczy zaznaczyć, że na każdym kroku społeczny „reformista“ lichego gatunku boryka się tu z uczniem Marxa, przyczem zwycięża to jeden, to drugi, to żaden wreszcie, a wynika w rezultacie jedynie chaos myślowy. Przy omawianiu płacy robotczej Tuhana obok wielu słusznych uwag znów dosiada raptem swego „etycznego“ konika i zarzuca Marxowi zapoznawanie „czynnika etycznego“, zarzuca mu, że traktuje się robotczą jako środek produkcji, gdy tymczasem według Kanta (sic) i całej „Etyki“ robotnik jest celem, nie środkiem. To mu nie przeszkadza naturalnie widzieć faktu, jaskrawie bijącego w oczy, że to nie w Marxa oczach, lecz w kapitalistycznym społeczeństwie robotnik jest jedynie środkiem produkcji, nie zaś żadnym kantowskim „celem w sobie“. Rzecz jasna, że zadaniem teorii naukowej jest nie przeczenie temu faktowi, lecz raczej wyjaśnienie obiektywnej roli najemnego proletariusza w produkcji kapitalistycznej, a znowu inną sprawą jest dążenie do zmiany tego, co jest. I nikt chyba tak silnie nie pragnął tej zmiany, jak Marx, ale tym właśnie różni się Marx od p. Tuhana i wszelkich „etycznych“ panów tego gatunku, że, zamiast podziwiać Kanta z jego „celem samym w sobie“, dał jedynie płodne wskazania drogi, prowadzącej do wielkiej zmiany społecznej. Znamienna jak dla umysłowości, tak i dla „etyki“ samego p. Tuhana jest zresztą okoliczność, że nie cofa on się przed zarzutem pod adresem Marxa, jakoby tenże wyznawał... lassalowskie „prawo żelazne“ płacy robotczej! Toż nawet burżuazyjny ekonomista, jak Philipovich, właśnie poczytuje to za zasługę Marxowi, że nigdy nie stał na tym stanowisku.

Największym „oryginalnym“ arcydziełem twórczości Tuhana jest jego teoria rynku i kryzysów. Jak wiadomo teoria jego głosi, że produkcja kapitalistyczna nie prowadzi wcale z konieczności sama przez się do nadprodukcji i, co za tym idzie, do kryzysów. Według Tuhana bowiem nie konsumpcja jest celem produkcji. Kapitał sam sobie stwarza rynek w procesie produkcji, kapitaliści mogą coraz więcej użytkować swe kapitały na produkowanie środków produkcji i wobec tego coraz bardziej się uniezależnić od konsumpcji. Tezy swoje autor udawadnia przy pomocy specjalnych schematów. Nie sposób je tu analizować i dążyć za autorem, który wikła się w sprzecznościach na każdym kroku, ale uszczknijmy przy tej okazji z pośród szczegółów jeden tylko kwiatek. Oto co p. Tuhan rzuca tak sobie mimochodem: „Fetyszym gospodarki kapitalistycznej, którego istota dla Marxa była niezupełnie jasna“. Jesteśmy znowu w kłopotcie, co właściwie należy o naszym „syntetyku“ pomyśleć, czy bodaj w charakterze łagodzących okoliczności nie podać w wątpliwość władz umysłowych autora. Fetyszym kapitalistycznej gospodarki nie był jasny dla Marxa — od którego p. Tuhan i podobni jemu wogóle dowiedzieli się poraz pierwszy o istnieniu tej strony gospodarki, o tym sposobie ujęcia zjawisk społecznych, od którego poraz pierwszy wyraz ten usłyszeli! Gdyby p. Tuhan miał, prócz katedry profesorskiej, jakie widoki przed sobą, przepowiedzielibyśmy mu, że zajdzie daleko.

Zasadniczym warunkiem kapitalistycznej produkcji jest według Tuhana „proporcjonalne przemieszczanie produktów“. Co to ma znaczyć, jak się to da urzeczywistnić, — autor bliżej nie wyjaśnia. Po najrozmaitszych analizach wreszcie słyszymy: Rynek jest niewystarczający dla kapitalizmu nie dlatego, by zbyt mało było spożywców, lecz dla tego, że jedynie proporcjonalne przemieszczanie produkcji umożliwia zbyt wszystkich towarów, całkiem zaś proporcjonalne przemieszczanie produkcji zupełnie się nie da urzeczywistnić, o ile istnieje gospodarka kapitalistyczna, a zbliżenie się do takiej proporcjonalności osiąga kapitalizm z wielkim trudem na drodze kryzysów i niszczenia zbytnio rozrośniętych poszczególnych gospodarstw. W tej samej materii przy teorii kryzysów na str. 746 czytamy: „Lecz do zbytu towarów niezbędne jest proporcjonalne przemieszczanie produkcji społecznej. Kapitalistyczne zaś gospodarstwo w całości jest chaotyczne i niezorganizowane. Przy takim niezorganizowaniu produkcji społecznej rozszerzanie się takowej pod wpływem wzrostu kapitału stwarza stałą tendencję do nadprodukcji, której wyrazem jest właśnie stała trudność znalezienia rynku dla towarów, to stałe przerastanie sił produkcyjnych kapitalizmu w porównaniu z możliwością ich użytkowania, które jest tak charakterystyczne dla kapitalizmu nawet w czasach normalnych“. Nie będziemy dokładnie analizowali całej „oryginalnej“ teorii kryzysów Tuhana, ale już z powyższych przytoczonych ustępów wynika, że zupełnie, jak przy teorii ceny i wartości, „oryginalna“ teoria surowego krytyka Marxa kończy się na — najzwyczajszej pożyczce idei marksowskich i „oryginalnym“ ich tylko pogmatwaniu. Bo cóż ostatecznie opowiada p. Tuhan innego, niż teoria przezeń krytykowana: że w samej istocie kapitalizmu tkwi zasadnicza sprzeczność, niepo-

zwalająca bez gwałtownych tarć rozwijać się produkcji. A czymże jest jego wyznanie niemożności usunięcia w obrębie kapitalizmu tych przeszkód, jego dążenie do utrwalenia „proporcjonalnego przemieszczenia“, jeśli nie chaotycznym pogmatwaniem jasnej i wyrazistej teorii Marxa o anarchji gospodarczej kapitalizmu i o konieczności zniesienia jej drogą usunięcia prywatnego władania środkami produkcji? Koniec końców pozostaje pytanie: wozu der Lärm? Po co tyle hałasu?

Summa summarum: Książka Tuhana obok zalet w szczegółach naogół jest dziełem gruntownie chybnym, jak wszystkie dotychczasowe próby „rewizji“ teoretycznej Marxa — intra et extra muros, czyli we własnych szeregach socjaldemokracji z obozu bernstejnizmu, jak i z obozu jego burżuazyjnych przeciwników. A. Małecki.

Przegląd czasopism.

Socialist Review.

W zeszycie z października r. b. redakcyjny przegląd (redaktor K. Macdonald) zajmuje się kwestją zreformowania budżetu angielskiego. Spotykamy tu ciekawą cytataż z lorda Rosebery'ego, który w przemówieniu, wypowiedzianym we wrześniu w Glasgowie wykrzyknął ze zgrozą: „Tą drogą dojdziemy nieuchronnie do socjalizmu... To znaczy, że wszystko się skończy, że zginie wiara, własność; rodzina, monarchja, państwo zostaną zniesione!“ Inaczej wyraził się niemal jednocześnie w Birminghamie p. Asquith, liberalny minister: „Musimy wreszcie przystąpić do uspokojenia naszego zbudzonego dzisiaj i wstrząśniętego sumienia zapomocą reform społecznych. Przez długie lata tumaniono lud niespełnianemi obietnicami lub hamowano go mizernemi, przeważnie fikcyjnemi ustępstwami“. Autor podkreśla doniosłość decyzji, która ma zapaść w parlamencie. O ileby panowie lordowie śmieli wystąpić przeciw skromnym żądaniom Lloyda George'a, to cały naród przejmie te żądania i ujmie się za nimi. Gdyby zaś chcieli jednak przewlekać uchwalenie budżetu, byłoby to wyzywaniem, rzuconym całemu narodowi, o które musiałby się rozbić każdy trochę bodaj ludowy rząd. Podobnie o spowodowaniu przez lordów rozwiązania izby niema co myśleć, bo żądania Lloyda George'a zbyt wielką cieszą się wziętością, aby podobne postępowanie było możliwe. Cały naród w mniejszym lub większym stopniu bierze tym razem udział w akcji parlamentarnej. Opodatkowanie obszarników wiejskich i miejskich, zawarowanie szacunkowe, prawo powrotne, podatek od przyrostu wartości, obietnica ubezpieczenia robotników — otwierają ludności pracującej perspektywy niespodziewanych ulepszeń. Władcy z Westminsteru stracili w tym wypadku panowanie nad machiną rządową. Jeżeli lordowie postawią się okoniem przeciw budżetowi lub jakimkolwiek ważnym projektom, to, o ile liberalizm nie ma zgasać jak wypalona świeca, musi nastąpić bezzwłocznie rozwiązanie parlamentu. Wtedy jednak wszedłby w grę nie tylko już los reformy skarbowej, lecz i prawo weta izby wyższej.

Atoli Asquith, Grey i Haldane nie chcą się bynajmniej na to narażać; dlatego lord Rosebery, wypierający się wszelkich, choćby najniklejszych, zasad postępowych, jest dla nich wysoce niedogodny. W cichości spodziewają się oni wyjść jeszcze na swoim przy projektach Lloyda George'a i Winstona Churchilla i dlatego narazie uchylają się przed wolą ludu.

W jednym ważnym punkcie lord Rosebery i niektórzy inni ignorancy przedstawiciele jego klasy mają słuszość: mianowicie gdy twierdzą, że izba gmin i naród stoją „na drodze do socjalizmu“. Poznało to i kilku zdolniejszych ludzi ze stronnictwa radykalnego; uznaje jednak za

stosowniejsze prowadzić dzieło wydrążania od wewnątrz, niż przyłączyć się do ruchu, nierokującego żadnych korzyści materialnych. Natomiast przeciętny liberal trzyma się całą siłą tradycyjnego poglądu, że własność ziemską i kapitał przemysłowy różnią się od siebie jak niebo od ziemi i całkiem odmiennego wymagają traktowania. Daily News, organ Lloyd George'a pisze: „Obie te formy własności i stanowiska ich wobec społeczeństwa również się różnią od siebie, jak średniowieczny rycerz-rozbójnik, wyciskający opłatę z przejezdnych, gdy przebywali pewną strefę, różnił się od współczesnego towarzystwa kolejowego, które przez tę strefę przekłada szyny. Właściciel ziemski, który nie uprawia sam swej ziemi i nie gospodaruje sam w swych dobrach, pobiera tylko haracz. Przemysłowiec użytkuje ze swego nagromadzonego bogactwa dla popierania powszechnej pracy“. Przykład ten wybrany jest wysoce niefortunnie, jeśli się zważy na bezwstydną taryfę South Eastern Railway (kolej południowo-wschodnia), która swój monopol na drogę do Calais wyzyskuje conajmniej równie bezczelnie, jak średniowieczni rycerze-rozbójnicy swe prawo do gościńca publicznego.

Pan Churchill i dzielnicy jego organ The Nation posuwają się jeszcze dalej. W Leicester, gdzie podobny język trafia na przyjazną atmosferę, Churchill mówił otwarcie „o przepaści pomiędzy bogaczem a biedakiem“, „o wyzysku pracy dzieci“, „o mizernym prawodawstwie dla ubogich“, „o ciągłej niepewności środków utrzymania, braku pracy, braku radości i dostatków wśród klasy robotniczej, a rosnącym zbytkiem i szalonej rozrzutności posiadających“. Nation posuwa się tak daleko, że przenosi pojęcie „niezasłużonego przyrostu wartości“ z własności ziemskiej na wszelkie inne posiadanie, „pochodzące z monopolu, z przywileju prawnego, lepszej konjunktury lub innej korzyści ekonomicznej, które pozwalają osobie lub korporacji otrzymywać więcej, niż się jej należy ze względu na jej wydatek siły wytwórczej“.

My w Anglii jesteśmy powolni i ocieżali umysłowo; jednakże świadomość klasowa poczyniła takie postępy, że pole zdaje się dobrze uprawionym dla przyszłego żniwa. Okazuje się to teraz, gdy najsilniejszy z naszych rządów ostatniej doby musi się zwracać wprost do nas, o ile się nie chce oddać w ręce zdeprawowanej bandy uszlacheconych złodziejów i żyjących z lichwy finansistów.

Tę konjunkturę parlamentarną musi wyzyskać Partja Pracy. Fundusze jej — wyborczy i prasowy — wymagają w tym celu znacznego powiększenia. Propagandę w ciągu tego ważnego czasu prowadzić należy ze szczególną sprężystością. Trzeba nam energii i jedności, abyśmy na wysokości obecnego tak szybko powstałego kryzysu mogli rozwinąć całą swą siłę.

Revue Socialiste.

W zeszytce wrześniowym Edgar Milhaud omawia w swym przeglądzie ekonomicznym projektowaną reformę budżetu angielskiego. Gdy Lloyd George wystąpił na scenę ze swemi projektami reform, w całym świecie kapitalistycznym wybuchł jeden okrzyk oburzenia. Rzadko, a może i nigdy międzynarodowość klas posiadających nie wykazała się tak jednomyślnie: wszystkie części świata odgrzmiały jakby echem zgorszenia na przerażone i gniewne wycie angielskich organów kapitału i wielkiej własności ziemskiej. Zdanie lorda Rosebery'ego „to nie budżet, to rewolucja!“ obiegło cały świat. Nie będziemy z nim się sprzeczać o słowa, które naturalnie przedstawiają rzeczywistość w przesadnym świetle. Bądź-co-bądź budżet obiecuje w czterech niezmiernie ważnych punktach innowacje, które urzeczywistnić mają żądania demokratów, stawiane od lat pięćdziesięciu. Wszystkie cztery punkty dotyczą własności ziemskiej i dążą do zapewnienia ogółowi produktu z roli.

Pierwszym z nowych podatków jest podatek od przyrostu wartości; dotyka on przyrostu wartości roli na wsi i wynosi mniej więcej 20% zwiększonej wartości gruntów. Podatek pobiera się 1) gdy właściciel umiera, 2) jeżeli grunt przechodzi do nowych rąk lub 3) jeżeli zostaje

oddany nanowo w dzierżawę na przeciąg lat siedmiu. W każdym z tych wypadków ustala się urzędowo nowy szacunek gruntów, tak że społeczeństwo zawsze dokładnie zna wartość własności ziemskiej. Obszarników doprowadza to naturalnie do wściekłości.

Drugi podatek, t. zw. prawo powrotne, dotyka przyrostu wartości w miastach w wysokości 10⁰/₀. Ściąga się go zawsze, gdy przyjęte w miastach angielskich układy dzierżawne dobiegają terminu i grunt powraca do właściciela. — Trzeci podatek ma na widoku grunta niezabudowane w miastach i na przedmieściach. Wynosić ma on 1/2 penny od funta sterlinga i pobierany jest corocznie, tak że przy ewentualnej sprzedaży niezabudowanego udziału wynosi 5⁰/₀ sumy kupna. — Czwarty podatek ma przypaść na obszary kopalniane, a więc na grunta podziemne, bez względu na to, czy są one już eksploatowane, czy też pozostają przedmiotem spekulacji.

Wszystkie te postulaty są wymaganiami elementarnej sprawiedliwości; dyktuje je zarówno zdrowy ludzki rozsądek, jak poczucie pożytku społecznego. Zdaniem p. Milhauda, — znanego stronnika „zrewidowanego“ marksizmu — zawiera się w nich wskazówka na czasy przyszłe, które odbiorą pasibrzuchom niezasłużoną rentę, a wartościotwórczym żywiom społeczeństwa zapewnią zasłużone korzyści ich pracy. Czy można to nazwać rewolucją?!

Gdy w parlamencie przygotowuje się walka słowna, a konserwatyści opracowali już poprawki do projektów Lloyd George'a, w rozmiarach przeszło stu stron, socjaliści również nie siedzą beczynnie i rozwijają gorliwą propagandę w całym kraju. Aby jasno przedstawić ludowi stan rzeczy, rozpowszechnili oni pomiędzy innymi w całym królestwie ilustrowaną kartę pocztową w milionach egzemplarzy. Przedstawia ona plan City londyńskiego i West-End'u. W środku, w Kensingtonie, siedzi olbrzymi polip, którego osiem ramion opasuje osiem części stolicy. Potwór nosi napis „wielka własność ziemska“, każda zaś z ośmiu macek obejmuje jeden „estate“ t. j. obszar kilkuset akrow, należący do jednej osoby. Olbrzymie posiadłości duchownych przedstawicieli kościoła anglikańskiego tworzą dział, dający 13 milionów franków rocznego dochodu. Siedmiu innych „właścicieli Londynu“, których socjaliści w ten sposób stawiają pod pręgierzem, to: 1. Lord Portman. Posiada on 270 akrow (108 hektarów) ziemi, z której wyciąga rocznie 47 250 000 franków dochodu. 2). Lord Howard de Walden — 292 akry (117 hektarów) — z 72 500 000 fr. dochodu. 3. Książę Bedford z 250 akrami (100 hekt.) i 56 200 000 rocznego dochodu. 4. Lord Northampton ma około 260 akrow (104 hekt.) i 40 000 000 franków dochodu. 5. Książę Norfolk posiada „wybrzeże“, które wraz z innymi gruntami londyńskimi przynosi mu dochód roczny w wysokości 37 500 000 franków. 6. Książę Westminster z 400 akrami (160 hekt.) i dochodem rocznym 75 000 000 fr. jest najbogatszym właścicielem ziemskim Londynu. 7. Hrabia Cadogan zadawalnia się 200 akrami (80 hektarów) i 37 500 000 fr. rocznego dochodu. Oprócz tego, panowie ci posiadają i na wsi dominja o powierzchni małego departamentu francuskiego.

Cały Londyn należy w ten sposób do 12 wielkich właścicieli, których dochód roczny wynosi pięćset milionów franków. Trzecia część Anglii należy do 500 lordów, a 4 000 wielkich właścicieli ziemskich ma w rękach połowę kraju.

Le Mouvement Socialiste.

Zeszyt wrześniowy przynosi artykuł o wypadkach hiszpańskich i kapitalizmie w Marokko pióra A. Merrheima.

Strejk powszechny w Katalonji pokazał wyraźnie, że proletarjuszom sprykrzyżo się już dawać się zabijać dla korzyści międzynarodowego kapitalizmu. Ale też nie było jeszcze wojny, któraby tak mało wziętości miała wśród mas, jak wojna Hiszpanów przeciw plemionom kabylskim, i dlatego łatwo zrozumieć, że ludność robotnicza Hiszpanji, którą nie może się wykupić od służby wojskowej, jak zamożni burżua, lecz

musi toczyć codzienną walkę o byt, — wzburzyła się. Wprawdzie po wstąpieniu, nieposiadający organizacji i pozbawieni pomocy reszty ludu Hiszpanji, zostali pobici. Mimo to śmiała ich akcja nie była daremna i zostanie przykładem dla przyszłości. Jedną zaś dobrą stroną miało to powstanie: zwróciło ono uwagę ogółu na szalberstwa kapitalistyczne, odgrywające się w Marokku. Gdyby nie wkroczyła Hiszpanja, musiałyby interwenjować Francja, bo w gruncie rzeczy o nic innego, jak o interesy francuskich kapitalistów muszą tam Hiszpanie nadstawiać karku. — Jak wiadomo, w Marokku utworzyły się i ciągle się jeszcze tworzą liczne przedsiębiorstwa kopalniane, ponieważ pokłady tamtejsze posiadają niezwykłą wydajność: wydają one o jakieś 25% więcej, niż znakomite pokłady w Bilbao i Ouenza. W Fezie istnieją trzy wybitne grupy kapitalistów: 1. Unja kopalni marokańskich, stowarzyszenie, do którego na początku należeli Creusot oraz kompanja Agadir i Mokta-el-Hadid. 2. Grupa braci Menesmann, których współudziałowcem był początkowo Krupp. 3. Hiszpańskie Towarzystwo kopalni Ryfeńskich, popierane przez najsilniejsze instytucje finansowe Anglii, Belgji, Hiszpanji i Włoch. Z początku panowało zawzięte współzawodnictwo pomiędzy Unją marokańską a braćmi Menesmann, które się zaogniło do tego stopnia, że wkońcu wdąć się musiały odnośne rządy. Już 6 października 1906 r. Delcassé podpisał tajną umowę z Hiszpanją, której główne punkty miały treść następującą:

1. Francja i Hiszpanja biorą na siebie wzajemne zabezpieczenie swych posiadłości w Afryce Północnej.

2. Francja i Hiszpanja wchodzi w porozumienie co do granic swych sfer wpływu w Marokku i Fezie.

3. Gdyby hiszpańskie siły wojskowe nie wystarczały do obrony posiadłości pomiędzy pasami granicznymi Ceuty i Melilli, to Francja zobowiązuje się przyjsć Hiszpanom ze zbrojną pomocą.

4. Gdyby Hiszpanja chciała odstąpić lub wydzierżawić swe posiadłości marokańskie innemu państwu lub krajowcom, zobowiązuje się nie przedsięwbrać tego bez wyraźnej zgody Francji.

Dla zrozumienia tej tajnej umowy trzeba rzucić okiem wstecz na całą sprawę marokańską. Już w początkach Komitet Afryki Francuskiej w jednym ze swych biuletynów wystąpił bardzo ostro przeciw hiszpańskiemu ministrowi spraw zagranicznych, hrabiemu Romanones, który protegował jednocześnie konsorcjum Schneidera (Creusota) i grupę Menesmannów. Romanones odpowiedział, że chciał otrzymać dla Hiszpanji kopalnie Melilli, Ceuty i Tetuanu. W tym celu założył stowarzyszenie z kapitałem 2 milionów pesetów. Natychmiast utworzyło się drugie towarzystwo, Północno-Afrykańskie, w którym jednak nie było hiszpańskiego oprócz nazwiska prezesa. Kapitał i udziałowcy pochodzili z Francji. Towarzystwo to otrzymało pozwolenie rozpoczęcia działalności przed towarzystwem hr. Romanonesa. Pan Delcassé mógłby zapewne poinformować, w jaki sposób Towarzystwu udało się zbudować swą koleji domy, podobne do prawdziwych warowni. Były minister Romanones, o którego rzetelności niemożna w danym wypadku wątpić, musiał zrozumieć, że Francuzi mają nad nim wyższość i że znaleźli silne poparcie we francuskiej partji kolonialnej, mającej na swym czele b. ministra francuskiego Etienne'a i posiadającej swych przedstawicieli w Madrycie. I jakkolwiek Francja urzędowo nie przysła jeszcze z bronią w rękę na odsiecz Hiszpanom pod Melillą, pomaga im przecież półurzędowo, albowiem prowjanty dla wojsk hiszpańskich przewożą koleje francuskie. Jest to zatym już początek spełniania tajnej umowy, podpisanej przez Delcasségo. Gdyż, według słów hrabiego Romanonesa, chodzi o francuskie kopalnie, linje kolejowe i budowle, poszkodowane przez wojnę. Hiszpanie więc w Marokku dają się zabijać dla kapitalistów francuskich, a zwłaszcza dla tajemniczego machera sprawy ouenzańskiej, b. ministra wojny Etienne'a — i jego przyjaciół. Że na tę wojnę idą bez zapału, bardzo łatwo zrozumieć. Przytym niedorzeczna ta wojna dzięki nędznym przygotowaniom doprowadza do największych okropności; niema w niej ani śladu regular-

nego kierownictwa. „Żołnierzy tych, którzy wczoraj jeszcze nie mieli pojęcia o istnieniu Marokka, dziś zapędza się jak trzodę na okręty, a po wylądowaniu, zanim otrząsnęli się z choroby morskiej, gna się do walki. Biją się jak dzicy, bez komendy, oddzielna jednostka rzuca się naoslep z nożem na przeciwnika, nie jest to już bitwa, lecz rzeź“. Tak brzmi opis, który daje świadek naoczny, korespondent *Opinion* e w Tangerze. Humaniści ogłosili 21 sierpnia sprawozdanie z Marokka, pisane przez byłego liberalnego ministra hiszpańskiego Villanueva. Zrzuca on całą odpowiedzialność za obecne krwawe starcia na Francję:

„Nieudolny rząd hiszpański wydał w r. 1904 głodnym Francuzom Marokko, a teraz ci zmuszają Hiszpanję do wypraw zbrojnych, które muszą kraj nasz zbezczeszczyć i zupełnie zrujnować. Tylko brudne szalbiarstwa francuskich właścicieli kopalni wywołały walkę w Melilli; zburzyli oni niezakłócony pokój, który panował w kopalniach Beni-Bu-Ifura, popierając Kabylów w ich rokoszach przeciw Roguemu, który był tam najlepszym sprzymierzeńcem Hiszpanji. Gdy jego zabrakło, musiano go zastąpić najkosztowniejszymi wyprawami zbrojnymi“.

Ale rząd hiszpański potrzebował tej wojny dla usprawiedliwienia swej niesłychanej postawy i sprowokował Maurów do napaści. Potrzebował on tego pozorów, aby usprawiedliwić swe wtargnięcie do pasu okolicznego Melilli. A jednak ten bezecny rząd wiedział, że użyłby krwi hiszpańską obszar, który obcy biorą w posiadanie; ale interesy kapitalistów francuskich są mu droższe, niż życie własnych ziomków. Proletariat francuski i hiszpański nie zapomni nauki o międzynarodowości kapitału, którą wyciągnąć może z tej ostatniej wojny finansowej.

Pagine Libere.

Paweł Orano, redaktor polityczny dwutygodnika włoskiego, zwraca się w ostrych wyrazach przeciw Samuelowi Gompersowi, który bratał się z całym dziennikarstwem Medjolanu i w licznych wywiadach wypowiadał swą boleść nad niebezpieczeństwami, grożącymi amerykańskim robotnikom wskutek przychodzącego proletarijuszów włoskich. Gompers użalał się, że Włosi za wiele pracują i spełniają roboty wszelkiego rodzaju. Robotnicy amerykańscy ponoszą z tego powodu szkody i Gompers obawiał się szkód coraz większych, jeżeli rząd włoski nie postara się tego zmienić. Ale dzielny polityk myśli się bardzo, jeżeli spodziewa się czegoś po urzędowym przedstawicielstwie robotników we Włoszech. Nie pomaga ono nawet krajowym robotnikom, tymbardziej więc nie pomoże biednym wychodźcom do Ameryki. Tam zaś są takie ustawy robotnicze, że biedny motłoch włoski, który się przeznacza do najgorszych prac, dopiero nadobre zostaje bez obrony. Samuel Gompers ma zupełną słuszość, gdy mówi, że robotnicy włoscy powinni się organizować, aby zmusić przedsiębiorców do dawania wyższych płac. Byłoby to też o wiele bardziej honorowo ze strony Włochów wobec robotników amerykańskich, sądzi Gompers. W jaki sposób urzędowy przedstawiciel zorganizowanego proletarijatu Stanów Zjednoczonych ośmiela się podawać w wątpliwość honor wychodźców włoskich?! Czy wystarcza pięćdziesięciu bijatyk w domach publicznych, pięćdziesięciu rozpraw nożowych zapaleńców sycylijskich i czynów kilku ciemnych indywidualów, przyłączających się do nieczystych przedsięwzięć kosmopolitycznej Mafji, aby Gompers pozwalał sobie rzucać piętno niesławy na bohaterów bojowników o nędzny byt, na uczciwych ojców i synów, którzy zapracowują się niemal na śmierć, aby żywić swe zgłodniałe rodziny?

Wychodźcy włoscy wiedzą nazbyt dobrze, że na podwyżkę płacy w Stanach Zjednoczonych nie mogą liczyć. Jak przedtym tak i nadal będą musieli zścić Amerykanom kloaki i prać dla nich brudną bieliznę. Daremnie będą czekać, aż Samuel Gompers zorganizuje ich ujarzmionych braci amerykańskich do tego stopnia, aby ujęli się o prawa swych towarzyszy obokrajowców. Czestując dziennikarzy medjolańskich tą gompersjadą, Gompers blagował, jak prawdziwy yankes. Ponad głowami wygłodzonego, politowania godnego tłumu emigrantów Gompers wyciąga dłoń do zach-

wawczych, reformistycznych szarlatanów Włoch i wszystkich tych żywiolów, które nie chcą żadnych zmian w dzisiejszych stosunkach. Jeżeli Samuel Gompers, „król amerykańskich związków zawodowych“ poleca ten program i związkom włoskim, to trzeba mu przyznać, że żywi dziwnie iluzje co do sposobu myślenia uświadomionych proletariuszów w Europie.

Ludwika Kautska.

Neue Zeit.

Franciszek Mehring zwraca w Nrze 51 sztutgarckiego tygodnika uwagę czytelników na rozprawę doktoryzacyjną Tatiany Grigorowici: Die Werthlehre bei Marx und Lassalle (Nauka o wartości Marxa i Lassalla, Wiedeń 1908). Książeczka ta jest nietylko wymienionym gruntownym i popularnym przedstawieniem marksowskiej teorii wartości, lecz zawiera nadto po raz pierwszy dokładne zbadanie pytania, o ile Lassalle był dokładnym wyrazicielem marksowskich nauk ekonomicznych. Tatiana Grigorowici udowadnia, że Marx miał zupełną rację, twierdząc, iż Lassalle nie zrozumiał go w bardzo istotnych punktach.

W tymże nrze zdaje J. Steiner sprawę z szóstej międzynarodowej konferencji sekretarzy związków zawodowych. Ze sprawozdań, przedłożonych tej konferencji, wynika, że do międzynarodowego sekretariatu, który znajduje się w rękach Karola Legiena, przewodniczącego Jeneralnej Komisji niemieckich związków zawodowych, należą sekretariaty krajowe 16 krajów¹⁾. Międzynarodowe konferencje sekretarzy zawodowych mają na celu załatwianie spraw praktycznych. Jeżeli przebiec jednak okiem sprawozdanie z tej konferencji, to załatwiła ona tylko jedną praktyczną sprawę: sprawę ujednostajnienia statystyki zawodowej. Pozatym poświęcone były obrady przeważnie dwom dyskusjom: dyskusji z Gomperssem, prezydującym „Federacji Pracy“ czyli związków Stanów Zjednoczonych, który nie uważał jeszcze za „dojrzałą“ sprawę wystąpienia amerykańskiej „Federacji Pracy“ do Międzynarodowego Sekretariatu i był obecnym na Konferencji tylko jako „gość“, oraz z przedstawicielami Francuskiej Konfederacji Pracy, którzy domagali się zwolnienia międzynarodowych kongresów zawodowych. Gompersowi wypadło wysłuchać kilku gorzkich prawd z ust Huebera, przewodcy austriackich związków; przeciw propozycji Francuzów zwrócił się cały zjazd, albowiem o ile kongresy takie omawiałyby ogólne kwestje ruchu robotniczego, czyniłyby konkurencję międzynarodowym kongresom socjalistycznym. Właśnie dlatego stawiają francuscy syndykaliści żądanie kongresów zawodowych; w celu usunięcia Międzynarodówki socjalistycznej, chcieliby stworzyć Międzynarodówkę syndykalistyczną.

W Nr. 52 zamieszcza Kautsky nieco pozbawiony barwy artykuł o zjeździe lipskim. Stwierdza w nim, że niema mowy o zwycięstwie rewizjonizmu, omawia argumenty zwolenników głosowania za podatkiem spadkowym i przeciw niemu i przychodzi do przekonania, że kwestje proletarjackiej polityki podatkowej nie zostały dostatecznie wyjaśnione i że wymagają gruntownej dyskusji. Do wniosku tego mogliby byli zresztą radykali niemieccy dojść bez trudu i przed zjazdem — z poztykiem dla zjazdu lipskiego.

W Nr. 1-ym 28-go rocznika Neue Zeit pisze Chagrin z Honolulu o walkach klasowych na wyspach Sandwich. Wyspy te, znajdujące się pod panowaniem Stanów Zjednoczonych od r. 1897, posiadają wielkie plantacje oraz rafinerje cukru, w których zatrudnieni są przeważnie Japończycy (40 tysięcy) i Chińczycy (21 tys.). Proletariusze japońscy z ochotą emigrują do wysp Sandwich, albowiem uważają je za most do Ameryki, kraju o najwyższych płacach. Kapitałiści amerykańscy z ochotą

¹⁾ Liczbowe dane, dotyczące ilości zorganizowanych, dochodów i wydatków związków i t. d. czytelnik znajdzie wyżej w artykule: „Z międzynarodowego ruchu zawodowego“. Przy p. red.

zatrudniają ich w swych tamtejszych plantacjach, ponieważ mają w nich pracowitych, mało wymagających robotników, którzy są nadto bezbronni dzięki prawu, zabraniającemu im przyjmować poddażność miejscowe. Płacą im bardzo mało (33 rb. miesięcznie za dziesięciogodzinną pracę wstraszonym upale), dla zapewnienia się przeciw wszelakim „buntom“, sięją nienawiść między chińskimi i japońskimi robotnikami. Lecz od obudzenia się poczucia solidarności i myśli o walce wśród japońskich robotników nie zdolali się uchronić. Powstała tajna organizacja, ożywiona duchem dyscypliny, zanim się kapitaliści spodzieli. Wybuch strejku 8 tysięcy robotników na wyspie Oahu wyjaśnił im dopiero, co się święci. Ogół robotników japońskich popiera strejkujących, gazetka *Nippu Jiji* dodaje im odwagi mimo przesładowań przedsiębiorców. Ruch pozostaje jeszcze w stadium czysto ekonomicznym i nie posiada oznak socjalistycznych.

Wiadomość ta jest nadzwyczaj ciekawa ze względu na amerykańskich związkowców, którzy występują z żądaniem niedopuszczenia Japończyków do Ameryki, jako robotników „nienadających się do organizacji“, a więc z natury rzeczy obniżających poziom życiowy amerykańskiego proletariatu. Może dzielne wystąpienie japońskich proletariuszy na wyspach Sandwich otworzy oczy nie tylko amerykańskim kapitalistom ale i — związkowcom.

W Nr. 4 znajdujemy artykuł *Franciszka Mehringa*, poświęcony hałaśliwej akcji, poczętej przez międzynarodową prasę liberalną z okazji głośnego zamordowania wolnomysłnego nauczyciela *Ferrera* przez klerikalny rząd hiszpański pod pozorem, jakoby Ferrer był przewódcą ostatniego powstania w Barcelonie. W hałasie tym brała niemiecka liberalna prasa mniejszy udział, aniżeli francuska lub włoska; ale też i niemiecka klasa robotnicza nie tak się gorączkowała, jak jej bracia we Francji i Włoszech. Jakie są tego powody? Oto Niemcy liberali zdobywają się na ostre demonstracje tylko wówczas, jeżeli to rządowi jest miłe. W danym wypadku mieli ochotę protestować przeciw zamordowaniu przez klechów liberalnego działacza, ale ponieważ niewiadome było, jak się zachowa rząd, więc tchórzyli. Inaczej klasa robotnicza niemiecka. Zbrodnia sądowa, popełniona na Ferrerze, do głębi robotników oburzyła, nie zmieszali jednakże swych głosów z chórem burżuazyjnym, ponieważ wiedzieli, że cały protest inteligencji burżuazyjnej jest śmieszny, jeżeli nie nieszczerzy. Aczkolwiek wystarczyłoby tylko kiwnięcie palcem przez europejskie rządy, by gabinet hiszpański zawahał się wykonać wyrok sądu, — przegniła Hiszpanja jest zależna całkowicie od Anglii i Francji, — rządy europejskie nic nie uczyniły, aby uchronić Ferrera od śmierci. Włoski i francuski proletariąt nie posiada tego doświadczenia politycznego, co niemiecki, dlatego dał się wciągnąć przez liberalną inteligencję w potok „ogólnego protestu“. Przy tym grał pewną rolę fakt, że proletariąt Francji, Włoch i Belgii w silniejszym stopniu, niż niemiecki, jest zajęty walką z klerikalizmem. Stanowisko reakcyjnej prasy niemieckiej, która domagała się głowy Ferrera, można nazwać oburzającym, ale trzeba przyznać, że było konsekwentniejsze, aniżeli liberalnej. Gdyby Niemcy znajdowały się nazajutrz po wybuchu rewolucyjnym, jak to jest dziś w Hiszpanji, prasa liberalna domagałaby się, na równi z konserwatywną, głowy ludzi, którzy nawet w tak dalekim pozostawaliby stosunku do rewolucji niemieckiej, jak Ferrer do hiszpańskiej.

Der Kampf.

W Nr. 12 rocznika II-go teoretycznego organu austriackiej Socjaldemokracji znajdujemy artykuł *Henryka Webera* o narodowych i międzynarodowych punktach widzenia w polityce zagranicznej. Zwracaliśmy już kilkakrotnie uwagę naszych czytelników na artykuły tego publicysty marksistowskiego o zagranicznej polityce, będące mieszaniną zupełnie słusznych poglądów z nieprzemysłaniami do końca. Tak np. stwierdza autor zupełnie słusznie, że rola Rosji, jako przewodniej potęgi reakcyjnej już jest skończona, że „dzisiaj, gdy Rosja sama czuje w swych wnętrzo-

ściach rewolucyjną chorobę i zdawna już jest za słaba, by być niebezpieczną dla zachodnio i środkowo-europejskiej demokracji, nie należy wrogości ku caratowi potęgować do rozmiarów żądania wojny z Rosją". Ale w tymże artykule staje na czysto burżuazyjnym stanowisku i przedstawia angielski imperjalizm jako największe niebezpieczeństwo dla „niemieckiego gospodarstwa, dla potęgi Niemiec i ich pokojowego rozwoju“, nie zauważając wcale, że przez to twierdzenie — słuszne tylko ze stanowiska burżuazji niemieckiej — przygotowuje grunt dla argumentacji Leuthnera, którą sam zwalcza. Zasadniczy błąd, będący źródłem zbroceń Webera, ujawnia się jeszcze namacalnie w następującym zdaniu jego o zagranicznej polityce Austrii: „Nie możemy domagać się rozwiązania trójprzymierza — gdyż wówczas przysłby i tak już luźny związek, który nas łączy z Włochami, dzięki czemu wzrosłoby niebezpieczeństwo wojny z nimi; nadto rozpadnięcie się trójprzymierza pchnęłoby Niemcy, największą potęgę wojskową Europy, w objęcia Rosji i wzmocniłoby carat. Musimy natomiast domagać się, by trójprzymierze było ograniczone do swego pierwotnego celu — odparcia rosyjskiego ataku, nie stawiało zaś nas na usługi niemieckiego imperjalizmu, śmiertelnego wroga niemieckiej klasy robotniczej“. Weber, polityk, stojący na stanowisku parjasów kapitalistycznego społeczeństwa — proletarjatu, dochodzi więc do próby polityki trójprzymierza, polemizując jednocześnie przeciw konsekwencjom tej polityki. W sprzeczność taką popadł Weber dlatego, ponieważ nie uświadomił sobie, że polityka zagraniczna proletarjatu może być tylko polityką mobilizacji mas robotniczych przeciw całemu kapitalizmowi i jego zagranicznej polityce na całej przestrzeni świata, że nie może ona przekształcać ugrupowań mocarstw, lecz jedynie może działać jako siła, hamująca zapędy wojenne lub wyzyskującą wojenne sytuacje na rzecz rewolucji socjalnej. Zatrzymaliśmy się na tym artykule, ponieważ pokazuje on, obok artykułów Rennera i Bauera, jak niewyklarowane poglądy na zagraniczną politykę panują nawet w radykalnej części teoretyków austriackiej Socjaldemokracji. Jakie poglądy panują wśród wybitnych praktyków tej partii, pokazał przewodca austriackiej Socjaldemokracji Wiktor Adler w swej mowie na reichenberskim zjeździe, która analizę rzeczywistości zastępuje dowcipami. Na usprawiedliwienie austriackich towarzyszy należy przytoczyć okoliczność, że kwestje te są dla Międzynarodówki stosunkowo nowe i w szeregach jej niedostatecznie przedyskutowane.

W Nrze 1-ym III-go rocznika Kampf daje Karol Renner w krótkim artykule ocenę wyników reichenberskiego zjazdu niemieckiej Socjaldemokracji Austrii. Jeszcze raz podnosi on dwoistość zadania parlamentarnej pracy Socjaldemokracji w Austrii, która wywołała na zjeździe ożywioną dyskusję. Burżuazja może ostatecznie niszczyć parlament obstrukcją, ponieważ wie, że biurokracja będzie broniła jej interesów przeciw klasie robotniczej. Inaczej ma się sprawa z proletarjatem; jemu potrzebny jest parlament dla kontroli biurokracji, jako trybuna dla agitacji i grunt do skoncentrowanej walki z burżuazją. To też walcząc przeciw burżuazyjnej większości parlamentu, musi on równocześnie walczyć o istnienie samego parlamentu. Parlament zawiódł oczekiwania proletarjatu: zamiast zabrać się do prawodawczego uregulowania kwestji narodowościowej, do uchwalenia prawa o ubezpieczeniu na starość, do walki przeciw cłowej i podatkowej polityce agrarjuszy, wygładzającej masy, trwoni on czas na bezpłodną obstrukcję. Dlatego domaga się Socjaldemokracja rozwiązania tego parlamentu, apelu do mas.

W tymże numerze pisze Franciszek Soukup o zjeździe czeskiej Socjaldemokracji, który się odbył na kilka tygodni przed niemieckim. Imponujące rzeczywiste cyfry może Soukup przytoczyć o stanie czeskiej organizacji: 130 tysięcy zorganizowanych członków w 2462 lokalnych organizacjach, z czego 30 tysięcy wstąpiło w ostatnich 2 latach; jaką działalność rozwija organizacja, o tym świadczy liczba 57 tysięcy zgromadzeń ludowych, odbytych w ostatnich dwu latach. Na usługach

partji stoją 3 dzienniki, jedno trzy razy tygodniowo wychodzące pismo, 2 dwa razy tygodniowo wychodzące, 19 tygodników, 1 dwutygodnik, 1 miesięcznik naukowy, 8 pism satyrycznych, beletrystycznych i t. d. Obok tego — 45 pism zawodowych. Książki i broszury wydano w ostatnich dwu latach w nakładzie 580 tysięcy egzemplarzy; domów robotniczych posiada partja 30. Zjazd zajmował się głównie sprawozdaniem parlamentarnym i kwestją narodowościową. Co do pierwszego, to czeski proletarijat w zupełności zgadzał się ze swemi parlamentarnymi przedstawicielami. W kwestji narodowościowej chciał Zjazd jeno zagaić ogólnopartyjną dyskusję. Austriacka Socjaldemokracja posiada berneński program narodowościowy z r. 1899. Obecnie, gdy przed parlamentem stoi sprawa prawnego uregulowania tej kwestji, program ten bardzo ogólny nie wystarcza. Niezbędne są konkretne żądania. Zjazd czeski nie mógł sam rozwiązać tej kwestji, nad którą zastanowić się musi cała partja austriacka. Czescy socjaldemokraci wyrazili tylko swe poglądy w ogólnej dyskusji, nie przyjmując konkretnych uchwał. Jeżeli wogóle wywierają nacisk na partję ogólnoaustriacką, by sprawą tą się zajęła, to czynią to w tym celu, by dojść do zgody z niemieckimi towarzyszami nie tylko w ogólnych poglądach na kwestję narodowościową, lecz też co do konkretnych żądań.

Adolf Braun, długoletni redaktor niemieckich pism partyjnych, obecnie jeden z redaktorów wiedeńskiej *Arbeiterzeitung*, wyowiada kilka uwag z okazji lipskiego zjazdu niemieckiej Socjaldemokracji. Warto przytoczyć bardzo słuszny pogląd na niemożliwość polityki rewizjonistycznej w Niemczech: istotnym jej celem jest stworzenie współdziałania z partjami liberalnymi w celu zdemokratyzowania Niemiec. Tymczasem na czele partji liberalnych stoją kapitaliści, którzy wcale nie pragną demokracji, ani też nie myślą o współdziałaniu z Socjaldemokracją dla osiągnięcia jej. Socjaldemokracja zwycięża przy wyborach przeważnie przeciw liberałom, co powiększa naturalnie ich nienawiść ku niej. Aczkolwiek więc liberali pragną zwycięstwa rewizjonizmu, ponieważ osłabiłoby ono partję, to jednak ani myślą przyspieszyć tego zwycięstwa przez wyciągnięcie dłoni do Socjaldemokracji, ku czemu zwychają tak tęsknie rewizjoniści.

Sozialistische Monatshefte.

Ludwik Quessel obdarza świat artykułem o sensacyjnym tytule: Karol Kautsky jako wulgarny ekonomista. Aby zdyskredytować radykalny kierunek w Socjaldemokracji w oczach związkowców, usiłują rewizjoniści przedstawić literackich przewodców radykalnego kierunku, jako przeciwników związków zawodowych. Lata całe starali się zozydzić Różę Luxemburg w oczach związkowców, przekręcając jej wyrażenie o „szybywej pracy“ związków zawodowych na twierdzenie, że praca ta jest niepotrzebną. Parvusa, gorącego propagatora niezbędności ruchu zawodowego, starali się z okazji jego ostatniej broszury o związkach zawodowych wrzucić na tenże stos, na którym gorzeje Luxemburg. Nie uniknął losu tego i Kautsky, ten tak ostrożny w sądach, unikający pospiesznych uogólnień badacz. Za swą broszurę „Weg zur Macht“, która na szpaltach Przeglądu już została omówiona, stoi od kilku miesięcy pod pręgierzem na szpaltach organu Komisji Jeneralnej, który za wszelką cenę stara się udowodnić, że Kautsky fałszywie przedstawia przyszłość ruchu zawodowego, aby wrzekomo przekonać robotników, że jedyne ich zbawienie to ewolucja socjalna. Partacką robotę Umbreitów i Leipartów przepisuje Quessel w wspomnianym artykule, zdołając ją w naukowe piórka. Dlaczegoż jednak Kautsky ma być wulgarnym ekonomistą? — zapyta czytelnik. Otóż wulgarni ekonomiści — tu sięga Quessel do torby wiadomości, na chybił-trafił połapanych i zupełnie nieuprządkowanych — twierdzili, że praca związków zawodowych jest bezskuteczną, ponieważ podwyższenie płacy robotniczej powoduje podwyższenie cen towarów. To samo twierdzi — w wyobraźni Quessela — Kautsky. Tu wskazuje uczony redaktor darmsztackiego organu partyjnego na 76-tą

str. broszury Kautsky'ego. Tymczasem, co twierdzi istotnie Kautsky? Oto wskazuje on, że syndykatom przedsiębiorców udaje się podwyższać niesłychanie ceny produktów, że rosną ceny środków żywności, co razem wzięte niweczy dla robotnika w znacznej mierze podwyższenie płacy, czyli rezultaty walk związkowych. Ale ani jednym słowem nie twierdzi Kautsky, by to podwyższanie cen produktów było wynikiem wzrostu płacy roboczej. Ba, w całym szeregu artykułów w rozmaitych czasach pisanych, udowadniał Kautsky, że jedynie walka związków zawodowych może uchronić proletarjat w pewnej mierze przed obniżeniem poziomu życiowego, które bez walki zawodowej byłoby niechybnym skutkiem tej praktyki syndykatów przedsiębiorców.

Dalej Kautsky wykazał na podstawie amerykańskiej statystyki, że od 17 lat w Stanach Zjednoczonych Ameryki nie mogą związki zawodowe polepszyć położenia klasy robotniczej, że wzrost cen środków żywności niweczył zdobycze, osiągnięte przez wzrost płacy amerykańskiego robotnika. Na to odpowiada Quessel: ale środki żywności stanowią tylko część wydatków robotnika; inne wydatki (ubranie, mieszkanie, i t. d.) staniały wskutek wzrostu wydajności pracy, tak że położenie robotników się polepszyło. Statystyka amerykańska wykazuje jednak, że Quessel nie ma pojęcia o rzeczy, bo cena ubrań wzrosła od 1897 do 1907 w Ameryce o 370%, materiałów opałowych o 400%, mebli o 320% i t. d.

To, co Quessel powiada o istnieniu zdawien dawna w Anglii związku przedsiębiorców, a co ma udowodnić, że i niemieckie związki zawodowe będą mogły w przyszłości uporać się z nimi zapomocą dotychczasowych metod walki, świadczy, że nie zdaje sobie sprawy z różnicy, jaka zachodziła między położeniem przemysłu angielskiego na rynku wszechświatowym w latach 70-tych zaszłego wieku, gdy ten przemysł posiadał prawie monopol, a niemieckiego obecnie, w okresie natężonej międzynarodowej konkurencji. Różnica ta nasunęłaby mu pytanie, czy taki sam był ówczesny opór kapitału angielskiego wobec żądań robotników, jak jest dziś opór niemieckiego kapitału. O wpływie obniżenia się raty zysku na walki kapitału i pracy, o wpływie opanowania przemysłu przez kapitał bankowy i tym podobnych nowszych objawach nie ma ten świeżo upieczony uczonej niemieckiej Komisji Jeneralnej najsłabszego wyobrażenia i nie potrąca ich ani słowem, choć paple wiele o rzeczach, nie mających najmniejszego związku ze sprawą. I taki to „uczony“ chce wykazać, że Kautsky jest „wulgarnym ekonomistą“!

Z numeru pozjazdowego (19-20) wspominamy narazie tylko artykuły Roberta Schmidta i Wilhelma Schrödera o zjeździe partyjnym. Obaj przeczą, by na zjeździe zwyciężył rewizjonizm, jak to twierdziły skrajnie liberalne pisma w rodzaju Berliner Tageblatt. Na zjeździe okazało się tylko, że praktycyzm, liczenie się z potrzebami ruchu, z robotą dnia przewycięża, jak mówi Schmidt, panowanie „frazesu rewolucyjnego“. Schmidt podkreśla, że ani żądanie Kautsky'ego obstrukcji parlamentarnej w walce przeciw reformie podatkowej, ani stanowisko Luxemburg w sprawie święta majowego nie znalazło uznania na zjeździe. Schröder przypisuje ten zwrot na prawo w partji wpływom związków zawodowych. (O ile zgodna jest ta ocena zjazdu z faktami, może czytelnik wywnioskować przez porównanie jej z artykułem o jeździe lipskim w P. S. — Pr z y p. r e d.).

gh.